

PEDAGOGICZNA BIBLIOTEKA
WOJEWÓDZKA W BIAŁYMSTOKU



p.6387

95
BIBLIOTEČKA UNIERSYTETÓW LUDOWYCH 17.

CZYTANKI POLSKIE

DLA UNIERSYTETÓW LUDOWYCH

UŁOŻYŁ

HENRYK GALLE

II

WYDANIE NOWE



NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA—KRAKÓW—LUBLIN—ŁÓDŹ—POZNAŃ
THE POLISH BOOK IMPORTING CO. INC., NEW YORK

BIBLIOTECZKA UNIWERSYTETÓW LUDOWYCH.

1. Konopnicka Marya. Dym.
2. — Banasiowa.
3. — Nasza szkap.
4. — Niemczaki.
5. Żeromski Stefan. Siłaczka. — Na pokładzie.
6. Prus Bolesław. Antek.
7. — Na wakacjach. — Katarzynka.
8. Orzeszkowa Eliza. Siteczko. — Czy pamiętasz?
9. — Babunia.
10. — Ogniw.
11. — Panna Antonina.
12. — A... B... C...
13. Sienkiewicz Henryk. Janko muzykant. — Latarnik.
14. — Wspomnienie z Maripozy. — Jamioł. — Organista z Ponikły.
15. — Bartek Zwycięzca.
16. Galle Henryk. Czytanki polskie I.
17. — Czytanki polskie II.
18. Reymont Władysław. Wiosna.
19. — W porębie. — Przy robocie.
20. — Tomek Baran.
21. — Pewnego dnia.
22. Junosza Klemens. Froim. — Zając.
23. Kraszewski J. I. Łokietek na łożu śmierci. — Tatarzy na weselu.
24. Kraszewski J. I. Upiór.
25. — Z dziennika starego dziada.
26. — Profesor Milczek. — Rejent Wątróbka.
27. — W oknie. — Nauczyciele sieroty.
28. Rzewuski H. Kazanie konfederackie. — Książd Marek.
29. — Tadeusz Reytan (z Pam. Soplicy).
30. — Sawa. Pan Borowski (z Pam. Soplicy).
31. Sienkiewicz H. Pieszo przez Czarny Łą (Listy z Afryki) I
32. — Pieszo przez Czarny Łą (Listy z Afryki) II,
33. — Na Oceanie Atlantyckim (Listy z podróży).
34. — Z puszczy amerykańskiej.
35. Prus B. Kamizelka. — Michałko.
36. Dygasiński A. W puszczy.
37. — Wilk, psy i ludzie.
38. Junosza Klemens. Wilki. — Wesołego.
39. Tetmajer K. Książd Piotr.
40. Gomułicki W. Chałat.
41. Żeromski St. Zmierzch. — Cokolwiek się zdarzy.
42. Skarbek F. Łukasz Stempel.
43. — Mundur. — Jaszczołt.
44. — Dwie siostry. — Przewoźnik.
45. Wilkoński A. Moja mówka pogrzebowa. — Przypadek.
46. — Gorzkie wspomnienia słodkiej nadziei.
47. — Wspomnienia szkolne. — Pomyłka. — Ułamek.
48. Żmichowska N. Prządki — Ze wspomnień dzieciennego wieku.

BIBLIOTECZKA UNIWERSYTETÓW LUDOWYCH

CZYTANKI POLSKIE

DLA UNIWERSYTETÓW LUDOWYCH

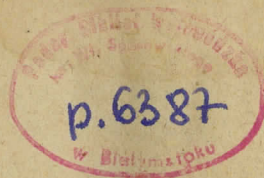
WŁAŚC.

HENRYK GALL

II

WYDANIE II

NADZ. I
WYD. I
III 1913/14



884-82

1. Koniec zdrajcy Masława ¹⁾ (XI w.)

Wiosna była czarna jeszcze; drzewa stały, głuche na nią, trawa tylko zbudziła się już i stroiła modre łąki zielenią. Spływały były lody, zlały śnieżne skorupy, deszcz dobil czarnych śniegów resztki i uwolnił z więzów, co leżało pod nimi.

Z południa leciały ptaki, gwarnem życiem odzywały się pola i lasy. Niedźwiedź zbudził się w borach i szedł wychudły, a rozespany na łowy. Z barci wyleciały pszczoły, na pierwsze kwiaty, bociany przechadzały się na łąkach, obejmując panowanie. Górnym szlakiem bujały orły i jastrzębie...

Z puszczy, z głębi wychodziła o kiju stara niewiasta, szła i oglądała się trwoźnie... zgarbione miała plecy, zsiniałe usta, włos siwy, roztargany rozścielał się po jej ramionach, gruba siermięga, zdarta i zwalona, pod nią czarne, płócienne chu-

¹⁾ Masław, dworzanin Mieczysława Gnuśnego, po jego śmierci chciał ogłosić się księciem udzielnym na Mazowszu i sprzymierzył z wrogami Polski, którzy go po pierwszej klęsce powiesili.

sty, nogi bose, nawet sakwy nie miała na plecach. Szła, podpierając się kijem — bez drogi, bez myśli, jakby ją parla jakaś siła, zawsze w jedną stronę.

Stawała nad leżącą na drodze kłodą i przełaziła przez nią, nie chcąc ominąć, przechodziła nad strumień i brnęła przez niego, nie szukając kładki. Coś ją wiodło, coś ciągnęło, ciągle tam, gdzieś, gdzie prowadziło serce. Tak przeszła puszczę, tak przebrnęła przez błota. Nocą kładła się na mokrej ziemi i spała snem kamiennym. Wilcy chodzili, patrzeli i, nie tknąwszy jej, kryli się w lesie; patrzyły na nią, siedząc, niedźwiedzie i wiodły oczyma, gdy poszła; z gałęzi nad głową żbik kocimi oczyma przyglądał się jej i nie ruszał. Na łące pasły się żubrów stada, a podnosiły głowy, prychały i pierchły przed nią.

Głodna, schylała się ku trawom i żuła je w ustach; czasem dłonią zaczerpnęła wody i kropel kilka połknęła. Szła tak już dni wiele, szła, czując, że coraz, coraz, coraz bliżej było...

Las się rozstał, w dolinie dymią chaty, na wyżynie dwór stoi, ludzie się koło niego kręcą.

Stara stanęła, na kiju się oparła i patrzeć zaczęła: wciągnęła w piersi powietrza... siadła. Z nóg bosych krew ciekła, popatrzała na nie, nie czuła bólu.

Wieczór nadchodził, do wsi było daleko jeszcze, ale jej nie śpieszno. Nieprędko się podniosła i poczęła iść znowu.

Szła i stawała. Coś ją ciągnęło, coś odpychało i chciała dalej i bała się: wzrokiem błędnym

powłokła dokoła. Pusto było. Dwa kruki czarne siedziały na dębie i klóciły się z sobą. To jeden się zrywał, to drugi, trzepały skrzydłami, groziły dziobami... Stara patrzyła na nie... wciągnęła powietrze: coś jej piersiom ono powiedziało, siadła, jak zmożona. Łzy puściły się z jej powiek zeschniętych i biegły marszczkami, jak strumyki po roli zoraonej, aż do ust, wpadały do nich i nikły. Piła te łzy swoje. Podparła się na rękę, głowa kołysać się zaczęła, jak dziecię, gdy je matka usypia. Czy tak myśl swą usypiała?

Mrok zapadł, do wsi było daleko, na polu pusto, dwa kruki krakały, lecąc przed nią.

Podeszła kroków niewiele, padła na ziemię, twarz przyłożyła do niej. Skarżyła się może starej macierzy, bo jęk słyhać było. Podniosła się z krzykiem i padła znowu. Coś ją ciągnęło, coś odpychało.

Mrok padał...

Z za lasów, z za czarnych chmur pokazał się rąbek księżycy, czerwony, krwawy, straszny, jak wylupione oko, z którego się sączy posoka... coraz więcej, coraz wyżej począł się podnosić. Czarna chmurka w pół go przepasała, wyszedł jakby ranny z za borów, obejrzał się, pobladł, pożółknął. Stara spojrziała na niego i głową potrząsała, jak znajomemu druhowi... Zdawała się mówić mu:

— Patrz, co ze mną!

Księżyc włókł się dalej, nie odpowiadając, i ręką rzuciła ku niemu z pogardą... szła dalej.

Na wzgórzu łysem, przeciw dworu stał dąb ogromny suchy. Trup to był starego drzewa. Korę z niego oddarto, boki mu wypalono, wiatr gałęzie

pooblamywał, kilka grubych konarów sterczało od pnia pokaleczonego, jak ręce poobcinane. Dwa kruki siedziały na nim i kłóciły się z sobą. Na najgrubszej gałęzi coś wisiało. Lekki wiatr poruszał tym ciężarem i kręcił nim, jak żywym goczyńniac...

Był to trup człowieka z czerwonym włosem na obwisłej głowie, który powiew wiatru podnosił. Na głowie przybita była spleciona ze słomy korona. Oczy miał otwarte, ale próżne — kruki mu już je wydziobały... I ciało ludzkie, czy zwierzęta, pokrajały strasznie, czarnymi szmaty wisiały reszty jego na kościach.

Dwa wilki bure posiadały pod nim, głowy do góry popodnosiły i szczekały, rychło im wiatr gozrzuci. Czekwały cierpliwie, języki głodne wywiesiwszy z paszczęki. Niekiedy jeden z nich wstał, szczeknął, popędził towarzysza, pokazały sobie zęby i znowu siadły spokojnie, głowy podnosząc do góry... Kruki górą, wilcy dołem spierali się o trupa, którym wiatr obracał powoli...

Stara szła — i oczy jej padły na wisielca. Stałęła, drgnęła, podparła się na kij i rozśmiała, wielkim, strasznym, dzikim głosem, a w puszczy odpowiedziało jej echo, dziksze jeszcze, raz drugi.

Wilki pierzchnęły, oba krucy odlecieli... Posiadali dalej. Stara szła, przyglądając się trupowi.

Zbliżyła się pod sam pień drzewa, postawiła kij, siadła, ręce dwie na kolanach oparła, w dłonie ujęła dłonie. Śmiała się znowu. Śmiała się, a dwie łzy ciekły marszczkami po policzkach do ust i w ustach tonęły.

Gałąź, na której wisiał trup, chrzęszczała, jakby się skarżyła, po co jej taki ciężar dźwigaćkażą. Mokremi oczyma patrzała na trupa stara z jednej, księżyc z drugiej, wilcy z trzeciej strony, a noc obwijała świat płaszczem czarnym...

Ściemniało... Stara głowę kołysała znowu, a z ust, do których tyle lez nabiegło, dobył się cichy śpiew, jaki matki nad kołyską nuca, gdy niemowlę usypiają... Śpiewała długo, patrzała w górę i płakała, aż w piersi tchu zabrakło, w powiekach lez... Siedziała niema, bez ruchu, ale oczy miała w niego wlepione... Wtem w borach zaszumiło zlekka, wicher-król przybywał! Czarne chmurki po niebie go niosły. Uradowała mu się stara, i oczy jej zaświeciły. Zaszumiło w dolinie, trup się poruszył i zwijać zaczął. Kręcił nim wicher tak, iż korona spadła, włosy się rozwiały, poły siermięgi rozeszły szeroko — był to taniec śmierci wisielca! I stara, patrząc na to, wzięła się za siermięgę a wrować i okręcać poczęła, śpiewając coraz głośniej, coraz żywiej, przerywając sobie śmiechem.

Wilcy wyć zaczęli, podniósłszy do góry paszcze, wicher się wzmagał coraz silniejszy. Wszystko się zdawało w tym tańcu śmierci, przez wiatr przyniesionym, okręcać; trup, stara niewiasta, krucy w powietrzu, wilcy, co drzewo obiegali dokoła, i chmury na niebie, z poza których księżyc zbłądły to się odsłaniał, to chował w nie i poszarpanymi otworami ich przeglądał. Jak muzyka, świszczwał wicher w gałęziach drzew i po jarach, i po suchych błot trzcinach.

Stara nuciła pieśń, obracała się żywiej coraz,

szalonym wirem, aż zachrzęściało u góry, stanęła: trup wisielca z gałęzią leciał na ziemię i padł u nóg jej. Stara stanęła nad nim, księżyc wyjrzał z za chmury... patrzyła zdala, zbliżyła się powoli. Siadła u pnia i ostrożnie głowę z wydziobanemi oczyma wzięła na kolana.

W tejże chwili pieśń u kołyski na myśl jej przyszła i śpiewać ją zaczęła i płakać znowu...

Kruki siadły na dębie i krakały jej nad głową, wilcy się przysunęli tuż, tuż i wachać zaczęli wisielca.

Był dla nich już dojrzałym ten owoc dębowy.

W ciemnościach czworo oczu zbójcejskich skierowało się na starą, która im łup odbierała — pokazali jej zęby białe. Zmierzyli się z nią oczyma. Ona wzięła kij, stojący u pnia, i grozić im zaczęła.

— Precz mi, sobaki, od kniaziowskiego ciała! a won! — poczęła głosem ochryplym. — Nie wiecie, kto to jest! płocki kniaź! król Masław! A taki mój syn, mój syn! Precz, sobaki przeklęte, a won!

Wilcy się cofnęli, stara śmielsza była od nich w obronie tych zwłok drogich... Głowę tuliła na kolanach i mruczała do siebie:

— Tak mu skończyć było! tak! Wszystkiego kosztował, a chciało się więcej! Jak był jeszcze dzieciną, rwał się tak za wszystkim. Wrogi nie mogli—druhowie powiesili. Ha! ha! wiedziałam, że tak będzie!

Głową kołysać zaczęła i płakać. Spojrzała księżycowi oko w oko, jakby go o radę pytała.

— Nieprawda? wilkom go zjeść nie damy! matka wychowała, matka pochowała... A matkę

kto pochowa?... Wilcy zjedzą — roześmiała się — na zdrowie!

I, głowę złożywszy na ziemi, wstała, odgarniając siwe włosy... Z kijem w rękę poszła wprost na wilki, pędząc je, jak psy podwórzowe...

— Nie możecie poczekać, paskudne sobaki! — mówiła do nich. — Oddam wam kości moje za niego! Jego nie!

Podniosła kij; wilki, odstąpiwszy, opodał posiadali na ziemi. Popatrzyła na księżyc z uśmiechem.

— Pomagaj! — zawołała.

Ukłęka na ziemi przy trupie, na darninie, kościste ręce zatopiła w piasku, odrzuciła zeschniętą trawę i mech grzebać poczęła. Zrazu szło powoli, piasek się staczał nazad do dołu, zaczęła coraz gwałtowniej rękami go odrzucać, precz, daleko od siebie. Chwytała garściami całemi, oburącz, kopala, grzebała, odwalala na brzegi.

Niekiedy spojrzała na trupa i szeptała po-cichu:

— Nie bój się, ja ci miękko łóżeczko uścielę i kamień znajdę pod głowę, płachtą go obwinę; oczy ci suchym piaskiem zasypię, aby się pogoiły. Będziesz spał, jak w kołysce, spokojnie!

Zdyszana, to spoczywała, klęcząc, to znowu rwała się do roboty zapalczywie. Dół rosnał, rozszerzał się, pogłębiał.

Księżyc jednym bokiem w niego zaglądał, drugi — cień od pnia zakrywał. Stara się zwracała do księżyca po radę.

— Kniaziu! bracie, dość czy nie? głębiej je-

szcze? prawda? głębiej? głębiej wilcy też kopać umieją: ale niedoczekanie! Zamiast kamienia ja się położę, a jak mnie zjedzą, jego się im odechce...

Klękla zdyszana odpocząć znowu, ręce jej opadły pokrwawione. Wśród jamy trafiła na korzenie dębu: wyrywając je, palce poszarpała, gdy palce nie starczyły, pochyliła się, rwąc je zębami.

— To było życie — mówiła, grzebiąc dalej — oj! życie... Boso dzieckiem chodził, w złocie potem cały, tysiącom rozkazywał, a nie było grobu wykopać komu! Otóż tobie korona! korona...

Na ziemi leżało owe słomiane godło szyderskie; stara je rzuciła precz. Dół był już głęboki, spuściła się weń, dokoła roztartując go jeszcze; miękki piasek łatwo kopać było.

Gdy już głową ledwie ponad dół sięgała, wychyliła się do trupa i cicho szeptała:

— Czekaj! jeszcze nie gotowy! matka stara, ręce jej pokostniały!

Księżyc toczył się dalej po niebie i zwolna zniżał już nawet. Stara grzebała sił ostatkiem, potem dno ubijać zaczęła nogami.

Późno w noc, gdy wicher ustał, księżyc się schował, z dołu wyłazła stara zdyszana.

— Kniaziu, panie, łożnica gotowa! Kamień w niej, obwinięty płachtą, i siermięga moja na dnie... Chodź!

To mówiąc, oburącz objęła trupa, a pochwyciwszy go przy tej piersi, która go niegdyś karmiła, przycisnęła do niej, jakby puścić nie mo-

gła i tuliła, jak dziecko, a sama, jak dziecko, płakała...

Nad dołem stało czworo wilczych oczu i patrzyło...

Księżyc znikł, ciemności przyszły, zerwała się stara, ciągnąc trupa do mogiły. Stoczył się z brzegu i twarzą upadł na dno... Skoczyła i ona za nim, aby go na sen włożyć, sił ostatkiem obracając twarz do góry. Obwinięła nogi, pocałowała w czoło.

— Śpij, śpij — rzekła pocichu. — Tak dobrze, tu nikt nie zdradzi...

Rękami brzeg ujęła, by wyjść z dołu, piasek sypał się na nią; wilcy tuż zębami kłapali.

— Poczekajcież! — zawołała. — Com przyrzekła, dotrzymam; do dnia daleko.

Spojrzała na syna i piasek sypać zaczęła, sypała go z pośpiechem, sypała z wściekłością, z niecierpliwością, zajadle, rękami i nogami... Coraz to spojrzała w dół. Twarz jeszcze widać było, a twarzy żałowała; — zasunęła się i ona...

— Śpij spokojnie!

Piasek, jak żywy, z pod stóp i dłoni jej się wymykał, lecąc do dołu, i wypełniał go, zakrywał, aż pozostał tylko ślad poruszonej ziemi i podeptane łożysko...

Stara, skończywszy robotę, tchnęła ciężko, obejrzała się dokoła. Dniało ponad lasami, a z pośrodku rozbitych obłoków błada gwiazda jutrzeńki patrzyła ciekawie. Staruszka szepnęła:

— Komu wstawać, a mnie się kłaść trzeba... bywaj i ty zdrow!

Rozśmiała się raz jeszcze, rozciągnęła na świe-

zym piasku, jak długa, jedną rękę, jak do snu, podłożyła pod głowę, drugą sobie oczy przykryła, tchnęła ciężko i usnęła.

Wilcy siedzieli zdaleka, patrzali. Jeden z nich zbliżył się nieco i przysiadł znowu — czekał, — podszedł drugi. W głowach siadł pierwszy, drugi w nogach; warczeli na siebie. Stara spała. Na niebiosach dniało, rumieniało i jaśniało.

Dwóch ludzi szło od dworu w las.

— Patrz, wisielca z dębu zdjęli!

— Niema go?

— Wiatr obłamał z gałęzią.

Podeszli bojaźliwie... I stanęli... Jeden z nich krzyknął przerażony:

— Czarownik był! patrzajcie! — Chłopaśmy powiesili, a tu baba leży, co ją wilcy poszarpali.

Stanęli zdumieni.

— Czarownik był! — powtórzył drugi.

— Dobrze zrobił Kunigas, że go, wymęczywszy, obwiesił! Co naszych przez niego padło! Czarownik był!

I poszli do lasu.

Kości starej długo pod dębem białaly, a wiatr słomianą pomiatał koroną.

J. I. Kraszewski.

2. Z bitwy pod Grunwaldem (1410).

Przed trzecią linią polską, która dotąd nie brała udziału w boju, zjawił się na rozhukanym rumaku czuwający nad wszystkim i baczny na przebieg bitwy Zyndram z pod Maszkowic.

Stało tam wśród polskiej piechoty kilka rot zacieężnych Czechów. Jedna z nich zachwiała się jeszcze przed spotkaniem, ale zawstydzona w porę, została na miejscu i, rzuciwszy swego dowódcę, płonęła teraz żądzą bitwy, aby wynagrodzić męstwem chwilową słabość. Lecz główne siły składały pulki polskie, złożone z konnych, ale nie pancernych, ubogich włodyków, z piechot miejskich i najliczniejszych kmiecych, zbrojnych w rohatyny, w ciężkie oszczepy i w kosy, osadzone sztorcem na dragach.

— Gotuj się! gotuj! — wołał ogromnym głosem Zyndram z Maszkowic, przelatując, jak błyskawica, wzdłuż szeregów.

— Gotuj się! — powtórzyli mniejsi przywódcy.

Więc kmiecie, zrozumiałwszy, że przychodzi na nich czas, poopierali drągi od dzid, cepów i kos o ziemię i, przeżegnawszy się krzyżem świętym, poczęli poplukać w pracowite, ogromne dłonie.

I dało się słyszeć przez całą linię to złowrogie poplukiwanie, poczem chwycił każdy broń i nabrał tchu. W tej chwili przyleciał do Zyndrama pachotek z rozkazem od króla i szepnął mu coś zdyszonym głosem do ucha, a on, zwróciwszy się do piechurów, machnął mieczem i krzyknął:

— Naprzód!

— Naprzód! ławą! równo! — rozległy się wołania przywódców.

— Bywaj! Na psubraty! W nich!

Ruszyli. By zaś iść krokiem równym i nie łamać szeregów, poczęli wszyscy razem powtarzać:

— Zdro-waś Ma-ry-ja ła-skiś peł-na Pan z To-bą!!!

I szli, jak powódź. Szły pułki najemne i pachołkowie miejscy, kmiecie z Małopolski i Wielkopolski i Ślązacy, którzy przed wojną schronili się do Królestwa, i Mazurzy z pod Elku, którzy od Krzyżaków uciekli. Zajaśniało i rozbłysło od gro-tów na oszczepach i od kos całe pole.

Aż doszli.

— Bij! — zakrzyknęli dowódcy.

— Uch!

I stęknął każdy, jako krzepki drwał, gdy się pierwszy raz toporem zamachnie, a potem jął walić, ile mu sił i pary w piersiach starczyło.

Wrzask i krzyki wzbily się aż ku niebiosom.

I zmagali się jeszcze w niepewności zwycięstwa, dopóki olbrzymie kłęby kurzawy nie wzbily się niespodzianie po prawej stronie bitwy.

— Litwa wraca! — huknęły radośnie głosy polskie.

I odgadli. Litwa, którą łatwiej było rozbić, niż zwyciężyć, wracała teraz i z wrzawą nieludzką pędziła, jak wichher, na swych ścigłych koniach do boju.

Wówczas kilku komturów¹⁾, a na ich czele Werner von Tetlingen, przyskoczyło do mistrza.

— Ratuj się, panie! — wołał poblądlemi usty komtur Elbląga. Ratuj siebie i Zakon, póki się koło nie zawrze.

Ale rycerski Ulrych spojrział na niego ponuro i wzniosłszy rękę ku niebu, zawołał:

— Nie daj mi Bóg, abym ja opuścił to pole, na którym tylu mężnych poległo. Nie daj Bóg!

I, krzyknawszy na ludzi, aby szli za nim, rzucił się w war bitwy. Nadbiegła tymczasem Litwa, i stał się taki zamęt, taki wir i kotłowanie, że oko ludzkie nie już w nich rozróżnić nie mogło.

Mistrz, uderzon ostrzem litewskiej sulicy²⁾ w usta i dwukrotnie raniony w twarz, odbijał przez jakiś czas mdlejącą prawicą ciosy; wreszcie, pchnięty rohatyną w szyję, zwałił się, jak dąb, na ziemię.

Mrowie przybranych w skóry wojowników pokryło go zupełnie.

Werner Tetlingen z kilku chorągwiami pierzchł, lecz naokół wszystkich pozostałych chorągwi zamknęło się żelazne koło wojsk królewskich. Bitwa zamieniła się w rzeź i w klęskę krzyżacką tak niesłychaną, że w całych dziejach ludzkich mało zdarzyło się podobnych. Nigdy też w czasach chrześcijańskich od walki Rzymian i Gotów z Atylą i Karola Młota z Arabami, nie walczyły z sobą wojska tak potężne.

¹⁾ Dowódcy krzyżaccy.

²⁾ Sulica — rohatyna, dzida.

Ale teraz jedno z nich leżało już po większej części, jak zżęty łan zboża. Poddaly się te chorągwie, które ostatnie wprowadził do boju mistrz. Chełmińczycy pozatykali w ziemię proporce. Inni niemieccy rycerze pozeskakiwali z koni na znak, że chcą iść w niewolę, i poklekali na obłuzganej krwi ziemi. Cała chorągiew św. Jerzego, pod którą służyli goście zagraniczni, uczyniła razem ze swym dowódcą to samo.

Lecz bitwa trwała jeszcze, albowiem wiele chorągwi krzyżackich wołało umierać niż błagać o litość i o niewolę. Zbili się teraz Niemcy wedle swego wojennego zwyczaju w ogromne kolisko i bronili się tak, jak broni się stado dzików, gdy je gromady wilków otoczą. Pierścień polskolitewski opasał owo kolisko, jak wąż opasuje ciało byka, i zacieśniał się coraz bardziej. I znów śmigały ramiona, grzmiały cepy, zgrzytały kosy, cięły miecze, bodły oszczepy, chlastały topory i oksze¹⁾. Wyścinano Niemców, jak bór, a oni marli w milczeniu, posepni, ogromni, nieustraszeni.

Niektórzy, popodnosiwszy przyłbice, zegnali się już z sobą, dając sobie ostatni przed śmiercią pocałunek; niektórzy rzucali się na oślep w ukrop bojowy, jakby zdjęci szaleństwem, inni walczyli, jak przez sen, inni nakoniec mordowali się sami, wbijając sobie w gardło miserykordyę²⁾ lub, porzuciwszy naszyjniki, zwracali się do towarzyszków z prośbą:

¹⁾ Oksza — siekiera.

²⁾ Krótki mieczyk.

»A! Twardowski! witam, bracie«.

To mówiąc, bieży obcesem:

»Cóż to, czyliż mię nie znacie?

Jestem Mefistofełsem.

Wszak ze mnąś na Lysej górze

Robił o duszę zapisy;

Cyrograf¹⁾ na byczej skórze

Podpisałeś ty — i bisy

Miały słuchać twego rymu:

Ty, jak dwa lata przebiegą,

Miałeś pojechać do Rzymu,

By cię tam porwać, jak swego.

Już i siedem lat uciekło,

'Cyrograf nadal nie służy;

Ty, czarami dręcząc piekło,

Ani myślisz o podróży!

Ale zemsta, cnoć leniwa,

Nagnała cię w nasze sieci;

Ta karczma Rzym się nazywa,

Kładę areszt na waszeci«.

Twardowski ku drzwiom się kwapił,

Na takie dictum acerbum²⁾;

Dyabeł za kontusz ułapił,

»A gdzie jest nobile verbum«³⁾

¹⁾ Umowa piśmienna.

²⁾ Gorzkie słowo (łac.).

³⁾ Słowo honoru (łac.).



Co tu począć? — kusa rada,
Przyjdzie już nałożyć głowę,
Twardowski na koncept wpada
I zadaje trudność nową:

»Patrz w kontrakt, Mefistofilu!
Tam warunki takie stoją:
Po latach tylu a tylu,
Gdy przyjdiesz brać duszę moją,

Będę miał prawo trzy razy
Zaprządz ciębie do roboty,
A ty najtwardsze rozkazy
Musisz spełnić co do joty.

Patrz, oto jest karczmy godło,
Koń, malowany na płótnie;
Ja chcę mu wskoczyć na siodło,
A koń niech z kopyta utnie!

Skreć mi przytem biczyk z piasku,
Żebym miał czem konia chłostać,
I wymuruj gmach w tym lasku,
Bym miał gdzie na popas zostać!

Gmach będzie z ziarenek orzecha,
Wysoki pod szczyt Krępaku¹⁾,
Z bród żydowskich ma być strzecha,
Pobita nasieniem z maku.

¹⁾ Krępak — szczyt w Tatrach.

Patrz, oto na miarę ćwieczek,
Cał gruby, długi trzy cale,
W każde z makowych ziareczek!
Wbij mi takie trzy bretnale¹⁾«.

Mefistofil duchem skoczy,
Konia czyści, karmi, poi,
Potem bicz z piasku utoczy:
I już w gotowości stoi.

Twardowski dosiadł biegusa,
Próbuje podskoków, zwrotów,
Stępa, galopuje, kłusa,
Patrzy, aż i gmach już gotów.

»No! wygrałeś, panie bisie;
Lecz druga rzecz nie skończona,
Trzeba skąpać się w tej misie,
A to jest woda święcona«.

Dyabeł kurczy się i krztusi,
Aż zimny pot na nim bije;
Lecz pan każe, sługa musi,
Skąpał się biedak po szyję.

Wyleciał potem, jak z procy,
Otrząsł się, dbrum! parsknął raźnie.
— »Teraz jużes w naszej mocy,
Najgorętszą odbył łaźnię. —

¹⁾ Bretнал — gwóźdź z dużym łebkiem.

— »Jeszcze jedno, będzie kwita,
Zaraz pęknie moc czartowska;
Patrzaj, oto jest kobieta,
Moja żoneczka — Twardowska.

Ja na rok u Belzebuba
Przyjmę za ciebie mieszkanie.
Niech przez ten rok moja luba
Z tobą, jak z mężem, zostanie.

Przysiąż jej miłość, szacunek,
I posłuszeństwo bez granic;
Złamiesz choć jeden warunek,
Już cała ugoda za nic«.

Dyabeł do niego pół ucha,
Pół oka zwrócił do samki.
Niby patrzy, niby słucha,
Tymczasem już blisko klamki.

Gdy mu Twardowski dokucza,
Od drzwi, od okien odpycha,
Czmychnąwszy dziurką od klucza,
Dotąd, jak czmycha, tak czmycha.

Adam Mickiewicz.

4. Zagłoba zdobywa sztandar.

Gdy husarya ruszyła naprzód, pan Zagłoba, choć oddech miał krótki i tłoku nie lubił, skoczył przecie z innymi, bo zresztą i nie mógł inaczej uczynić, bez narażenia się na strатовanie. Leciał tedy, przymknąwszy oczy, a w głowie latały mu z błyskawicową szybkością myśli: »Na nic fortele! na nic fotele! głupi wygrywa, mądry ginie!« Potem ogarnęła go złość na wojnę, na kozaków, na husarzy i na wszystkich w świecie. Zaczął kląć — i modlić się. Powietrze świszczalo mu w uszach, tamowało oddech w piersi — nagle uderzył się o coś koniem, poczuł opór, więc otworzył oczy — i cóż ujrzał: oto kosy, szable, cepy, mnóstwo rozpalonych gwarzy, oczu, wąsów, a wszystko to niewyraźne, niewiadomo czyje, wszystko drgające, skaczące, wściekle. Wtedy porwała go ostatnia pasya na tych nieprzyjaciół, że nie uciekli do dyabła, lecz leżli w oczy i że zmuszali go do bitwy. »Chcecie, to macie!« — pomyślał — i poczał ciąć ślepo na wszystkie strony. Czasem przecinał powietrze, a czasem czuł, iż ostrze mu grzęźnie w coś miękkiego. Jednocześnie czuł, że jeszcze żyje i to dodawało mu nadzwyczajnie otuchy.

— Bij! zabij — ryczał, jak bawół.

Nakoniec owe wściekle twarze znikły mu z oczu, a natomiast ujrzał mnóstwo pleców, wierzchów od czapek, a krzyki mało mu uszu nie rozdarły.

— Zmykają?—przemknęło mu przez głowę.—
Tak jest!

Wtedy odwaga wezbrała w nim bez miary.

— Złodzieje! — krzyknął. — Tak to Polakom stawacie!

I skoczył między uciekających, minął wielu i, zamieszawszy się w gęstwinie, z większą już przytomnością pracować począł. Tymczasem towarzysze jego przyparli niżowców do brzegów Słuczy, porosłych dość gęsto drzewami, i gnali ich wzdłuż brzegu do grobli, nikogo żywcem nie biorąc, bo czasu nie stawało.

Nagle pan Zagłoba poczuł, że koń poczyną się pod nim rozpierać, a jednocześnie spadło nań coś ciężkiego i obwinęło mu całą głowę, tak, iż otoczyła go ciemność zupełna.

— Mości panowie! — ratujcie! — krzyknął, bijąc piętami konia.

Rumak jednak, widocznie znużony ciężarem jeźdźca, jęczał tylko i stał w miejscu.

Pan Zagłoba słyszał wrzask, krzyki przelatujących koło siebie jeźdźców, potem cały ten huragan przeleciał, i naokół nastąpiła względna cisza. Znowu myśli tak szybkie, jak strzały tatarskie, poczęły mknąć przez jego głowę.

— Co to jest? co się stało? Jezus Marya! wzięto mnie w niewolę!

I na czoło wystąpiły mu krople zimnego potu. Widocznie owinięto mu głowę, tak samo jak on niegdyś Bohunowi. Ten ciężar, który czuje na ramieniu—to dłoń hajdamacka. Ale czegoż go nie prowadzą, lub nie zabijają? czemu stoi w miejscu?

— Puszczaj!—krzyknął wreszcie przyduszonym głosem.

Milczenie.

— Puszczaj! Daruję cię zdrowiem.

Zadnej odpowiedzi.

Pan Zagłoba raz jeszcze uderzył piętami w boki konia, ale znowu bez skutku.

Zatknięte bydlę rozkraczyło się jeszcze szerzej i stało w miejscu.

Wówczas ostatnia pasya pochwyciła nieszczęsnego jeńca i, dobywszy noża z pochwy, wiszącej mu na brzuchu, dał straszne pchnięcie w tył za siebie.

Ale nóż przeciął tylko powietrze.

Wtedy Zagłoba porwał obu rękoma za ową zasłonę, obwijającą mu głowę, i zerwał ją w mgnieniu oka.

— Co to jest?

Hajdamaków niema. Naokół pusto. Zdała tylko widać w dymie przelatujących kraśnych dragonów Wołodyjowskiego, a o kilkanaście staj dalej migocą zbroje husarzy, którzy gnają resztki niedobitków, zawracając je z pola ku wodzie.

Natomiast u nóg pana Zagłoby leży pułkowa chorągiew zaporoska. Widocznie uciekający kozak cisnął ją tak, że drzewcem wsparła się na ramieniu pana Zagłoby, a płachtą pokryła mu głowę.

Henryk Sienkiewicz.

5. Bój ze Szwedami w Nowym Sączu w r. 1655 ¹⁾.

Zrywa się Basia, próżno ksiądz ją woła:
Bez tchu stanęła już we drzwiach kościoła,
Jękla boleśnie i na miasto goni
Kędy blask łuny i szczęk słychać broni.
W mieście bój. Z straszną halabardą w dłoni
Pisarz Suszycki wprost na Basię goni;
Wzrok jego dziki, przerażone lica,
Przez plecy wiszą szabla i rusznica.
Śpiesząc tak, Basi białą postać zoczył
I, jak od widma, wstecz dwa kroki skoczył;
Aż, ochłonawszy, zawołał: »Tam, w bramie.
Bartek z czeladzią Szwedom karki łamie,
Od stodół — siano moje tam podpalili! —
Za dziewczętami wpadł i straże zwalił...
Zginą tam! — lecz ja — niech ich biorą czarty,
Nie pójdę. — Basiu, kościół czy otwarty?«
Lecz, na pytanie pisarzowe głucha,
Basia uciekła dalej i nie słucha.

A tu w ulicę kobiety i dzieci
Cisną się; wszystko do kościoła leci,
Gędowiczowa na głos opowiada,
Że już Wąsowicz z góralami wpada.

¹⁾ Na wiadomość o obronie Częstochowy przez Kordeckiego pierwsi mieszczanie w Nowym Sączu powstałi i wypędzili z miasta Szwedów.

Ich krzyk o mury dziko się obija,
Ale ich Basia nie poznaje, mija
I leci. Przed nią kilkunastu z bronią,
Z doboszem miejskim ku rynkowi gonia.
Basia za nimi; — już ujrzała rynek,
Ratusz, gdzie stoją mieszczanie w ordynek,
Zbrojni. Marcewicz, burmistrz, stał na przodzie.
Dał znak — i cały oddział już w pochodzie.
Tylko Stach Krawczyk nie stanął do frontu,
Jeno pod połą coś krył naksztalt lontu,
A gdy Marcewicz wiódł w zamkową stronę,
Stach się na niebo obejrzał czerwone
I zniknął. Basia chwilę się wstrzymała,
Błada, płomieniem ozłocona cała.
Na śniegu widać krew, szwedzkie tułowy
Leżą: — tym piersi strzaskano, tym głowy.
Znać, jako z domu na alarm wybiegli,
Tak pod ciosami mieszczan pierwsi legli.
Ale ta śmierci zgroza dla niej niczem.
Ona z zwróconem w płomienie obliczem
Stoi, i zda się, że czeka skinienia
Od bijącego w niebiosą płomienia.

Nagle ją z tego zapałtrzenia budzi
Krzyk i przy domu narożnym tłum ludzi.
Wielogłowskiego aryana ¹⁾ mieszkanie
Z Januszem starsi napadli mieszczanie
I wynosili szable, strzelby, piki.
Basia raz na nich rzuciła wzrok dziki,

¹⁾ Aryanie — sekta religijna.

T, jak spłoszona gołębia biała,
Ku Młyńskiej Bramie z rynku poleciała.

Jeszcze daleko od niej Młyńska Brama.
Ulica długa, noc, a ona sama
Leci. Na prawo, słychać, bój się wzmacnia,
Ale w niej jakaś nadludzka odwaga;
Padają strzały, kule ryją w śniegu,
Słychać szcęk, lecz nic nie wstrzyma jej biegu.
A wtem przy stodół czerwonych płomieniach
W prawo tłum zbrojnych obaczyła w cieniach
Kościoła. Kościół był Świętego Ducha.
Dwoje dział ogniem na czarny tłum bucha
Z muru; — ale ci, zbrojni siekierami,
Rąbią mur; w środku husarz ze skrzydłami,
Jak anioł ognia, połyskuje w stali:
Był to Wąsowicz z oddziałem górali.
I właśnie Basia w tej chwili nadbiegła,
Gdy się od siekier rozprysnęła cegła,
I tłum z ognistym aniołem na czele,
Wpadł na zamkniętych Szwedów przy kościele,
Na cmentarz. Ale Basia nie nie zważa
Na jęki, na nią lecące z cmentarza;
Biegnie i oczu o nic już nie pyta,
Sercem przeczuwa, sercem wieści chwytła,
Wie, gdzie jest Oskar¹⁾, i wie, że on żyje —
Żyć musi, bo jej serce dotąd bije:
Zmilkłoby, gdyby on padł... »Paść nie może,
Dokąd ja przy nim głowy nie położę!«

¹⁾ Oficer szwedzki, którego Basia kocha.

W to jeszcze jedno teraz dziewczę wierzy,
O reszcie nie wie nic — i dalej bieży.

Łuna szeroka, ponad łuną dymy,
Mur, bramne baszty, dwa czarne olbrzymy,
Znakami, jakby podwójnem ramieniem,
Wieją nad bitwą w dole i płomieniem.
A pod murami na iskrzącym śniegu
Ujrzała Basia w ściśniętym szeregu
Szwedów. Tam Oskar mignął się w przyłbicy,
Z mieczem, świecącym naksztalt błyskawicy,
Owiany dymem rotowym wystrzałów.
Wtem widzi... z Bartkiem młodź wpada od wałów,
Jak lwy, a w górze nad młodzią przyświeca
Bartkowa barda¹⁾ naksztalt półksiężyca.
Krawczyk zaś, jak czart, po murach się zwija,
W ręku mu syka lont, jak kręta żmija,
I grzmia co chwila Szwedowi organki²⁾,
A mur w ogniste ubiera się wianki.
Widzi to Basia i blednie, jak mara,
Leci i krzyczy, gdy ujrzy Oskara,
Milknie, gdy Oskar pośród tłumy znika.
Na strzał już tylko od niej bitwa dzika.
Lecz wtem z Furmańskiej ulicy wypada
Marcewicz, a z nim mieszczanów gromada.

Złamało Szwedów burmistrza natarcie:
Złamani, w kupach biją się zażarcie,

¹⁾ Halabarda.

²⁾ T. j. pala armaty.

Przez tłumy Basia przecisnąć się stara
 Tam, gdzie obaczy miecz lub hełm Oskara.
 Raz jeszcze trąbka zagrała w ordynek ¹⁾,
 Lecz darmo: musiał Szwed znieść pojedynek
 O śmierć! I każdy swego tam znachodził:
 Burmistrz trębacza szablą w kark ugodził,
 Szydłowski strzelca w łeb ugodził młotem,
 Gilowi sierżant skłuli piersi brzeszczotem,
 Tego szewc Cyrus przebił halabardą,
 Bartek rajtara szwedzkiego ciał bardą,
 A Oleksowicz zranił muszkietera;
 Pijanowskiego, gdy muszkiet odbiera,
 Trącił Jamoński, wziął broń i wypalił.
 Bartłomiej znowu chorążego zwałił,
 Gadowicz Szweda zadławił kulakiem,
 Browarnik walczył zaś ogniowym hakiem —
 A wśród nich Basia, jak widmo rozpaczy,
 Rwie się, gdzie tylko Oskara zobaczy.

Już Bartek krwią się po ramionach zboczył,
 Gdy wtem Oskara blizko siebie zoczył.
 »Miejsca! — zawołał — precz!

Ten smukły gaszek
 Dla mnie! Odstąpcie wy!

Ha! to mój ptaszek!
 Oskar, to słysząc, przez tłum się przeciska
 I, mieczem kręcąc, nad głowami błyska;
 Ten hełmem, Bartek czapką pokrył czoło,
 Reszta zaś dla nich uczyniła kolo.

¹⁾ Do szeregu.

I jęknął: »Boże! to ostatnie moje!
 A Bartek odrzekł: »Ha! twoje i moje!
 Nagle, jakby się obudził od grzmotu,
 Spojrzał: — Szwed w chłopą mierzył z bandelotu,
 Więc Januszowi zdał Basię pomału,
 Odtrącił chłopą, stał i czekał strzału.

Szwed chybił. Bartek porwał bardę z ziemi:
 »Czekaj, psiel! — wrzasnął piersiami całemi,
 I, gdy Szwed sięgnął po nabój w kartuszę ¹⁾,
 Wleciał nań cieśla, jako czarł na duszę,
 I ciał, że z karku odskoczyła głowa,
 Krwi go oblała struga purpurowa
 Lecz on, nie syty tej krwi w dzikim szale,
 Wpadł między Szwedów, a za nim górale
 Z kosami; ale barda tam rej wodzi:
 Co chwila krwawym półksiężycem wschodzi;
 Tak wśród kos i wśród góralskich toporów
 Sunie z nią, jak świerk wyniosły wśród borów,
 A kędy ramię, niby gałąź, przegnie,
 Słychać jęk, potem ktoś w ciemności legnie,
 I głuchym szczękiem chrzęśnie zbroja cała
 Nad piersią, która żyć i czuć przestała.

Szeroko Szwedzi zalegli śnieg biały,
 Organki Stacha jeszcze raz zagrzmiały,
 Dym buchnął, i Stach zniknął w dymu kłębie,
 A ostatniego Szweda Bartek rębie.
 Nikt nie poprosił, nikt nie dał pardonu;
 W niebo powrócił cichy anioł zgonu

¹⁾ Ładownicę.

Przez tłumy Basia przecisnąć się stara
 Tam, gdzie obaczy miecz lub hełm Oskara.
 Raz jeszcze trąbka zagrała w ordynek ¹⁾,
 Lecz darmo: musiał Szwed znieść pojedynek
 O śmierć! I każdy swego tam znachodził:
 Burmistrz trębacza szabłą w kark ugodził,
 Szydłowski strzelca w łeb ugodził młotem,
 Gilowi sierżant skłuli piersi brzeszczotem,
 Tego szewc Cyrus przebił halabardą,
 Bartek rajtara szwedzkiego ciał bardą,
 A Oleksowicz zranił muszkietera;
 Pijanowskiego, gdy muszkiet odbiera,
 Trącił Jamoński, wziął broń i wypalił.
 Bartłomiej znowu chorążego zwałił,
 Gadowicz Szweda zadławił kułakiem,
 Browarnik walczyi zaś ogniowym hakiem —
 A wśród nich Basia, jak widmo rozpaczy,
 Rwie się, gdzie tylko Oskara zobaczy.

Już Bartek krwią się po ramionach zboczył,
 Gdy wtem Oskara blisko siebie zoczył.
 »Miejsca! — zawołał — precz!

Ten smukły gaszek

Dla mnie! Odstąpcie wy!

Ha! to mój ptaszek!

Oskar, to słysząc, przez tłum się przeciska
 I, mieczem kręcąc, nad głowami błyska;
 Ten hełmem, Bartek czapką pokrył czoło,
 Reszta zaś dla nich uczyniła kolo.

¹⁾ Do szeregu.

I jęknął: »Boże! to ostatnie moje!
 A Bartek odrzekł: »Ha! twoje i moje!
 Nagle, jakby się obudził od grzmotu,
 Spojrzał: — Szwed w chłopa mierzył z bandelotu,
 Więc Januszowi zdał Basię pomału,
 Odrącił chłopa, stał i czekał strzału.

Szwed chybił. Bartek porwał bardę z ziemi:
 »Czekaj, psie!« — wrzasnął piersiami całemi,
 I, gdy Szwed sięgnął po nabój w kartuszę ¹⁾,
 Wleciał nań cieśla, jako czart na duszę,
 I ciał, że z karku odskoczyła głowa,
 Krwi go oblała struga purpurowa
 Lecz on, nie syty tej krwi w dzikim szale,
 Wpadł między Szwedów, a za nim górale
 Z kosami; ale barda tam rej wodzi:
 Co chwila krwawym półksiężycem wschodzi;
 Tak wśród kos i wśród góralskich toporów
 Sunie z nią, jak świerk wyniosły wśród borów,
 A kędy ramię, niby gałąź, przegnie,
 Słychać jęk, potem ktoś w ciemności legnie,
 I głuchym szczękiem chrzęśnie zbroja cała
 Nad piersią, która żyć i czuć przestała.

Szeroko Szwedzi zalegli śnieg biały,
 Organki Stacha jeszcze raz zagrzmiały,
 Dym buchnął, i Stach zniknął w dymu kłębie,
 A ostatniego Szweda Bartek rębie.
 Nikt nie poprosił, nikt nie dał pardonu;
 W niebo powrócił cichy anioł zgonu

¹⁾ Ładownicę.

I wszystkie dusze w ręce oddał Panu,
 Jakoby kłosy, wyzbierane z łanu.
 Zdjął też i lilie ze skrzydełek jedną:
 Białą, prześliczną Basi duszę biedną,
 A dając Bogu, prosił za nią: »Panie,
 Ta lilia niech się anioleczką stanie«.
 Radość zwycięskie krasila oblicza,
 Wszyscy stanęli wkoło Wąsowicza,
 A ten im począł: »Opowiem staroście,
 Jakoście dzielnie bili się Waszmoście.
 Imieniem króla: górą Sądeczanie!
 »Górą Wąsowicz! — krzyknęli mieszczanie, —
 Górą Wąsowicz, z bracią góralami,
 Górą! Jan Kaźmierz znów królem nad nami!
 Na to Wąsowicz, dziękując, odpowie:
 »Dzielnicie, ale, jak mi miłe zdrowie,
 Niema nad cieślę Bartłomieja chwata!
 Pójdź waść, niechaj cię uściskam, jak brata!
 I, gdy się husarz z mieszczaństwem ściskali,
 »Górą Bartłomiej!« wszyscy zawołali
 I trzykroć w górę orężę podnieśli,
 Wołając: »Górą sławna barda cieśli!«

Właśnie już Bartek bardę z krwi ocierał,
 Stał i spokojnie dokoła spozierał,
 Potem zdjął czapkę i rzecze: »Cześć Bogu,
 Ze się tak naszych krzywd pomścić na wrogu:
 Nam się to, bracia, jutro dostać miało,
 Dał Bóg — dziś Szwedom od nas się dostało,
 Więc Panu najpierw, — potem ludziom dzięki!
 Równą tu pracę miała każda ręka,

Każdy się równo dziełem wsławił krwawem«.
 To rzekłszy, z oczu łzy otarł rękawem,
 Ale wnet dodał: »Szkoda czasu psować,
 Tam ogień, — chodźmy do ognia ratować,
 By nam co jeszcze z domów nie zgorzało!
 Poszli więc za nim w ogień rzeszą całą.

M. Romanowski.

6. Śluby królewskie (1656).

Dzień był mroźny, jasny, drobniuchne żdźbła
 śniegu latały po powietrzu, błyszcząc na kształt
 iskier. Piechota łanowa lwowska i powiatu żyda-
 czowskiego, w półszubkach błękitnych, bramowa-
 nych złotem, i pół regimentu węgierskiego wycią-
 gnęły się w długi szereg przed katedrą, trzymając
 muszkiety przy nogach; przed nimi naksztalt pa-
 sterzy przechodzili wzdłuż i w poprzek oficerowie
 z trzcinią w ręku. Pomiędzy dwoma szpalerami
 płynął, jak rzeka, do kościoła tłum różnobarwny.
 Więc naprzód szlachta i rycerstwo, a za nią senat
 miejski z łańcuchami pozłocistymi na szyjach i ze
 świecami w ręku, a prowadził go burmistrz, słynny
 na całe województwo medyk, przybrany w czarną
 togę aksamitną i biret; za senatem szli kupcy,
 a między nimi wielu Ormian, w zielonych ze zło-
 tem mykach na głowie, i w obszernych wscho-
 dniczych chałatach. Ci, chociaż do innego obrządku
 należąc, ciągnęli wraz z innymi, by stan reprezen-

tować. Za kupiectwem dążyły cechy z chorągwiami, a więc: rzeźnicy, piekarze, szewcy, złotnicy, płatnerze, miodowarzy i ilu tylko innych jeszcze było: z każdego ludzkie wybrani szli za swoją chorągwią, którą niósł okazalszy od wszystkich urodą chorąży. Zaczem dopiero waliły bractwa różne i tłum pospolity, w łyżkowych kapotach, w kozuchach, gubniach, sukmanach, mieszkańcy przedmieść, chłopci. Nie tamowano przystępu nikomu, dopóki kościół nie zapelniał się szczelnie ludźmi wszelakich stanów i płci obojej.

Nakoniec zaczęły zajeżdżać i karety, lecz omijały główne drzwi, albowiem król, biskupi i dygnitarze mieli osobne wejście bliżej wielkiego ołtarza. Co chwila wojsko prezentowało broń, następnie żołnierze spuszczaali muszkiety do nogi i chuchali na zmarzniete dłonie, wyrzucając z piersi kłęby pary.

Zajechał król z nuncyuszem Widonem, potem arcybiskup gnieźnieński z księciem biskupem Czar-toryskim, potem ksiądz biskup krakowski, ksiądz arcybiskup lwowski, kanclerz wielki koronny, wielu wojewodów i kasztelanów. Ci wszyscy znikali w bocznych drzwiach, a ich karoce, dwory, masztalery i wszelkiego rodzaju dworscy utworzyli jakby nowe wojska, stojące z boku katedry.

Ze mszą wyszedł nuncyusz apostolski Widon, przybrany na purpurze w ornat biały, naszywany perłami i złotem. Dla króla urządzono klęcznik między wielkim ołtarzem a stalami, przed klęcznikiem leżał rozpostarty dywan turecki. Kanonickie krzesła zajęli biskupi i świeccy senatorowie.

Różnobarwne światła, wchodzące przez okna w połączeniu z blaskiem świec, od których ołtarz gorzeć się zdawał, padały na twarze senatorskie, ukryte w cieniu kanonickich krzeseł, na białe brody, na wspaniałe postawy, na złote łańcuchy, aksamity i fiolety.

Rzekłbyś: rzymski senat, taki w tych starcach majestat i powaga; gdziekolwiek wśród sędziwych głosów widać twarz senatora-wojownika, gdziekolwiek błysnie jasna główka młodego panięcia; wszystkie oczy utkwione w ołtarz, wszyscy modlą się; błyszczą i chwieją się płomienie świec, dymy z kadzielnicy igrają i kłębią się w blaskach. Z drugiej strony stallów kościół nabity głowami, a nad głowami tęcza chorągwi, jako tęcza kwiatów, się mieni.

Majestat króla Jana Kazimierza padł wedle zwyczaju krzyżem i korzył się przed Majestatem Bożym. Wreszcie wydobyl ksiądz nuncyusz z cyboryum kielich i zbliżył się z nim do klęcznika. Wówczas król podniósł się z jaśniejszą twarzą, rozległ się głos nuncyusza:

»Ecce Agnus Dei«¹⁾ i król przyjął komunię.

Przez jakiś czas klęczał schylony; nakoniec podniósł się, oczy zwrócił ku niebu i wyciągnął obie ręce. Uciszyło się nagle w kościele, tak, że oddechów ludzkich nie było słyhać. Wszyscy odgadli, że chwila nadeszła i że król jakiś ślub będzie czynił; wszyscy słuchali w skupieniu ducha, a on stał ciągle z wyciągniętymi rękoma, wreszcie głosem wzruszonym, ale jak dzwon, doniosłym tak mówić począł:

¹⁾ Oto Baranek Boży (łac.).

»Wielka człowieczeństwa Boskiego Matko i Panno! Ja, Jan Kazimierz, Twego Syna, Króla królów i Pana mego i Twojem zmiłowaniem się król, do Twych Najświętszych stóp przychodząc, tę oto konfederacyę czynię: Ciebie za Patronkę moją i państwa mego Królową dzisiaj obieram. Mnie, Królestwo moje Polskie, Wielkie Księstwo Litewskie, Ruskie, Pruskie, Mazowieckie, Zmudzkie, Inflanckie i Czernichowskie, wojsko obojga narodów i pospólstwo wszystkie Twojej osobliwej opiece i obronie polecam; Twojej pomocy i miłosierdzia w terażniejszym utrapieniu królestwa mego przeciwko nieprzyjaciółom pokornie żebrzę...

Tu padł król na kolana i milczał chwilę, w kościele ciągle cisza trwała śmiertelna, więc wstawszy, tak dalej mówił:

»A że wielkimi Twemi dobrodziejstwami zniewolony, przymuszony jestem z narodem polskim do nowego i gorącego służenia Tobie obowiązku, obiecuję Tobie, mojem, ministrów, senatorów, szlachty i pospólstwa imieniem, Synowi Twemu, Jezusowi Chrystusowi, Zbawicielowi naszemu, cześć i chwałę przez wszystkie krainy Królestwa Polskiego rozszerzać, czynić wolę, że, gdy za zmiłowaniem Syna Twego otrzymam wiktoryę nad Szwedem, będę się starał, aby rocznica w państwie mem odprawiała się solennie do skończenia świata, rozpamiętywaniem łaski Boskiej i Twojej, Panno Przeczysta!«

Tu znów klęknął i przerwał. W kościele uczył się szmer, lecz głos królewski wnet go uciszył

i, choć drżał teraz skruchą, wzruszeniem, tak dalej mówił jeszcze donośniej:

»A że z wielkim żalem serca mego uznaję dla jęczenia w opresyi¹⁾ ubogiego pospólstwa oraczów, przez żołnierstwo uciemiężone, od Boga mego sprawiedliwą karą, przez siedem lat w królestwie mojem różnemi plagami trapiącą nas wszystkich, ponoszę, obowiązuję się, iż po uczynionym pokoju starać się będę ze stanami Rzeczypospolitej, usilnie, ażeby odtąd utrapione pospólstwo wolne było od wszelkiego okrucieństwa, w czem, Matko miłosierdzia, Królowo i Pani moja, jakoś mnie natchnęła do uczynienia tego wotum, abyś łaską miłosierdzia u Syna Twego uprosiła mi pomoc do wypełnienia tego, co obiecuję«. Słuchało tych słów królewskich duchowieństwo, senatorowie, szlachta, gmin. Wielki płacz rozległ się w kościele, który naprzód w chłopskich piersiach się zerwał i z onych wybuchnął, a potem stał się powszechny. Wszyscy wyciągnęli ręce ku niebu, rozplakane głosy powtarzały: »Amen! amen! amen!« na świadectwo, że swoje uczucia i swoje wota ze ślubem królewskim łączą. Uniesienie ogarnęło serca, i zbratały się w tej chwili miłości dla Rzeczypospolitej i jej Patronki.

Zaczem radość niepojęta, jako czysty płomień, rozpalila się na twarzach, bo w całym tym kościele nie było nikogo, kto by jeszcze wątpił, że Bóg Szwedów pogrąży.

H. Sienkiewicz.

¹⁾ Opresya — ucisk.

7. Kopia husarska.

— Dziadku! co to jest kopia?

Dziadek był ciemny. Dawno nie zaglądał — do książek. I nie od czytania też ociemniał. Dość mu było przez lat siedemdziesiąt patrzeć na ten świat. W siedemdziesiątym i którymś roku życia zasłonił mu Pan Bóg oczy. Od tej chwili zaprzestał dziadek rachować sobie lata. Czas nie tylko stanął mu w biegu, lecz cofnął się wstecz. Myśli dziadka zwróciły się w pierwsze lata i krążyły jeszcze bez przerwy około dawnych wspomnień.

— Co to kopia?! Hej, panie podkomorzy parnawski! cóżbyś powiedział, słysząc to zapytanie! Mów im o kopii, a nie zrozumieją, póki nie powiesz: lanca. Kiedy słyszą, że niegdyś nad łóżem szlacheckiem wisiała szabla, to myślą sobie: Dawne to czasy! A kiedy im prawisz, że jeszcze pierwiej, niż szabli, dawano tam miejsce kopii, to myślą sobie: Zapomina się dziadek! A przecież za naszych czasów dobrze o tem wiadano. I nie było nikogo od Pałuk aż po Parnawę, coby był nie znał kopii pana podkomorzego parnawskiego Kampenhausena. Wszystkie po nim były to już tylko lance lub piki; on ostatni miał prawdziwą kopię husarską.

Jak dziś, pamiętam ją u niego w Rybiszkach, gdzie się wychował. Blisko trzy sążnie długa, gruba u tulei, jak ramię, a lekka, jak palma w kwietnią niedzielę! Drzewce miała z młodej, prostej

osiki, wydrażone u spodu, żółto pokostowane. Tuleja, to jest żelazna oprawa u spodu aż po rękojeść, mierzyła przynajmniej półtora łokcia. Grot był o trzecią część krótszy, czworograniasty; tylko partacze używali trójgraniastych albo okrągłych. Dla wzmocnienia wiotkiej kibici kopii, biegły od grotu na dobre półtora łokcia dwa mocne pręty, czyli pióra żelazne. Po oprawie tych piór można było zmiarkować mistrza.

W nich to się cała dzielność kopii ukrywała. Przy dobrej osadzie były pióra na pół cala szerokie, dwunastą część cala grube i w pół drzewca wpuszczone. Ćwieki, którymi je przymocowano, musiały wprzód umaczane być w wodzie. Dziurki do ćwieków nie powinny wiercone być naprzeciw sobie. Główki od ćwieków miały być gładkie, aby się ręka na nich nie zadzierała.

To też gładka i równa i polerowna była kopia pana podkomorzego, jakby cacko panienske, i strojna w kitajkowy proporzec, który zwisał poniżej grotu, koloru żółtego i zielonego, na ćwierć łokcia szeroki, a do pół kopii długi. I gdy, bywało, uwinięta w wstęgę proporca, tuli się kopia pana podkomorzego spokojnie w kącie przcz łożu pańskim, myślałbyś, że to bawidełko niewinne, gdyby nie czerwona plama na grocie, krew szwedzka z pod Klissowa.

Kochał się też pan podkomorzy w swojej i we wszystkich kopiach! I napisał nawet uczoną książkę na ich pochwałę, którą potem księża Jezuici wydrukowali w Kaliszu. Kiedy już w podszłych leciech wziął mię chłopcem do siebie, mu-

siałem nieraz czytywać przed nim z tej książki, jako wielce moralnej i użytecznej młodemu wiekowi. Owszem, dedykował¹⁾ ją z tej przyczyny bardzo pobożnemu kapłanowi, księdzu biskupowi płockiemu Dębowskiemu, swemu kolligatowi²⁾, z którym najwięcej dla tego pochlebiało mu powinowactwo, ponieważ książd biskup był herbu Jelita, czyli trzy kopie. Tak, jeszcze dzieckiem będąc, nauczyłem się cenić i szanować kopie hussarską.

Toć to najstarożytniejsza broń świata, głośna w Piśmie św. i w pismach mędrców pogańskich. Kopii krótkiej zażywali niektórzy królowie w oznakę najwyższej władzy. Później, gdy berła wymyślono, służyła ona kapłanom pogańskim za także godło. Po rozszerzeniu się ewangelii i nastaniu rycerstwa chrześcijańskiego, przeszła kopia w ręce rycerzy, poczytujących ją za najzaciejszą broń swoją. Miecz pozostawiono giermkom i pacholikom, a rycerz kruszył kopie.

W tych to czasach rycerskich walczyło nią wielu bohaterów cnotliwych, którzy po śmierci weszli, jako święci, w kalendarz. Czy widziałeś, chłopcze, aby jakiego świętego malowano kiedy z strzelbą lub bandoletem? a z kopią jest ich kilku, jako św. Marcin, św. Maurycy. Dlatego też i Dawid ofiarował Panu Bogu kopie Goliata, a procy, którą wiktoryę³⁾ z niej otrzymał, nie ofiarował.

Wtedy z krzyżem dostała się kopia do Polski.

¹⁾ Dedykować — poświęcić, przypisać (książkę).

²⁾ Kolligat — krewny, powinowaty.

³⁾ Wiktorya — zwycięstwo.

Dobrze jej było u nas, jak nigdzie w świecie. Kopia znalazła u nas, czego kopii potrzeba; my w kopii, co dla nas najpotrzebniejsze. Boć kopii najmilej w szerokiem polu, w roztworzystym obszarze, a gdzież pola więcej, niż w Polsce! Naszemu zaś niebu godzi się oręż, którego nie uszkodzi wilgoć, nie zamoczą deszcze, nie strawi rdza, a w tem niemasz nad kopie. To jedyna zdrowa, jedyna żywa broń! Z muszkietu gdy wystrzelisz, to go rzuć potem chyba w błoto. Lepiej wtedy mieć dobrą dębową pałkę, niż flintę, w ręku. Kopia, przeciwnie, zawsze nabita. U niej proch nie zwilgotnieje, zapal się nie zatka, skałka się nie rozpali, panewka zawsze sucha i chędogą bez daszków, płaszczyków i namiotków, niezbędnych flincie. Nie boi się ani słońca, ani deszczu, ani rosy, ani kurzawy. Nie potrzeba jej plastru, szpiku, oliwy; obejdzie się bez rożków i flejtuchów; nie wie, co szrub-sztak i drewnienko do polerowania. A trzykroć dalej sięgnie, niż szabla.

Dlategoż przylgnął Polak do kopii, a kopia do Polaka. Była to przyjaźń i miłość, jak za dni Dawida i Jonatana. Nie pozwolono używać jej nikomu, jak tylko szlachcicowi. Szlachcic zaś, czy to w domu, czy w polu, nie miał nic kosztowniejszego nad kopie. W czasie pokoju, gdy, bywało, dom stawia, bierze naprzód kopie do ręki i wymierza nią wysokość i szerokość komnat, aby jej nie było ciasno w nowym budynku. Gdy na wojnę ruszono, rozsyłał hetman nowe kopie rycerstwu. Gdzie po leżach zimowych stanąć miało wojsko obozem, tam, wedle starodawnego zwyczaju, za-

tknięto kopię w polu albo na łące. W batalii kopia, ten najpewniejszy klucz do wiktoryi, otwierała niechybnie wrota zwycięstwa. Ona to impetem swoim rozbiła chmury nieprzyjacielskie pod Kircholmem, Kluszyńcem, Chocimem i Cudnowem. Drzewce kopii stało się drzewem, na którym sława polska najpiękniejszy męstwa swojego wydała owoc. Wojownik, któremu przed innymi powierzono ją do piastowania, zwał się husarz. Był to ostatni rycerz wedle Pisma świętego.

Chłopiec już nie słyszał ostatnich wyrazów. Usnął w pół rozprawy u kolan dziadka. Ukołysany opowiadaniem, marzył słodko o husarzach i kopii.

K. Szajnocha.

8. Trzeci maj (1791).

Na warszawskim rynku
Chorągwie się chwieją,
Zajaśniała wiosna,
Majową nadzieją!

Zajaśniała wiosna,
Nad ojczystym łanem,
Dziś się w służbie dla Ojczyzny
Chłop porównał z panem.

Na warszawskim rynku,
Tam muzyki grają,

Stanowi kmiecemu,
Bracia prawo dają.

Nadają mu prawo,
By bronił tej ziemi,
Razem z cnymi rycerzami,
Jak z braćmi starszymi.

Na warszawskim rynku,
Tam naród zebrany,
Idą karmazyny,
Idą i mieszczany.

Pan Andrzej Zamojski
Idzie z kmieciem w parze,
A z czeladzią tą cechową
Idą dygnitarze.

Radzili na sejmie
Całe cztery lata,
Uradzili, że się
Naród w jedno zbrata.

Czas ci, Polsko, zgoić
Twoje ciężkie blizny!
— Wszyscy dzisiaj równi sobie
W obliczu Ojczyzny.

Na warszawskim rynku,
Biją wszystkie dzwony,
Wolnych synów Polsce,
Przybyły miliony.

Idą do katedry,
Do świętego Jana,
Złoto — przy kapocie,
Przy delii — sukmana!

O ty, dniu radosny,
O ty, trzeci Maju,

Zapachniałeś kwieciem
W całym polskim kraju.
Zapachniałeś kwieciem
Najsłodszej wonności:
— Miłością Ojczyzny
I bratniej jedności.

Ps. Jan Sawa.

Marie Konopnicka

9. Uchwalenie Ustawy 3^{go} maja 1791 r.

Gdy już ustawa rządowa wypracowaną i ukończoną została, gdy jej nawet czytanie udzielono wielu, złożono dnia 2-go maja 1791 r. sesję trzech prowincyi ¹⁾ w dużej sali pałacu Radziwiłłowskiego. Zebrali się tam posłowie przeciwnej nawet strony, i wyznać muszę, że wielu z nich, między nimi Krzucki, wołyński, oddawał jej sprawiedliwość. Lecz strona rosyjska, co, nie znając jej nawet, wcześniej ułożyła sobie być jej przeciwną, po usłyszeniu jej, bardziej się jeszcze dąsać i choć pocichu odkazywać zaczęła. Liczba jej jednak nie była ni wielka, ni śmiała. Branicki, Kossakowski, Raczyński, posłowie Szczęsnego, Potockiego, Suchorzewski, zebrali się w nocy u Bułhakowa, który po Stackelbergu był posłem rosyjskim w Warsza-

¹⁾ T. j. Wielkopolski, Małopolski i Litwy.

wie; był z nimi i Małachowski, kanclerz, tyle zły obywatel, ile przykładnym był brat jego, marszałek sejmowy.

Na schadzce tej podburzono Suchorzewskiego aż do szaleństwa, perswadując mu, że ustawa ta, uchwalając dziedzictwo berła, wprowadzała na wieczne czasy w Polsce ohydny despotyzm, i że dziś otwarte każdemu było pole, przeciwiając się jej z całej siły, podać imię swoje do najpóźniejszej potomności. Łatwo w przygotowanej już do tego duszy utkwiły te słowa.

Tymczasem 2-go maja 1791 r., gdy treść cała ustawy 3 maja głośną się stała, rozeszła się wieść, jakoby strona rosyjska zbrojną ręką przeciw się jej chciała. Uczyniło to patryotów ostrożnymi. Kołłątaj, referendarz na on czas koronny, co w czasie rewolucyi stał się tak głośnym i czynnym, człowiek śmiały, pierwszy, co u ludu i mieszczan wziętość sobie skarbić zaczął, pierwszy, co ich za sprężynę dopięcia widoków swych użył, Kołłątaj, mówię, przez zauszników swoich: Konopkę, przechrztę Dembowskiego, i prezydenta naówczas miasta, gorliwego obywatela Dekerta, pobudził mieszczan warszawskich, że tłumnie zgromadzili się koło zamku królewskiego i wszystkie przystępy do niego zajęli, wołając głośno:

— Wiwat konstytucya!

Przyszła godzina zaczęcia sesyi; senat i posłowie zgromadzili się licznie; na galeryach dla arbitrów ¹⁾, w każdym pozostałym miejscu mnó-

¹⁾ Widzów.

stwo ciekawych tak ważnego zdarzenia. Gdy król zasiadł na tronie i marszałek sesję zagaił, spostrzegłem Braneckiego, otoczonego rębaczami swymi; żem z tyłu niedaleko siedział, słyszałem, jak jeden z poufanych jego, zbliżywszy się do ucha, rzekł mu:

— A cóż, panie Ksawery, machniemy?

Branecki, pomieszany, tem tylko odpowiedział słowem:

— Wara!

Odtąd nie było opozycji. Wezwał marszałek deputację spraw zagranicznych, by dała sprawę o położeniu i związkach naszych z obcemi mocarstwami. Lecz nie dopuścił tego Suchorzewski, poseł kaliski, sam domagając się głosu, a gdy mu przeczęno, mówiąc, że pierwszeństwo deputacji się należy, wyszedł Suchorzewski z miejsca swego, a w pośród izby sejmowej padłszy, jak długi, na ziemię i machając rękami i nogami, jakby pływał, zbliżył się do tronu, wrzeszcząc do króla, aby nie dopuścił gwałcić świętych rzeczypospolitej wolności. Porwawszy się potem za nogi i uchwyciwszy dziesięcioletniego syna za rękę, rzecze:

— Wiem ja, że nie tylko na rzeczpospolitą, ale na najpierwszego obrońcę jej, na moje życie jest sprzysiężenie (tu niepojęte o sprzysiężeniu tem zaczął prawić duby), kończąc, że sobie i synowi śmierć zadać gotów, gdyby wolność szlachecka zginąć miała.

Zapewniono go zewsząd, że nikt ani na wolność, ani na życie jego nie dybie. Wyszedł więc

Suchorzewski i nazajutrz ruszył do Wiednia do Szczęsnego Potockiego i Rzewuskiego.

Deputacya zaczęła czytać swe sprawozdanie.

Po skończonem sprawozdaniu deputacyi, zabrał głos marszałek litewski, Ignacy Potocki, prosząc króla, aby podał narodowi środek, jak ma sobie w zagrażających niebezpieczeństwach postąpić. Król zawołał ministeryum do tronu i w głosie dobitnym wskazał, iż najdogodniejszym środkiem uważał przyjęcie gotowej już konstytucyi, kładącej koniec długiej polskiej anarchii¹⁾. Po niejakiach przeciwnościach się w czytaniu, odczytano ją na koniec. Zaczęły się natychmiast jeden po drugim głosy zwolenników rosyjskich; to jednak godne uwagi, że ani Branecki, ani Kossakowski, ani Massalski nie odezwali się, a gdy po kilku godzinach cikliwego gadania powszechna okazała się niecierpliwość, Michał Zabiello, poseł inflancki, który przez cały ciąg sejmku nie odezwał się i razu, powstał i zawołał:

— Mości królu! Prosimy WKMości, abys wezwał stany do zaprzysiężenia całej konstytucyi.

Powszechny okrzyk nie tylko sejmujących, ale i arbitrów głos ten powtórzył. Senat i posłowie ruszyli się naprzód do tronu; król natychmiast wezwał biskupa krakowskiego, Turskiego, a ten z ewangelią zbliżył się do tronu. Król i my wszyscy poprzysięgliśmy z niewymownym zapalem, ręce do góry podnosząc. Król, przysięgłszy, te dodał słowa:

¹⁾ Anarchia — bezrząd.

»Juravi et non me poenitebit«¹⁾. Ruszył wraz sejm cały do katedry św. Jana, odśpiewano »Te Deum laudamus«²⁾ przy huku dział i radosnych okrzykach niezliczonego ludu.

Tegoż wieczora jeszcze »Gazeta narodowa« o przyjęciu konstytucyi dała publiczności wiadomość: nazajutrz całą tę opisała sesyę, umieszczając głos Suchorzewskiego i innych. Jest to jeden z najciekawszych zabytków tej epoki.

Jak w życiu człowieka, tak w życiu narodów są chwile, krótkie, niestety! gdzie im zdarza Opatrzność czuć radość i wesele, nie zmieszane żadną gorczyzą. Taka to była chwila, w której ustawa 3-go maja ogłoszoną została. Dla dania jej tem większej powagi, na sesyi 5 t. m., za wnioskiem biskupa Kossakowskiego, marszałek raz jeszcze po trzykroć zapytał stanów o zgodę na nią: powszechna zgoda bez żadnego już przeciwnieństwa potwierdziła tę ustawę.

Podług przyjętego zwyczaju, członkowie sejmowi do konstytucyi wyznaczeni, podpisali ją.

Lecz nie tylko naród polski przyjął z radością ustawę tę; co tylko było w Europie mężów cnotą, światłem i zasługami znakomitych, pośpieszyli wszyscy z oddaniem hołdu i pochwał królowi oraz narodowi za tak ważne dzieło. Między wszystkimi atoli pośpieszył najpierwszy z oddaniem hołdu Polakom sam Fryderyk Wilhelm II, król pruski, w liście swoim z 23 maja 1791 r. do króla, a czy-

¹⁾ Przysiągłem i nie pożałuję (łac.).

²⁾ Ciebie, Boże, chwalimy (łac.).

tanym publicznie na sesyi sejmowej, winszując Polakom tak zbawiennej dla nich ustawy. Któżby był zgadł na ówczas, że nie ubieży i rok, a tenże monarcha odważy się wyprzec bezwstydnie i listów i przyrzeczeń i uroczystego zawartego z Polską przymierza; co więcej, że pierwszy poda myśl rozszarpania na szmaty kraju, który sam bronić, wspierać i powiększyć przyrzekał.

Lubo ustawa 3 maja 1791 r. znana jest dobrze światu, nie będzie od rzeczy, choć cenniejsze jej punkta w tem miejscu położyć. Podług więc tej ustawy, berło polskie dziedzicznem się stawało, tolerancyę wszystkich religijnych wyznań zapewniono, a stanowi szlacheckiemu równość między sobą i używanie wszelkich swych przywilejów, królewskie miasta wysyłały swych deputowanych. Służba cywilna lub wojskowa otwierała mieszczanom do szlachestwa drogę. Stan wiejski zabezpieczony od wyzysku szlachty i pod opiekę prawa wzięty. Władza prawodawcza w dwóch izbach sejmowych, wykonawcza przy królu, z przydaną mu strażą, z ministrów złożoną. Ministrowie odpowiedzialni; $\frac{3}{4}$ części sejmujących ministra oddalić mogło. Sądownictwo niepodległe. Cztery komisye: edukacyi, policyi, wojny i skarbu, składały zarządzenie kraju. Trybunał pierwszej instancyi, trybunał apelacyjny; liberum veto i wszelkie konfederacye usunięto na zawsze. Konstytucya co lat 25 poprawiana być miała.

Porównyując ustawę tę z temi, które bieg czasu, a z nim rozprzestrzeniające się coraz światło powszechnie innym nadało później narodom,

wyznać należy, iż wiele jeszcze podług pojęć dzisiejszych nie dostawało polskiej, mianowicie tej wielkiej zasady, że w obliczu prawa każdy człowiek jest sobie równym. Lecz ktokolwiek przenieść się zechce w owe czasy; kto zważy, że sama szlachta sejm ten składała, że znaczna jej część zastarzałymi przesądami rządzoną była, lub ślepo partyzantom nieprzyjacielskim powolną; kto zważy, iż położono zastrzeżenie, że konstytucya co lat 25 poprawianą być mogła — przyznać powinien, że sejm 1791 r., w położeniu swoim czyniąc, nie co chciał, lecz co mógł, zostawił następcom swoim sposobność udoskonalenia dzieła swego.

J. U. Niemcewicz.

10. Przypowieść o żołnierzach.

Do pewnego miasta szturmowali żołnierze mężni, i postawiono na murze drabinę, a wojsko krzyknęło: »Kto pierwszy postawi nogi na murze, będzie miał znak wielki wojskowy«.

Przybiegła pierwsza rota: a iż każdy chciał pierwszy wstąpić na szczyble, zaczęli się odpychać i obalili drabinę i pobici są z murów.

Postawiono więc drugą drabinę i nadbiegła druga rota, a który pierwszy skoczył na szczyble, puszczono go, a drudzy postępowali za nim.

Ale pierwszy żołnierz w pół drabiny stracił siłę i zatrzymał się, drugim zawalając drogę.

A więc następujący żołnierz, targał się z nim i oderwał go i w dół rzucił, i innych zepchnął; zrobiło się zamieszanie wielkie, i wszyscy pobici są.

Aże postawiono trzecią drabinę, i wbiegła trzecia rota; pierwszy żołnierz dostał ranę i iść dalej nie chciał. Ale następujący po nim był mąż silny i ogromny, więc, nie nie mówiąc, porwał go, i niósł przed sobą i zastawiał się nim, jak tarczą, i postawił go na murze; zaczęli wbiegli inni porządkiem, i miasto zdobyli.

A wojsko potem weszło w radę i chciało dać znak wielki owemu żołnierzowi silnemu. On zaś tak im mówił:

— »Bracia żołnierze, okrzyknęliście, że, kto pierwszy na murze nogi postawi, znak weźmie; a oto jest żołnierz ranny, który stanął przede mną, on tedy znak weźmie. Przez niego Bóg miasto zdobył.

Nie ważcie go sobie lekce, mówiąc: iż tylko prędkości nóg winien pierwsze miejsce; bo i prędkość jest przymiot w żołnierzu, jako i siła i męstwo.

Nie mówcie, iż on nic nie sprawił; bo, gdyby go nie raniono przede mną, tedy ja odniósłbym tę ranę, i możebyśmy miasta dziś nie wzięli.

A ten, kto zasłania, równy temu, kto walczy, i tarcz ma równą cenę, jak miecz. Znaku nie potrzebuję, bo wszyscy wiedzą, com zrobił«.

Bóg daje zwycięstwo, używając prędkości jednego, męstwa drugiego, siły trzeciego; a skoro człowiek zręczny lub silny, zamiast nieść w górę

towarzysza słabszego, strąca go, tedy robi zamieszanie i kłeski; a jeśli chwali się z zasługi swej, zasiewa niezgodę.

A. Mickiewicz.

II. O Kilińskim (1794).

Posłuchajcie historii!
Lat czterdzieści temu prawie¹⁾,
Jak Kiliński żył w Warszawie,
A był szewskiej profesyi.
Był to dobrze człek osiadły,
Miał dom własny, nań przypadły.
Wziął za żoną coś gotowych,
Przytem dziesięć palców zdrowych.
Ze był majstrem, więc miał wreszcie
Warsztat w domu, a sklep w mieście,
A że był też człek serdeczny,
Sławny, trzeźwy i dostatni,
I bezpieczny i stateczny,
Więc był w mieście nie ostatni.
Jakoż czy to kogo zgodzić,
Czy zmiarkować, czy uchodzić,
Czy podźwignąć — czy pobratać, —

¹⁾ Pisane około r. 1830.

Czy potrzymać, czy poswatać,
Czy ubóstwem ród podzielić,
Czy pogrzebać, poweselić,
Nigdy Jan się nie usunął,
Ani skrewił, ani skrecił;
Zawsze prawdę w oczy lunął,
Co miał w sercu, w mowie święcił;
A że zawsze prawdą chodził,
Więc rej w całym mieście wodził.
Prym¹⁾ miał między sławetnymi
Na gospodzie w dniu gotowym
Starszy w bractwie różańcowem
Siedział w ławie przed wszystkimi.
Furda wszystkie kasztelany —
Jemu to szedł pokłon z koła,
Kiedy suto rznął przybrany
W dzień świąteczny do kościoła.
Boć też dyabła była mina!
Wąs do góry, w tył wyloty,
W ręku srebrem kuta trzcina,
But chędogi — a pas złoty.
Dobre były tamte czasy,
Gdy szewc nosił złote pasy!
Kto był czysty, miał prym wszędzie,
Kto pracował, miał do syta,
Człek uczciwy był w urzędzie,
Bo była rzecz pospolita!
Więc był radnym Jan w stolicy,
I na miejskiej ławie siedział;

¹⁾ Pierwsze miejsce.

Zawsze wypił, co w szklanicy,
A co w sercu, wypowiedział.

W. Pol.

15. U generała Igielsztroma

(Z pamiętników J. Kilińskiego z roku 1794).

Naprzód przysłany był oficer od Igielsztroma po mnie, abym u niego w ten czas stanął, te słowa bardzo mnie obeszły, lecz ja jednak, nie tracąc nadziei, jak najprędzej począłem się wybierać, aby mnie pod wartą nie prowadzili. Rad nie rad, zostawiłem mego oficera w pierwszym pokoju, a sam do drugiego poszedłem ubierać się, a przemyśliwając o tem, iż tam siedzą drudzy Polacy u niego w piwnicy; z tem wszystkiem jednak pan oficer woła na mnie: »Poskarej! ubierajcie się i stupajcie!« A ja, ubrawszy się dobrze, wziąłem do boku swój pałasz, dobrze wyszlifowany, i wziąłem za cholewę dobry puginął, który miał długości pół lokcia, oprócz trzonka, żelaza samego, i tak się już postanowiłem, że, gdyby mnie kazał aresztować, tom sobie umyślił wprzód jego, a potem i więcej, a na ostatku i siebie zabić, aniżeli dać się aresztować. A gdy już szedłem z onym oficerem, wezwałem z sobą moich dwóch czeladzi, którym przykazałem, aby czekali przed kościołem księży

Kapucynów, gdzie okna były wychodzące od Igielsztroma, aby dali znać drugim, co się ze mną dziać będzie. Z tem wszystkiem jednak, idąc po schodach do tego pana Igielsztroma, przed którym pragnąłem jak najprędzej stanąć i ukończyć z nim złe czy też dobrze, żegnam się, a gdy mnie już zameldowano, tak zaraz kazał mnie przywołać do siebie, gdzie było bardzo wiele u niego oficerów, a ja, skłoniwszy się jemu, rzekłem do niego to, iż na rozkaz jego stanąłem, aż do mnie rzekł Igielsztrom: czyli ty jesteś Kiliński? Odpowiedziałem mu, że ja. »A ty buntownik, ty sukinsyn«. I tak mnie coraz więcej traktował obelżywemi słowami, aż dalej pluł na mnie i coraz więcej wymyślał, ile tylko wymysłów być może, tylem ja słuchać od niego musiał. Ale ja, ośmieliwszy się, rzekłem do niego: »I czegoż pan na mnie wymyślasz? i czemuż mi nie dozwolisz do siebie mówić? alboż ja twój poddany, abys na mnie, jak na chłopca swego, burczał?« — wtę wziąłem się za pałasz. Igielsztrom, patrząc na mnie, rzekł: »Ty jesteś buntownik, sukinsyn, kudaż ty wczoraj bywałeś?« Ale obróciwszy się do swego kantorka, wyjął z niego raport, który, w szkołach pojezuickich wszystko com ja tylko wymówił, raportem swoim doniósł, więc jeszcze Igielsztrom powtórnie mnie pytał: »Czyli ty Kiliński?« Odpowiedź: »Ja«. »A ty byłeś dnia wczorajszego w szkołach pojezuickich?« Odpowiedź: »Byłem«. »Ty podawałeś sposób dla buntowników, jak oni mają rozpocząć rewolucyę?« Odpowiedź: »Ja«. A gdy to wymówiłem, Igielsztrom wymówił do tych oficerów: »Posłyszycie, gospoda oficery, szto jętot

sukinsyn gaworit naprotiw nam«. I zaraz zaczął ten raport czytać, co w nim było opisano, co do słowa to, eom ja wymówił, to on napisał, ale gdy skończył czytanie swoje, tak zaraz mówił do mnie: »Osudzi się sam, kak ty wisieć powinien«. Ale ja odpowiedziałem jemu: »Ze nie ja, lecz on wisieć powinien, a gdy my przyjdziem z sobą przed sąd, to nie ja, lecz pewno pan wisieć będziesz, ponieważ mnie i drugich pan namawiałeś, abyśmy byli szpiegami, i jeszcze obiecywałeś wyrobić nam majorskie rangi i do nich pensyę, abyśmy ci szpiegowali i donosili tych, którzy co naprzeciw tobie gadać będą; ja się spodziewam tego, że tu więcej takich z kolegów moich przed panem doniesionych będzie; ja i koledzy moi byliśmy proszonymi od pana i od pana Rafałowicza, prezydenta, abyśmy się rozeszli po różnych szynkowniach, bilardach, winiarniach, kafehauzach¹⁾ i abyśmy słuchali, co też ludzie gadać będą. Więc ja na dniu wczorajszym, będąc proszonym od tych buntowników do szkół Jezuickich, więc byłem zaraz przymuszonym do przysięgi, gdzie leżał na mnie przygotowany pugińał, czego świadkiem jest ten szpieg, który mnie tak doskonale przed panem opisał. On mnie tylko uprzedził, ponieważ ja to samo byłbym na dniu dzisiejszym Magistratowi doniósł, ale skoro mnie ten szpieg uprzedził, teraz ja nie mam przyczyny donosić, ale skarżyć się na prezydenta będę, że on nas w nieszczęście wprowadza, za co my łajani jesteśmy«. Igielsztrom, usły-

¹⁾ Kafehauz — kawiarnia.

szawszy ode mnie takowe słowa, zaraz, obróciwszy się do swoich oficerów, począł mówić do nich: »To jest wielka prawda, iż ja ich mam sobie osób podanych więcej magistratowych«. A dla tem lepszego przekonania dobył z kantorku drugiego i trzeciego raportu szpiegów swoich, którzy także byli oskarżyli pana Wulfersa i pana Tykla, radnych, którzy także przy winku gadali o tem, jakby dać Kościuszcze pomoc z miasta Warszawy; więc skoro się Igielsztrom naradził ze swymi oficerami, tak zaraz z tonu grubego i zuchwałego spuścił i zaczął do mnie łagodniej gadać, i co mówił na mnie »durak«, »sukinsyn«, to potem mówił mi pięknie, »waćpan« mi mówił. Ja, lubo byłem w wielkiej pasyi, będąc tak ciężko obelżonym, alem się jednak roześmiać musiał, gdyż z duraka na pana u niego wyszedłem, jednak do niego mówiłem te słowa: »Jaśnie wielmożny ambasadorze, mocno się panu dziwuję, żeś mnie tak mocno złażał, i czyliż się sam dorozumieć możesz, że ten szpieg, co tam był, daleko więcej na was gadał, aniżeli ja, bo, gdyby sam się był patriotą nie okazał, toby go między sobą zamordowano; tak też to ja gadać musiałem, ponieważbym się od nich niczego nie dowiedział, ale tak dowiedziałem się tego, co się dzieje w publiczności«. Igielsztrom, widząc to, że mu się śmiało tłómacze, zaczął mnie przeproszać i całować, obiecując mi jakąś nagrodę za to, że się na mnie rozniewał, ale, zawoławszy na swego kamerdynera, kazał przynieść likieru, którego w kielich nalawszy, pił do mnie. Ja, odebrawszy od niego, powiedziałem mu, że to będzie dla

sukinsyn gaworit naprotiw nam«. I zaraz zaczął ten raport czytać, co w nim było opisano, co do słowa to, eom ja wymówił, to on napisał, ale gdy skończył czytanie swoje, tak zaraz mówił do mnie: »Osudzi się sam, kak ty wisieć powinien«. Ale ja odpowiedziałem jemu: »Ze nie ja, lecz on wisieć powinien, a gdy my przyjdziem z sobą przed sąd, to nie ja, lecz pewno pan wisieć będziesz, ponieważ mnie i drugich pan namawiałeś, abyśmy byli szpiegami, i jeszcze obiecywałeś wyrobić nam majorskie rangi i do nich pensyę, abyśmy ci szpiegowali i donosili tych, którzy co naprzeciw tobie gadać będą; ja się spodziewam tego, że tu więcej takich z kolegów moich przed panem doniesionych będzie; ja i koledzy moi byliśmy proszonymi od pana i od pana Rafałowicza, prezydenta, abyśmy się rozeszli po różnych szynkowniach, bilardach, winiarniach, kafehauzach¹⁾ i abyśmy słuchali, co też ludzie gadać będą. Więc ja na dniu wczorajszym, będąc proszonym od tych buntowników do szkół Jezuickich, więc byłem zaraz przymuszonym do przysięgi, gdzie leżał na mnie przygotowany puginał, czego świadkiem jest ten szpieg, który mnie tak doskonale przed panem opisał. On mnie tylko uprzedził, ponieważ ja to samo byłbym na dniu dzisiejszym Magistratowi doniósł, ale skoro mnie ten szpieg uprzedził, teraz ja nie mam przyczyny donosić, ale skarżyć się na prezydenta będę, że on nas w nieszczęście wprowadza, za co my łajani jesteśmy«. Igielsztrom, usły-

¹⁾ Kafehauz — kawiarnia.

szawszy ode mnie takowe słowa, zaraz, obróciwszy się do swoich oficerów, począł mówić do nich: »To jest wielka prawda, iż ja ich mam sobie osób podanych więcej magistratowych«. A dla tem lepszego przekonania dobył z kantorku drugiego i trzeciego raportu szpiegów swoich, którzy także byli oskarżyli pana Wulfersa i pana Tykla, radnych, którzy także przy winku gadali o tem, jakby dać Kościuszcze pomoc z miasta Warszawy; więc skoro się Igielsztrom naradził ze swymi oficerami, tak zaraz z tonu grubego i zuchwałego spuścił i zaczął do mnie łagodniej gadać, i co mówił na mnie »durak«, »sukinsyn«, to potem mówił mi pięknie, »waćpan« mi mówił. Ja, lubo byłem w wielkiej pasyi, będąc tak ciężko obelżonym, alem się jednak roześmiać musiał, gdyż z duraka na pana u niego wyszedłem, jednak do niego mówiłem te słowa: »Jaśnie wielmożny ambasadorze, mocno się panu dziwuję, żeś mnie tak mocno złażał, i czyliż się sam dorozumieć możesz, że ten szpieg, co tam był, daleko więcej na was gadał, aniżeli ja, bo, gdyby sam się był patriotą nie okazał, toby go między sobą zamordowano; tak też to ja gadać musiałem, ponieważbym się od nich niczego nie dowiedział, ale tak dowiedziałem się tego, co się dzieje w publiczności«. Igielsztrom, widząc to, że mu się śmiało tłómacze, zaczął mnie przeproszać i całować, obiecując mi jakąś nagrodę za to, że się na mnie rozgniewał, ale, zawoławszy na swego kamerdynera, kazał przynieść likieru, którego w kielich nalawszy, pił do mnie. Ja, odebrawszy od niego, powiedziałem mu, że to będzie dla

mnie trucizną, ale cóż miałem robić, musiałem być więcej grzeczny, aniżeli uparty, widząc dla siebie stojących żołnierzy z bronią za drzwiami i oczekujących na jego rozkazy. Ale jednak zaraz zaczął ze mną łagodnie gadać i pytał się mnie, jakimby ja sposobem został w mieście naszym stołecznem radnym? ja jemu odpowiedziałem to, że mam bardzo wielu przyjaciół; także pytał się mnie, wieleby tu było szweców? ja jemu odpowiedziałem to, że będzie z okładem tysięcy trzy; także pytał się mnie, jakby wiele więcej innych oprócz szweców miał przyjaciół? odpowiedziałem mu, że to się bardzo prędko dowie, tylko aby mi dozwolił zawołać na moich dwóch stojących pod Kapucynami czeladzi, którzy oczekiwali, co się ze mną stanie, i powiedziałem mu, aby on kazał im donieść o mnie, że ja jestem aresztowanym, to za jedną godzinę będzie miał 10 tysięcy ludzi, a za dwie godzin, to będzie miał 20 tysięcy ludzi, a za trzy godziny to pan sam niech się bardzo lęka, gdyż pan sam u mnie aresztowanym być możesz. Igielsztrom, usłyszawszy to ode mnie, mówił mi te słowa: »Mój kochany przyjacielu, pojdy ty ode mnie, ja twoich sapożników widzieć nie chcę«.

Prosił mnie tylko o tę łaskę, aby o tem do nikogo nic nie mówić, że on mi wymyślał, bardzo mnie grzecznie za drzwi wyprowadził, ale gdy wyszedł od Igielsztroma po moim egzaminie, tak zaraz przysiągłem sam w sobie, że się mścić będę, abym jak najprędzej pomoc dał T. Kościuszcze.

J. Kiliński.

13. Przypowieść o niewieście w letargu.

Leżała pewna niewiasta w letargu, i wezwał syn lekarzy,

Rzekli wszyscy lekarze: wybierz jednego z nas, aby ją leczył.

Rzekł jeden lekarz: ja będę ją leczył podług nauki Brauna; ale drudzy odpowiedzieli: zła to jest nauka, niech lepiej w letargu leży i umrze, niż gdybyś ją miał leczyć podług nauki Brauna.

Rzekł drugi: ja będę ją leczył podług nauki Hannemanna; odpowiedzieli drudzy: zła to nauka, niech lepiej umrze, niż gdybyś ją miał leczyć podług nauki Hannemanna.

Tedy rzekł syn niewiasty: leczcie jakkolwiek, bylebyście wyleczyli. Ale lekarze nie chcieli zgodzić się, jeden żadnym sposobem nie chciał ustąpić drugiemu.

Tedy syn z żalem i rozpaczą zawołał: o matko moja! A niewiasta na ten głos syna obudziła się i wyzdrowiała. Lekarzów wypędzono.

Są z was niektórzy, którzy mówią: niech lepiej Polska leży w niewoli, niż gdyby się zbudzić miała według arystokracji; a drudzy: niech lepiej leży, niż gdyby zbudzić się miała według demokracji, a inni: niech lepiej leży, niż gdyby miała granice takie, a inni owakie. Ci wszyscy są lekarzami, nie synami, i nie kochają matki Ojczyzny.

Zaprawdę powiadam wam: nie badajcie, jaki będzie rząd w Polsce, dosyć wam wiedzieć, iż bę-

dzie lepszy, niż wszystkie, o których wiecie; ani pytajcie o jej granicach, bo większe będą, niż były kiedykolwiek.

A każdy z was w duszy swej ma ziarno przyszłych praw i miarę przyszłych granic.

O ile powiększycie i polepszycie duszę waszą, o tyle polepszycie prawa wasze i powiększycie granice.

A. Mickiewicz.

14. Raclawice.

Zaparskały wszystkie konie,
Zabrzękły pałasze;
Maszeruje opłotkami
Polskie wojsko nasze.
Maszeruje, nie żartuje:
Kraj, jak malowany;
Idą nasi, w trąbki grając,
Biją w tarabany.
Opłotkami, szeregami
Konnica, piechota;
Małe dzieci zadziwione
Patrzyły z za płota,
Powłaziły na gałęzie,
W te zielone gąszcze,
I na wierzbach, na topolach
Siedziały, jak chrząszcze.
Gdzie co leży, jak należy,
Dokładnie pokaże.

Tyle naszych idzie, jedzie,
Jak gościniec długi:
Lecz Kościuszki nie poznali,
Bo był, jak i drugi.
A ci ludzie, co poznali,
To mówili sobie:
Ze też taka wielka dusza
W tak małej osobie.

Kolem, kolem, ponad siołem
Kraży sokół siwy,
Pochował się przed sokołem
Wszelki ptaszek żywy.
Wyciągnięty, jak rozpięty,
To skrzydłami wzruszy...
Popatrzał się nasz Kościuszko,
Niema żywej duszy.
— Chociaż niema żywej duszy,
Ani żadnej trwogi,
Sprowadźcież mi przewodnika,
Co zna wszelkie drogi;
Trza mi czleka nie zdaleka,
A z tej samej wioski,
By prowadził, a nie zdradził
Ten naród krakowski. —

Więc się skłonił przed Kościuszką
Wójt, gospodarz setny,
Z pod kościoła sprowadzony
Staruszek stuletny.
Ten, choć oczy dawno stradał
W okropnym pożarze,

Krzywym węzem się podpiera
 Ręką na wiatr maca
 I przez ścieżki nieznajome
 Droę sobie skraca. —
 — Już ja dawno słyszał o tem,
 Rzekł, ściągnawszy ręką,
 Żeście, ojcze, pokonali,
 Wroga pod Dubienką.
 A wpierw jeszcze powiadali,
 Jak to po zwyczaju,
 Żeście kędyś wojowali
 Aż w murzyńskim kraju,
 Że wam pereł uryjańskich
 W podarunku dano,
 Jakby grochu łuszczonego
 Węborek ¹⁾ w kolano.
 I że za te pereł drogie
 W morzu wybierane,
 Przyjechaliście wykupić
 Ojczyznę kochaną.
 A Kościuszko z wdzięcznym śmiechem:
 — Serdeczny ojczuł,
 Gdybyś można garścią pereł
 Ująć Polsce bulu...
 Lecz, że kraju nie wykupić,
 Gdy go wróg przywłaszczy,
 Jak jagnięcia nie wyprosić
 Z głodnej, wilczej paszczy,
 Więc już szczerze, jak żołnierze,
 Przy powocy nieba

¹⁾ Węborek — wiadro.

Utraconą Polskę naszą
 Krwią odkupić trzeba.
 Krwią przeczystą, nie pogańską,
 Ale chrześcijańską;
 Każdą kroplą odważoną
 Perłą uryjańską.
 Takimi to pereł, ojcze,
 Co nam w żyłach płyną,
 Wykupimy Polskę naszą,
 Mateczkę jedyną.
 — Prawdać, prawda, Naczelniku,
 Na mój rozum kmiecy:
 Kto chce na chleb zapracować,
 Musi zgarbić plecy.
 Niechżeć tedy Bóg pomaga
 I Matka Gidelska,
 W polskiej roli wyorana
 Królowa Anielska;
 Niechżeć tedy... — i przycichnął
 Starzec siwowłósy,
 Wbił kolana w grzązką ziemię,
 Ręce wzniosł w niebiosy,
 I na oczy pociemniałe,
 Co nie widzą słońca,
 Na te smutne oczy białe
 Wyszła łza gorąca...
 I przygarniał poźółkłemi
 Dłońmi wietrzyk polny,
 I brzęk szabli narodowej,
 I głos pieśni wolnej...
 Madaliński i Kościuszko,
 Piechota, ulani,

Stali na wpół rozrzuwieni,
 Na wpół zadumani.
 A cóż mówisz, Jenerale?
 Wszak to szlachcie prawy!
 I potoczył po narodzie
 Wzrok serdecznie łzawy.
 Matko Boża, pani świata,
 Ojcze Zbawicielu...
 A serce w nim zakolata,
 Jako dzwon Wawelu:
 Co przepadło, to przepadło,
 Co żywe, to żywe,
 Nie nadobne, co nadobne,
 Lecz co sprawiedliwe.
 Dziadku! dziadku, wstańcie z ziemi —
 Lecz starzec nie wstaje,
 Tylko ręką na powietrze
 Nieme znaki daje:
 — Idźcie, idźcie, prostą drogą,
 Idzie z wami taki,
 Co z rozkazu Matki Bożej
 Prowadzi Polaki.
 Idzie, idzie po powietrzu,
 Ziemi nie dotyka...
 A mnie dajcie ucałować
 Ręce Naczelnika... —

I odwiedli na bok dziada,
 Działwa na koń siada;
 Mgła w dolinach się rozrzedza,
 Opada, opada.

A z pode mgły rozpędzonej,
 Jakby skrzydłem ptaszem,
 Kraj szeroko się wynurza
 Siwem polem naszym;
 Krzemienisty, kamienisty,
 Pełen traw i wzgórzy,
 Przecinany, poszarpany,
 Jak po wielkiej burzy.
 A gdzieniedzie w ciszy stałej
 Której nikt nie budzi,
 Stoją brzozy, jak sieroty,
 Po odejściu ludzi.
 Mgła opada po nizinach,
 Leci na kraj świata,
 Anioł boży z dolin, wzgórzy
 Siwe mgły rozmiata.
 I wyczyścił całe pole,
 Jak oka źrenice,
 I pokazał... nieprzyjaciół,
 A tu Racławice.

T. Lenartowicz.

15. Przysięga Kościuszki (1794).

»Akt powstania obywateli województwa Kra-
 kowskiego« napisany był w Lipsku, i Kościuszko
 miał go w kieszeni; trzeba było tylko wydrukować
 w kilku tysiącach sztuk. Posłano też zaraz do dru-

karni z datą 23 marca 1794 r. w Zamku. Drukarze uwinęli się prędko, ale nie tak prędko, iżby przed wieczorem można było zebrać obywateli do wysłuchania i podpisania tego aktu. Więc Kościuszko, naradziwszy się z Wodzickim i kilku dobranymi osobami, odłożył ogłoszenie do jutra, a miejsce zebrania zgodził się zmienić na Rynek główny, gdzie stała wówczas wielka i wysoka kamienica — Ratusz miasta Krakowa. Drukarni kazano przerobić niektóre wyrazy; Kościuszko tymczasem, nie pokazując się na mieście, wydał rozporządzenie dla obu batalionów polskich i dla strażników granicznych z zaleceniem, aby czem nie podrażnili Austryaków, których panowanie zaczynało się tuż za Wisłą, na dzisiejszem przedmieściu Podgórze. Przenocował w pokoju nad bramą murowaną w kształcie baszty i zachowaną do dziś dnia na pamiątkę.

Bo też pamiętnym w dziejach narodu polskiego był dzień 24 marca 1794 roku!

Prezydent miasta, Lichocki, mieszczanin bojaźliwy, chociaż nadęty próżnością, zapisał w swoim pamiętniku opowiadanie swojej służącej, że widziała, jak przy bramach stanęły warty z batalionu Czapskiego i nikomu nie pozwalają wychodzić, ale wchodzących do miasta wpuszczają. Potem adjutant Biegański przyniósł mu rozkaz w imieniu generała Wodzickiego zwołania urzędników miejskich i wszystkiego ludu, aby się zebrał przed ratusz najdalej za godzinę. Nareszcie kapitan Wasilewski zawołał go wprost przed Kościuszkę w grzecznych wyrazach.

Po namyśle i naradzie ze swymi towarzyszami na ratusz poszedł pan prezydent w towarzystwie trzech radnych. Nasłuchał się bardzo niegrzecznych wyrzutów od Wodzickiego, ale Kościuszko, ujawszy go za pas, rzekł: »Mospanie prezydencie! Nie wchodząc ja w to, jaki Waćpan byłeś względem innych, ale spodziewam się, że i dla mnie będziesz grzecznym. A jakże? Kazałeś Waćpan obchodzić urzędników i lud, aby stawali przed Ratuszem?« Lichocki odpowiedział: »Tak«. Wtedy Kościuszko kazał mu iść przed sobą na ratusz.

Na rynku uformował się w paradzie batalion regimentu (to jest pułku pieszego) 2-go szefostwa Wodzickiego. Już ta parada wystarczyła do zgromadzenia tłumu ze wszystkich bliższych i dalszych ulic. Na schodach ratusza (dziś nie istniejącego) i w sali posiedzeń magistratu zrobił się taki tłok obywateli, młodzieży, nawet dam, że Lichocki do »przyzwoitego sobie« miejsca, czyli fotelu prezydenckiego, docisnąć się nie mógł.

Z bramy pałacu Wodzickiego wyszedł Kościuszko z orszakiem, w którym z tak zwanych w Polsce »wielkich ludzi« znajdował się jedyny senator, i to pomniejszy, tak zwany drażkowy, kasztelan czechowski, Stefan Dembowski. Przeszedłszy paręset kroków krótką ulicą św. Anny, stanął na tem miejscu, gdzie teraz jest włożona w bruk tafla kamienna z napisem pamiątkowym.

Gdy się obejrzał dokoła, zauważył, niewątpliwie z zadowoleniem, że w tłumie znajdowało się wiele osób, które miały na piersiach wstęgi z wy-

szytymi napisami: »Wolność lub śmierć«, albo za »Kraków i Ojczyznę«, albo »Wiwat Kościuszkę«. Zaraz Aleksander Linowski, który był dawniej posłem na sejmie wielkim, czytał, a generał Wodziecki, oficerowie i każdy żołnierz powtarzali za nim słowa: »Ja przysięgam, że będę wierny Narodowi Polskiemu i posłuszny Tadeuszowi Kościuszce, Naczelnikowi Najwyższemu, wezwanemu od tegoż Narodu dla bronienia wolności, swobód i niepodległości Ojczyzny. Tak mi, Boże, dopomóż i niewinna męka Syna Jego!« Wzajemnie Kościuszko zaprzysiągł, że powierzonej sobie władzy na niczyj prywatny ucisk nie użyje, lecz jedynie jej dla obrony całości granic, odzyskania samowładności Narodu i ugruntowanej powszechnej wolności używać będzie, potem udał się z Wodzieckim i wielu oficerami na ratusz. Miał mowę, wzywając do walki w obronie Ojczyzny wszystkich jakiegokolwiek stanu ludzi: szlachtę, mieszczan, chłopów i Żydów. W tem dziele ofiarował swoją usługę, nie żądając od nikogo przysięgi, bo »ten interes jest wspólnym interesem tak moim, jak i Waćpanów«. W końcu kazał Linowskiemu przeczytać akt powstania, w którym wymienione krzywdy, zrażone w Polsce świeżo przez sąsiedzkie mocarstwa i winy zdrajców, to jest Targowiczan; następnie wyrażone było »niezłomne przedsięwzięcie zginąć i zagrzebać się w ruinach własnego kraju, albo oswobodzić ziemię ojczyzną, nie oszczędzać wszelkich ofiar i sposobów, jakich tylko święta miłość wolności dostarczyć zdoła ludziom, powstającym w rozpacz na jej obronę«, nareszcie opisany był rząd, jaki ma się utworzyć

niezwłocznie, mianowicie: że Kościuszko będzie Najwyższym i jednym Naczelnikiem i rządcą całego powstania, że on złoży Najwyższą Radę Narodową z osób, którym sam zaufa; że do wykonania rozkazów jego będzie ustanowiona Komisya Porządkowa Województwa Krakowskiego, że Rada urządzi Sąd kryminalny na zbrodniarzy, którzyby szkodzili Narodowi i celowi powstania i t. d.

Po przeczytaniu »wielki stał się z radości łoskot i różne wołania«. Żukowski, patron, czyli adwokat miejski, żądał, iżby portret Stanisława Augusta został wyrzucony z izby magistratu: odzywało się z pochwałą takiego żądania kilka głosów, lecz ich nie usłuchano. Potem wszyscy obecni kładli swoje podpisy pod aktem, a gdy miejsca zabrakło, to na arkuszach białego papieru, które przyszyte być miały. Podpisał się też i Lichocki, wystraszony, niezadowolony, sfukany.

I oto Kościuszko otrzymał teraz od obywateli województwa Krakowskiego władzę większą, niż ta, jaką posiadali królowie polscy: nie tylko pogardzany słusznie Stanisław August, ale i wszyscy dawniejsi od czasów Jagielly, nie wyłączając najlepszych, najdzielniejszych, Władysława 4-go i Jana 3-go Sobieskiego. Przez długie wieki szlachta, obierając królów na sejmach elekcyjnych, opisywała ich władzę tak, aby nie mogli ująć jej swobód, wygod i dostatków, a teraz, 24 marca, ludzie wszelkiego stanu, jacy znaleźli się na rynku, jacy weszli pieszo lub wjechali do miasta przez bramę po wschodzie słońca, zatwierdzili ochoczo, bez żadnych układów i targów, elekcyę Kościuszki, od-

bytą nie w okopie na Woli, nie tłumnie i hucznie, ale gdzieś na nocnej schadzce, w jednym z nieznanym nam domów Warszawy, w ukryciu przed szpiegami Igielstroma, wodza rosyjskiego, przez ludzi, którzy zataili swoje nazwisko i liczbę, ale żarliwie miłowali Ojczyznę. Wszyscy rozumieli albo przeczuwali, że Kościuszko najlepiej potrafi ratować Polskę, ponieważ obmyślał sposoby ratowania jej i w Ameryce, i w Europie, i nad książkami naukowymi, i w marszach, i w bitwach, a nigdy własnej korzyści nie szukał, owszem, niósł pracę i życie w chętniej ofierze Narodowi swemu, gotów nawet »sto razy« dla niego umierać.

T. Korzon.

16. Ukrzyżowani.

A oto wygnańcy owi na Sybirze w szopie śniegowej klócić się zaczęli między sobą i podzielić się na trzy gromady; a każda z nich myślała o zbawieniu ojczyzny.

Więc pierwsza na czele miała grafa Skir, który utrzymywał stronę tych, co się przebiorą w kontusze i nazywać się będą szlachtą, jakby z Łachem na nowo przybyli do kraju pustego.

A druga miała na czele żołnierza chudego, imieniem Skartabellę, który chciał ziemię podzielić

i ogłosić wolność chłopów i równość szlachty z Żydami i cyganami.

A trzecia miała na czele swoim księdza Bonifata, który chciał kraj zbawić modlitwą i na ocalenie kraju podawał sposób jedyny: iść i ginąć, nie broniąc się, jak męczennicy.

Tu więc trzy gromady zaczęły być między sobą niezgodne w duchu i klócić się zaczęły o zasady.

A oto druga gromada, uzbroiwszy się w siekiery, wyszła w pole, odgrażając się, że u pierwszych dowie się, jaka jest krew, drugim zaś da to, czego żądają: męczeństwo.

Lecz nim przyszło go walki, a umysły już były rozgrzane, zgodzono się za poradą któregoś z tych, co był z trzeciej gromady, aby rzecz tę przez Boga rozstrzygnąć.

I rzekł do nich ów doradca: oto postawmy trzy krzyże na naśladownictwo męki Pana naszego, i na tych trzech drzewach przybijmy po jednym z najmocniejszych w naszej gromadzie rycerzy; a kto najdłużej żyć będzie, przy tym zwycięstwo.

A że umysły tych ludzi były jakoby w stanie pijanym, znaleźli się trzej rycerze, którzy za swoje przekonanie śmierć ponieść chcieli i być ukrzyżowani, jako Chrystus Pan przed wiekami.

Postawiono więc trzy krzyże z najwyższego, jakie były w tym kraju, drzewa, i wystąpili po jednemu z każdej gromady; wszakże nie wybrani losem, lecz z własnej woli. Nie byli to gromad wodzowie, lecz jedni z najmniejszych.

Kiedy więc cieśle postawili krzyże na wyso-

kiem wzgórzu śniegowem, odezwał się głos z nieba, jakby wichur, pytając: co czynicie? lecz go ci ludzie nie przelekli się.

I zawieszono na krzyżach ludzie owe obłąkane, i świecami im ręce przybito; a ten, co był na prawo, krzyczał: równość! a ten, co był z lewej strony krzyczał: krew! wiszący zaś w pośrodku, mówił: wiara!

I tłumy stały w milczeniu, czekając, co się stanie, i tak je noc zastała na śniegu, a była wielka ciemność i okropne milczenie.

Aż o północy zorza borealna¹⁾ rozciągała się na całej niebios połowicy, i ogniste wystrzeliły z niej miecze; a wszystko stało się czerwone, i te krzyże z męczennikami.

Wtenczas strach ogarnął tłumy i rzekły: złe czynimy! godziż się, aby za nasze wiary ci ludzie ginęli niewinni?

I przeraziły się zgraje, mówiąc do siebie: oto umierają i nie skarżą się.

Rzekli więc do tych, co byli ukrzyżowani: chciecie, a zdejmujemy was? lecz ci im nic nie odpowiedzieli, będąc już umarłymi.

A poznawszy to, rozbiegły się zgraje pełne przestachu, przerażenia, a żaden z tych, co uciekali, nie odwrócił głowy, aby spojrzeć na martwe i umęczone. Zorza je czerwieniła, zostali sami.

J. Słowacki.

¹⁾ T. j. północna.

Pola raszyńskie¹⁾.

Noc cicha — wonny wietrzyk powiewa przez błonie,
Rzą na wilgotnej łące popętlane konie,
Smutno szumią nad źródłem gałązki olszyny,
Potok ucieka, płacząc na zastępne trzciny.

Głuche pole, przy koniach tylko pastuch czasem
Brzmiący rozgłos sosnowym puści z bicia lasem;
Księżyc, którego chmurka igrając, omija,
Gdzieniegdzie złote strzały w strumyku odbija.

Księżycu! strużu Boga na nieba sklepieniu!
Nie tak się przeglądałeś ongi w tym strumieniu:
Dym wojny cię ogarnął, a grzmotne wystrzały
Echa zczernionych gajów stronom podawały.

Kmiotki ojczystych w ogniu odbiegali chatek,
W lochach dzieci do drżących tuliły się matek,
Łoskot bębnow, huk strzelby, głos trąby chrapliwy,
Tętent koni, jęk rannych słyszały te niwy.

Gdzie się krew rumieniła, teraz błyszczy rosa,
Wonną trawkę na siano pościła kosa!
Dziś wolków tylko widać wytłoczone stopy
W miedzach, które wiozły do stodoły snopy.

Tam zielone mogiły nad pola się wzniosły,
Na nich smutno wiatr, świszcząc, chwieje chwast
Konik polny, z sieczonej łąki wypłoszony, [wyniosły,
Śpiewa swoje wygnanie żalosnymi tony.

¹⁾ Pamiętne bitwą z Austryakami w r. 1809.

Ach! cóż mi smutne widzieć przypomnienie daję!
 Tu się duchy rycerzów przechodzą przez gaje,
 Przez kłosiste zagony cień za cieniem goni,
 Tam trup leży, tu łyska miecz w żylastej dłoni.

A tam, gdzie z nad ponika, z olszowego brzegu
 Serdeczny głos słowika w polu się rozlega, [nie,
 Czyj to cień? — to Godebski ¹⁾ przechodzi się smut-
 Nad stosami rynsztunków ²⁾ wiatry wieją w lutnie.

O cienie braci moich, pókiż po tej ziemi
 Będziecie się błakali z rany nieoschłemi,
 Po grobie matki w krwawej przechodząc się szacie!
 O waszych ran owoce na braci wołacie.

11. Rok 1812.

O roku ów! kto ciebie widział w naszym kraju!...
 Ciebie lud zowie dotąd rokiem urodzaju,
 A żołnierz rokiem wojny; dotąd lubią starzy
 O tobie bajać, dotąd pieśń o tobie marzy.
 Zdawna byleś niebieskim oznajmiony cudem
 I poprzedzony głuchą wieścią między ludem:
 Ogarnęło Litwinów serca z wiosny słońcem
 Jakieś dziwne przeczucie, jak przed świata końcem,
 Jakieś oczekiwanie tęskne i radosne.

¹⁾ Godebski, poeta i legionista, poległ pod Raszyne

²⁾ Rynsztunek — uzbrowienie.

Kiedy pierwszy raz bydło wygnano na wiosnę,
 Uważano, że, chociaż zgłodniałe i chude,
 Nie biegło na ruń, co już umiała grudę,
 Lecz kładło się na rolę i, schyliwszy głowy,
 Ryczało, albo żuło swój pokarm zimowy.

I wieśniacy, ciągnący na jarzynę pługi,
 Nie cieszą się jak zwykle, z końca zimy długiej.
 Nie śpiewają piosenek: pracują leniwo,
 Jakby nie pamiętali na zasiew i żniwo.
 Co krok wstrzymują woły i podjezdki w bronie
 I poglądają z trwogą ku zachodniej stronie,
 Jakby z tej strony miał się objawić cud jaki,
 I uważają z trwogą wracające ptaki.

Bo już bocian przyleciał do rodzinnej sosny
 I rozpiął skrzydła białe, wczesny sztandar wiosny;
 A za nim, krzykliwymi nadciągnawszy pułki,
 Gromadziły stę ponad wodami jaskółki
 I z ziemi zmarzłej brały błoto na swe domki.
 W wieczór słychać w zaroślach szept ciągnącej
 I stada dzikich gęsi szumią ponad lasem [słomki,
 I znużone na popas spadają z hałasem,
 A w głębi ciemnej nieba wciąż jęczą żórawie.
 Słyszac to, nocni stróże pytają w obawie,
 Skąd w królestwie skrzydlatem tyle zamieszania,
 Jaka burza te ptaki tak wcześnie wygania?

Aż oto nowe stada: jakby gilów, siewek
 I szpaków, stada jasnych kit i chorągiewek
 Zajaśniały na wzgórkach, spadają na błonie:
 Konnica! Dziwne stroje, niewidziane bronie!

Pułk za pułkiem; a środkiem, jak stopione śniegi,
Płyną drogami kute żelazem szeregi;
Z lasów czernią się czapki, rząd bagnatów błyska,
Roją się niezliczone piechoty mrowiska.

Wszyscy na północ. Rzekłbyś, że w on czas z wyraju
Za ptastwem i lud ruszył do naszego kraju,
Pędzony niepojętą, instynktową mocą.

Konie, ludzie, armaty, orły dniem i nocą
Płyną; na niebie gorą tu i ówdzie łuny,
Ziemia drży, słychać: biją stronami pioruny...

Wojna! wojna!... nie było w Litwie kąta ziemi,
Gdzieby jej huk nie doszedł. Pomiędzy ciemnymi
Puszczami chłop, którego dziady i rodzice
Pomarli, nie wyrzawszy za lasu granice:
Który innych na niebie nie rozumiał krzyków,
Prócz wichrów, a na ziemi prócz bestyi ryków,
Gości innych nie widział, oprócz spółleśników;
Teraz widzi: na niebie dziwna luna pała,
W puszczy łoskot: to kula od jakiegoś działa,
Zbłądziwszy z pola bitwy, dróg w lesie szukała,
Rwąc pnie, siekąc gałęzie. Zubr, brodacz sędziwy,
Zadrżał we mchu, najeżył długie włosy grzywy,
Wstaje nawpół, na przednich nogach się opiera
I, potrząsając brodą, zdziwiony spoziera
Na błyskające nagle między łomem zgłiszczce:
Był to zbłąkany granat, kręci się, wre, świszczce,
Pękł z hukiem, jakby piorun; żubr pierwszy raz
[w życiu
Zląkł się i uciekł w głębszem schować się ukryciu.

Bitwa!... Gdzie? w której stronie? — pytają mło-
[dzieńce,
Chwytają broń; kobiety wznoszą w niebo ręce;
Wszyscy pewni zwycięstwa, wołają ze łzami:
»Bóg jest z Napoleonem, Napoleon z nami!«

O wiosno! kto cię widział wtenczas w naszym kraju,
Pamiętna wiosno wojny, wiosno urodzaju!
O wiosno, kto cię widział, jak byłaś kwitnąca
Zbożami i trawami, a ludźmi błyszcząca,
Obfita we zdarzenia, nadzieją brzemienna!
Ja ciebie dotąd widzę, piękna młodo senna!...
Urodzony w niewoli, okuty w powiciu,
Ja tylko jedną taką wiosnę miałem w życiu.
Soplicowo leżało tuż przy wielkiej drodze,
Którą od strony Niemna ciągnęli dwaj wodze:
Nasz książę Józef i król westfalski Hieronim.
Już zajęli część Litwy od Grodna po Słonim,
Gdy król rozkazał wojsku dać trzy dni wytchnienia.
Ale polscy żołnierze, mimo utrudzenia,
Skarżyli się, że król im marszu nie dozwala.

A. Mickiewicz.

9. Śmierć księcia Józefa Poniatowskiego pod Lipskiem (1813).

Tutaj, pod Lipskiem, zamykała się nareszcie
żelazna obręcz koalicyjna¹⁾ dokoła opuszczonego

¹⁾ Koalicya — przymierze, związek mocarstw.

przez swoją gwiazdę Napoleona; tutaj miały zdecydować się losy świata w wielkiej bitwie narodów. Poniatowski ze swoim korpusem stanął na prawem południowym skrzydle bojowego półkola, załoczonego przez osaczoną armię francuską, oparty o błotniste łożyska Pleissy i Elstery, a narażony na najgroźniejsze uderzenie nadciągającej od Czech dwójcesarskiej potęgi. Już 12 października w forpocztowym¹⁾ starciu, sam szarżując na czele pułku III-go ulanów, został lekko ranny w rękę piką. W przededniu pierwszej walnej bitwy pod Lipskiem, 15 października zrana — przybył Napoleon na prawe skrzydło i obwieścił armii, że mianuje Poniatowskiego marszałkiem Francyi. W biuletynie z tegoż dnia wyrażone zostało, iż księżę dotychczas »we wszystkich bitwach okrył się chwałą«. Wojsko wystąpiło pod broń dla wysłuchania rozkazu dziennego o mianowaniu; wszystkie sztaby, złączone w deputacyi, stawily się przed księciem, by powinszować mu buławy marszałkowskiej; niebywałego dotychczas dla cudzoziemca zaszczytu. Czemże jednak dla niego zaszczyt podobny? Przyjął łaskę cesarską z powinną wdzięcznością, lecz zresztą z obojętnością zupełną. W pismach i raportach z kilku następnych, policzonych już dni życia, po dawnemu podpisywał się po prostu: generał wódz naczelny korpusu VIII. Zaraz nazajutrz, 16 października, wystawiony był na straszną próbę ogniową i zniósł ją z nieporuszonym spokojem, wyszedł z niej bez drgnięcia, z nadspodziewanem

¹⁾ Forpoczty — wysunięte na przód armii oddziały.

nawet powodzeniem. W nierównych, całodziennych zapasach, pod naporem ataków frontowych, ponawianych od świtu do wieczora głównie ze strony Austryaków, nie ustąpił na piędź, utrzymał się na stanowisku, generała austriackiego wziął do niewoli. Ale straty poniósł znaczne, tem dotkliwsze wobec liczebnej przeciwnika przewagi, i sam został ranny kulą karabinową. 17 października był dniem spoczynku. Z tego dnia mamy jeszcze zachowane ostatnie pismo księcia, z pola bitwy, raport o zwycięstwie wczorajszem, proste, ścisłe, cechowane spokojną, przedśmiertną powagą: »nieprzyjacieli nie zdobył ani piędzi terenu... wojsko okazało zapał i wytrzymałość godną podziwu«, ale — dodaje — straciłem $\frac{1}{3}$ ludzi i nie mam amunicyi. Nazajutrz nastąpił dzień bitwy krytyczny, dla korpusu najgorętszy. Znow w walka zawrzała od samego świtu. Tym razem atakowały z tej strony głównie kolumny związkowe pruskie. Poniatowski, przeciw dziesięciokrotnej przewadze broniąc swego stanowiska, wsi Probstheidy, swoim zwyczajem prowadził osobiście w ogień po kolei bataliony dywizyi Izydora Krasińskiego. Cesarz Aleksander z sąsiedniego pagórka przyglądał się tym nadludzkim wysiłkom i widokiem naocznym utwierdził w sobie szacunek dla takiego przeciwnika i sprawy, przez niego wyobrażanej. Ale bo też, w rzeczy samej, nie Probstheidę saską zdobywał tutaj krwią swoją: ks. Józef zdobywał Warszawę przyszłego Królestwa Polskiego w obliczu przyszłego jej monarchy. Utrzymywał się raz jeszcze na wysuniętem niezmierlnie stanowisku, ale z stratą ogromną, nie-

powetowaną w ludziach i ładunkach. A tu tymczasem tego samego dnia na polu bitwy przeszli do nieprzyjaciela Sasi; a tu nadciągały świeże nieprzyjacielskie rezerwy Blüchera i Bernadotta. Szale przechyliły się ostatecznie na stronę koalicji. Dalsza walka stawała się wręcz beznadziejną. Wieczorem wydał Napoleon rozkaz do odwrotu. Rozpoczął się tejże nocy ten odwrót fatalny, utrudniony nadzwyczajnie przez samą naturę okolicy. Prowadził przez groblę długą, półmilową, wąską, poprzez ośm mostów, rzuconych na błotniste koryto Pleissy, Elstery i ich odnóg, których zwykle płytkie wody, teraz podniesione jesienną powodzią, wystąpiły z brzegów, tocząc się brudnym, spienionym i rwistym nurtem. Cisnęła się tą groblą, niby przez drugą Berezyne, zwarta masa cofającej się armii, artylerja, piechota, bagaże, ambulanse, jazda; po drugiej stronie, jak zwykle, straż tylną, pod czuwającym noc całą Poniatowskim, trzymali Polacy.

Wstał zimny, wietrzny, pochmurny ranek 19 października. Siwa, ciężka mgła podnosiła się z bagnistego nadrzecza, rozkładała się po ogromnej równinie, przesycala oparami świeżej krwi, łączyła z mżącym gdzieś, przejmującym do szpiku jesiennym deszczem i dymem palących się przedmieść lipskich i nieustających salw armatnich i karabinowych, tak gęsta, że o kilkadziesiąt kroków trudno było widzieć. Już cała prawie armia na drugą stronę przeszła, kiedy wtem, po 11 zrana, przedwcześnie wysadzony został w powietrze przez saperów francuskich most na Pleissie. Ks. Józef, mając przy sobie kilkuset ledwo ludzi, nagle

stał odcięty. Wycofywał się on właśnie z zachodniego przedmieścia lipskiego, Borny, na czele szczupłej eskorty kirasyerów i krakusów, wpadając raz po raz na nacierających rojami tyralierów nieprzyjacielskich. Wtedy po raz trzeci otrzymał postrzał w rękę, lecz, owinąwszy ją chustką, na koniu pozostał. Otaczający go sztab, generałowie Małachowski, Grabowski i inni, wobec odwrotu i niemożliwości dłuższej obrony, błagali go, aby się poddał, osobę swoją dla kraju zachował. On nie słuchał. Oczy miał krwią nabiegłe, twarz nienaturalnym palającą rumieńcem, znużony był, wyczerpany śmiertelnie, osłabiony od ran, zgorączkowany, nawpół przytomny; odpowiadał na wszystko: »Trzeba umrzeć mężnie«. Rzucił się wpław do Pleissy, ale już koniem kierować niezdolny, porwany był siłą prądu. Wpadł za nim do rzeki młody kapitan francuski, Bléchamp, w chwili gdy uwalniał się od tonącego konia i wydobył na brzeg przeciwny. Ruszył książe dalej pieszo do Elstery przez błotniste ogrody, już wszędy napelnione tyralierką nieprzyjacielską; tutaj po raz czwarty odebrał kulę w bok; slaniając się, padł w objęcia paru dotrzymujących mu jeszcze kroku oficerów; po chwili odzyskał przytomność, dosiadł z trudnością podanego mu świeżego konia, ale chwiał się na siodle. Ociekał krwią, był już zapewne ranny śmiertelnie, śmierć miał w spojrzeniu i wyrazie; ale na ponawiane błagania towarzyszków nie odpowiadał już wcale, tylko coś z gniewnem uniesieniem mówił bez związku o Polsce i o honorze. Wtem, na widok nadbiegającej nieprzyjacielskiej piechoty, porwał

się raptem sił ostatkiem i skoczył z koniem do Elstery. Tu ostatnią kulę odbiera w lewą pierś, prze-szyty na wylot, osuwa się z konia i po krótkiem pasowaniu się — znika pod wodą.

Tak umarł księżę Józef Poniatowski.

S. Askenazy.

20. Pogrzeb Józefa Poniatowskiego (1815).

Z pomiędzy bojów i gradów ognistych,
Wierna swej sprawie, nieodstępna znaków,
Szła wolnym krokiem do siedlisk ojczystych,
Garstka Polaków.

Skoro lud spostrzegł, jak wzdęte wiatrami,
Białe z czerwonym proporce migają,
Wstrzęsło się miasto radości głosami:

»Nasi wracają!«

Niedługa radość; każdy pyta chciwie,
Kędyż jest wódz nasz dzielny, okazały,
Co nam tak długo przewodził szczęśliwie
Na polu chwały?

Już go nie widać na czele tych szyków,
Których był niegdyś duszą i ozdobą;
Okryte orły, zbroje wojowników
Czarną żałobą.

Już go nie widać pośród hufców dzielnych...
Gdzież jest?... Czy słyszysz żal wszystkich głęboki?
Patrzaj — złożone na marach śmiertelnych
Rycerza zwłoki.

Te mary, ten wóz, spoczynek po znoju,
Lud wdzięczny łzami oblewa rzewnemi,
Ciągną go wierni towarzysze boju

Piersi własnemi.

Idzie za trumną koń jego waleczny,
Z schyloną głową, czarną niosąc zbroję;
Idź, koniu, smutnie, już twój pan bezpieczny

Zamknął dni swoje.

Żaloszne trąby, wy, flety płaczliwe,
Wy, chwiejących się orłów srebrne dźwięki,
Umilczcie, ranią piersi moje tkliwe

Te smutne jęki.

Patrz: przed świątynią, przy światłach gasnących,
Porywa z wozu młodzież ciężar drogi
I wnosi w pośród grzmotu dział bijących

W wieczności progi.

Modły kapłanów, braci twoich łkania
Wznoszą się tam, gdzie mieszka Bóg przedwieczny;
Ach! przyjm ostatne te ich pożegnania,

Wodzu waleczny!

Dzieliłeś z nami ciężkie utrapienia,
Wielkie ofiary, prace bez nagrody
I, zamiast słodkiej nadziei ziszczenia,

Gorzkie zawody.

Tulmy łzy nasze — już jesteś szczęśliwy.
Kto za ojczyznę walczył, poległ śmiały,
Już temu wieniec dał Bóg sprawiedliwy

Wieczyste j chwały.

Wdzięczni ziomkowie, ceniąc zgon i życie,
Nie dadzą wiekom zatrzeć twoich czynów,
Wzniosą grób pyszny, zawieszą na szczycie
Wieniec wawrzynów.

Wyryją na nim, jak w ostatniej toni,
Śmierć nad nadzieję przenosząc zgubione,
Runąłeś z koniem i z orężem w dłoni

W nurty spienione.

Posąg twój będzie lud otaczał mnogi.
Ten napis twarde zachowają glazy:
Tu leży rycerz, co walczył bez trwogi

I żył bez skazy.

Tam żołnierz, pełen rycerskiej ochoty,
Zaostrzy oręż o krawędź tej tarczy,
Pewien, że, przez to nabywszy twej cnoty,
Tysiącom starczy.

J. U. Niemcewicz.

21. Napoleon i żydki swarzędzkie

(Zdarzenie prawdziwe).

W Swarzędzu, miasteczku o jedną milę od Poznania odległym, jest około 4000 mieszkańców, z których większa część talmud wyznaje. Było to w jesieni 1806 roku, kiedy burmistrz tamtejszy widział się zmuszonym zawezwać starszyznę żydowską, celem wyjaśnienia mu, co jest powodem tak nadzwyczajnego pomiędzy nimi ruchu, który od dni kilku uważał; jaką dano odpowiedź, nikt o tem prócz p. burmistrza nie wiedział. Podczas jarmarku dopiero wyjawila się u chrześcijan pogłoska, że

Żydzi w pobliskich wioskach 120 koni najęli, i że poza kirkutem (cmentarzem) takowe ujeżdżają, że wszystkie konie są w piękne przybrane są rzędy. W głowę zachodzili ciekawsi, co by to znaczyło? bo i inne jeszcze były poszlaki, że Żydzi coś wielkiego knują.

Wiadomość, że Napoleon, cesarz Francuzów, w Swarzędzu i w okolicach stojące pułki osobiście w miejscu obejrzy, o tajemnicy żydowskiej zapomnieć kazała. — Kto tylko do użytku miał przydatnych nóg parę, już od rana wybiegł do Zielńca. — Jest to młyn wodny w stronie ku Poznaniowi, nad brzegiem wielkiego jeziora, u spodu piaszczystej góry, miejsce dla Swarzędza czarujące, a istotnie przyjemne pięknym na jezioro i na miasto widokiem. Poza karczemną stajnią zgromadził się niezliczony tłum Żydów; ich szwargotanie, wrzask i hałas byłyby w stanie lichą artylerję zagłuszyć. Już wtenczas każdy się mógł domyślić, że owa żydowska tajemnica była w celu uczynienia milej niespodzianki dla Napoleona.

O pierwszej z południa krzyknął na dachu siedzący szajgoc: »*Er kymtl er kymtl*« (jedzie! jedzie!) Jakoż za chwil kilka ukazał się na pysznym arabczyku mały kapral Francyi, Napoleon. Wypytywał się właśnie jednego z przybocznych jenerałów o strategiczne położenie Swarzędza. Oko jego oparło się na przeciwległej górze, gdy nagle z poza stajni wybiegł znaczny poczet Turków, drogę cesarzowi zastępując. Wielkie turbany, brody ogromne, czerwone, żółte i zielone kurty, czamary, konie, strojne rozmaitej barwy pokryciem, pióra, pa-

łasze, gdziekolwiek piki i sztandary, nadawały tej jeździe szczególnej wojenny i azyatycki charakter; Napoleon wstrzymał konia i spojrzał się na swoich — nikt tego wypadku objaśnić nie umiał. Wtem wysuwa się naprzód dowódca jazdy tureckiej, a podjechawszy na kilka łokci przed cesarza zdejmując głowę turban mówi: »*Fürchten Sie nichts, kaiserliche Majestät, wir sind keine Türken, wir sind Schwensenzer Juden*« (Nie lękaj się Wasza Cesarzowska Mość, myśmy nie Turcy, my jesteśmy Żydki swarzędzkie).

Śmiech Napoleona granic prawie nie miał — odważne Turki krzyknęły:

»*Wiwajt!*« »Wielki Cesarz Napoleon niech żyje! jeszcze raz niech żyje« i, powtórzywszy trzykrotnie »*Wiwajt!*«, usunęli się na stronę.

Marszałkowie francuscy zapewniali, iż nigdy się Napoleon tak serdecznie nie uśmieł.

A. Wilkowski.

22. Koncert nad koncertami.

Było cymbalistów wielu,
Ale żaden z nich nie śmiał zagrać przy Jankielu.
(Jankiel przez całą zimę nie wiedzieć gdzie bawił,
Teraz się nagle z głównym sztabem wojska zjawił).
Wiedzą wszyscy, że nikt mu na tym instrumencie
Nie wyrówna w biegłości, w guście i w talencie

Proszą, ażeby zagrał, podają cymbały;
Żyd wzbrania się, powiada, że ręce zgrubiały,
Odwykł od grania, nie śmie i panów się wstydzi;
Kłaniając się, umyka. Gdy to Zosia widzi,
Podbiegła i na białej podaje mu dłoni
Drażki, którymi zwykle mistrz we struny dzwoni
Drugą rączką po siwej brodzie starca głaska
I, dygając: »Jankielu, mówi, jeśli łaska!
Wszak to me zaręczyny: zagrajże, Jankielu!
Wszak nieraz przyrzekałeś grać na mem weselu!«

Jankiel niezmiernie Zosię lubił; kiwnął brodą,
Na znak, że nie odmawia; więc go w środek wiodą,
Podają krzesło, usiadł, cymbały przynoszą,
Kładą mu na kołanach. On patrzy z rozkoszą
I z dumą: jak weteran, w służbę powołany,
Gdy wnuki ciężki jego miecz ciągną ze ściany,
Dziad śmieje się, choć miecza dawno nie miał w dłoni,
Lecz uczuł, że dłoń jeszcze nie zawiedzie broni.

Tymczasem dwaj uczniowie przy cymbałach kłę-
stroją na nowo struny i, próbując, brzęczą [czą,
Jankiel z przymrużonemi napoły oczyma
Milczy i nieruchomo drażki w palcach trzyma.

Spuścił je. Zrazu bijąc taktem tryumfalnym,
Potem gęściej siekł struny, jak deszczem nawalnym,
Dziwią się wszyscy. Lecz to była tylko próba,
Bo wnet przerwał i w górę podniósł drażki oba.

Znowu gra. Już drżą drażki tak lekkimi ruchy,
Jak gdyby zadzwoniło w strunę skrzydło muchy,

Wydając ciche, ledwie słyszalne brzęczenia.

Mistrz zawsze patrzył w niebo, czekając natchnienia.
Spojrzał z góry, instrument dumnie okiem zmierzył.
Wzniósł ręce, spuścił razem, w dwa drążki uderzył.
Zdumieli się słuchacze.

Razem ze strun wiele
Buchnął dźwięk, jakby cała janczarska kapela
Ozwała się z dzwonekami, z zelami, z bębenki.
Brzmi polonez Trzeciego Maja!... Skoczne dźwięki
Radością oddychają, radością słuch poją;
Dziewki chcą tańczyć, chłopcy w miejscu nie dostoją.
Lecz starców myśli z dźwiękiem w przeszłość się
[uniosły

W owe lata szczęśliwe, gdy senat i posły,
Po dniu Trzeciego Maja, w ratuszowej sali,
Zgodzonego z narodem króla fetowali,
Gdy przy tańcu śpiewano: »Wiwat król kochany!
Wiwat sejm, wiwat naród, wiwat wszystkie stany!»

Mistrz coraz takty nagli i tony natęża,
A wtem puścił fałszywy akord, jak syk węża,
Jak zgrzyt żelaza po szkle: przejął wszystkich dre-
[szczem

I wesołość pomieszał przecuciem złowieszczem.
Zasmuceni, strwożeni, słuchacze zawąpili:
Czy instrument niestrojny? czy się muzyk myli?
Nie zmylił się mistrz taki! On umyślnie trąca
Wciąż tę zdradziecką strunę, melodyję znąca,
Coraz głośniej targając akord rozdasany,
Przeciwno zgodzie tonów skonfederowany.

Aż Klucznik pojął mistrza, zakrył ręką lica
I krzyknął: »Znam! znam głos ten! to jest Targowica!»
I wnet pękła ze świstem struna złowróżąca...

Muzyk bieży do prymów, urywa takt, znąca;
Porzuca prymy, bieży z drążkami do basów.
Słychać tysiące coraz głośniejszych hałasów:
Takt marszu, wojna, atak, szturm, słychać wystrzały.
Jęk dzieci, płacze matek... Tak mistrz doskonały
Wydał okropność szturm, że wieśniaczki drżały,
Przypominając sobie ze łzami boleści
Rzeź Pragi, którą znały z pieśni i powieści;
Rade, że mistrz nakoniec strunami wszystkiemi
Zagrzmiał i głosy zdusił, jakby wbił do ziemi.

Ledwie słuchacze mieli czas wyjść z zadziwienia,
Znowu muzyka inna; znów zrazu brzęczenia
Lekkie i ciche; kilka cienkich strunek jęczy,
Jak kilka much, gdy z siatki wyrwą się pajęczej.
Lecz strun coraz przybywa. Już rozpierzchnę tony
Łączą się i akordów wiążą legijony,
I już w takt postępują zgodzonymi dźwięki,
Tworząc nutę żalną tej sławnej piosenki:
O żołnierzu - tułacz, który borem, lasem
Idzie, z biedy i z głodu przymierając czasem,
Nakoniec pada u nóg konika wiernego,
A konik nogą grzebie mogiłę dla niego.
Piosenka stara, wojsku polskiemu tak miła!
Poznali ją żołnierze; wiara się skupiła
Wkoło mistrza; słuchają, wspominają sobie
Ów czas okropny, kiedy na Ojczyzny grobie

Zanucili tę piosnkę i poszli w kraj świata;
 Przywodzą na myśl długie swej wędrówki lata,
 Po łądach, morzach, piaskach gorących i mrozie,
 Pośrodku obcych ludów, gdzie często w obozie
 Cieszył ich i rozrzewniał ten śpiew narodowy.
 Tak rozmyślając, smutnie pochylili głowy...

Ale je wnet podnieśli, bo mistrz tony wznosi,
 Nateża, takty zmienia, coś innego głosi.
 I znowu spojrzął z góry, okiem struny zmierzył,
 Złączył ręce, oburącz w dwa drażki uderzył.
 Uderzenie tak sztuczne, tak było potężne,
 Ze struny zadzwoniły, jak trąby mosiężne,
 I z trąb znana piosenka ku niebu wionęła,
 Marsz tryumfalny: »Jeszcze Polska nie zginęła!
 Marsz Dąbrowski do Polski!...« I wszyscy klasnęli,
 I wszyscy »Marsz Dąbrowski« chórem okrzyknęli!

Muzyk, jakby sam swojej dziwił się piosence,
 Upuścił drażki z palców, podniósł w górę ręce;
 Czapka lisia spadła mu z głowy na ramiona,
 Powiewała poważnie broda podniesiona,
 Na jagodach miał kręgi dziwnego rumieńca,
 We wzroku, ducha pełnym, błyszczał żar młodzieńca.
 Aż, gdy na Dąbrowskiego starzec oczy zwrócił,
 Zakrył rękami, z pod rąk łez potok się rzucił.

»Jenerale, rzekł, ciebie długo Litwa nasza
 Czekala długo, jak my, Żydzi, Mesyjasza...
 Ciebie prorokowali dawno między ludem
 Śpiewaki... ciebie niebo obwieściło cudem...

Zyj i wojuj, o ty nasz!...« Mówiąc, ciągle szlochał.
 Żyd pocziwy Ojczyznę, jako Polak, kochał
 Dąbrowski mu podawał rękę i dziękował,
 On, czapkę zdjawszy, wodza rękę ucałował.

A. Mickiewicz.

23. Noc 29 listopada 1830 r.

Nad wieczorem dnia 29 listopada 1830 roku,
 gdy się zbliżała umówiona pora do działania, cy-
 wilni spiskowi, którym poruczono rozpoczęcie ru-
 chu napadem na Belweder, szli po dwóch, po trzech,
 różnemi drogami do lasku łązienkowskiego, jedni
 z ukrytą krótką bronią palną, drudzy bez broni,
 ponieważ wszyscy spodziewali się dostać karabi-
 nów ze szkoły podchorążych. Niebo było pochmurne
 ten cały dzień, tak, że zmierzch i noc prawie bez
 przedziału w jeden moment przepadły. W Łazien-
 kach po prawej i lewej stronie posągu króla Jana
 zejść się mieli ci waleczni młodzieńcy na pół go-
 dziny przed terminem; miało ich być wszystkich
 czterdziestu; lecz różne okoliczności więcej niżeli
 o połowę tej liczby zmniejszyły. W rozległej sto-
 licy Polski oddziały garnizonu były jedne od dru-
 gich bardzo oddalone. Za hasło do wspólnego, je-
 dnocznego działania, o czem wszyscy w wigilię
 zostali uprzedzeni, miał służyć pożar browaru na

Solcu; po tym dopiero znaku z południa plan sprzysiężonych zalecał podpalenie dwóch drewnianych budowli w przeciwniej stronie: w bliskości koszar gwardyi wołyńskiej na Nowo-Lipiu. Tą podwójną luną oddziały garnizonu polskiego ruszone ze wszystkich punktów, z koszar aleksandryjskich, czyli mikołajewskich, śapieżyńskich i ordynackich, tudzież z kwater w mieście i głównych wart, mogły z łatwością w jednej chwili rzucić się na nieprzygotowanego nieprzyjaciela, bądź w tych samych koszarach, bądź gdzieindziej, rozbroić go i wziąć w niewolę, a potem wskazane pozajmować stanowiska. Tak chciał mieć plan, przepisany dla działań tej nocy, plan, dobrze pomyślany, rozważony gruntownie i, sądząc z wyższości sił naszych, łatwy do wykonania. Wszakże los psotny, który się śmieje z ludzkiej przezorności, tylko, tylko co wszystkiego na samym wstępie w niwecz nie obrócił. Czy zegar lazienkowski szedł prędzej od miejskich zegarów, czyli też dwaj podchorążowie, wyprawieni do wzniesienia pożaru na Solcu, zbyt skwapliwie chcieli się uiszczyć z tego obowiązku: dość że hasło do wspólnego działania i zawczasie i źle było dane, to jest chybiło w porze umówionej. Ogień na Solcu zabłysnął na pół godziny przed szóstą, a zgasł o szóstej. Browar, stary, na wpół zbutwiały budynek, nasamprzód wcale nie chciał się zapalić. Wysocki zapóźno, bo dopiero dnia 28 listopada żądał palnych materyałów od Karola Stolzman, porucznika artyleryi, adjunkta w dyrekcji młyna prochowego. Żądał tego w niedzielę, kiedy pracownia ogniów wojennych była zamknięta,

a powinien był, jak obiecał, porozumieć się ze Stolzmanem na kilka dni pierwej. W braku tedy palnych materyałów, mogących ułatwić to przedsięwzięcie i skutek jego uczynić niewątpliwym, dwaj podchorążowie musieli użyć słomy. Ogień wszczynał się z wielką trudnością i daleko pierwej, nim wszyscy z oddziału belwederskiego zdążyli przybyć do Łazienek, co naturalnie zaraz ich zmieszało i na różne opaczne naprowadzało domysły. Nabelak z Goszczyńskim śpieszyli wtedy do głównej alei, ku miejscu zgromadzenia akademików. W tej samej chwili uderzono na trwogę ogniową w poblizkich koszarach. W mgnieniu oka powstaje niezmierny ruch naokoło. Posyłki konne i piesze przebiegały lasek we wszystkich kierunkach, z Belwederu do koszar, z koszar do Belwederu; namnożyło się światła między drzewami, na odwachach dzwoniono, i warty występować zaczęły. Za czasów cesarzewicza służba ogniowa była dobrze urządzona. On sam miał we zwyczaju dojeżdżać do każdego pożaru czy we dnie, czy w nocy; mógł więc i tym razem wypaść z Belwederu. Z kilkunastu przybyłych akademików ledwo kilku zostało wśród tego zamieszania; nareszcie i ci się rozproszyli w różne strony, żeby nie wpaść w ręce żołnierzy i policyantów. Ten alarm trwał w Łazienkach przeszło pół godziny.

Zawczesny i słaby ogień w browarze zgaszono bez wielkiej trudności. Ta okoliczność, jakkolwiek drobna, stawia sprzysiężenie w najprzekrzesztem położeniu i rodzi wszystkie złe skutki, jakie koniecznie z braku jednoczesności w działa-

niu na tak obszernym teatrze wyniknąć musiały. Od tej chwili wszystko idzie oporem: związkowi w południowej części miasta, koło Belwederu i koszar jazdy rosyjskiej, nie mogli dać znać o sobie związkowym na tyłu innych punktach stolicy. Ci, nie spostrzegając sygnału z południa, rozumieli, że tam się jeszcze nic nie stało i nie zaczęli działać; po terminie upływało więc dużo czasu, — i oto jedno nic, pochodzące z roztargnienia Wysockiego, naraża całą sprawę, naraża przyszłość powstania.

Po chwili wszystko jednak znowu ucichło w Łazienkach. Rozsypany oddział zaczął się zgromadzać. Spiskowi, wychodząc z za drzew, pytają jeden drugiego o nazwisko, ale co dalej począć w tak szczupłej liczbie, po obudzeniu czujności nieprzyjaciela, nie wiedzą. Z krótkiej narady, którą wtenczas odprawili między sobą, wypadło, aby Nabelak poszedł do szkoły podchorążych na zwiady — o paręset kroków od mostu Sobieskiego. Udał się tam, ale z niczem powrócił. Wysocki bawił jeszcze w mieście; nie nadeszli i ci dwaj podchorążowie, którym browar zapalić polecono. Szkoła była, równie jak oddział belwederski, zatrwożona; najbardziej lękali się podchorążowie, aby tych podpalaczy nie schwytano. Nastąpiła tedy druga pauza, przeciągła, jak wiek, pauza nieczynności i oczekiwania wśród przyspieszonego krwi obiegu. Już godzina upływała od chwili, naznaczonej do rozpoczęcia ogólnego ruchu!

Chybiony sygnał, który miał wzruszyć całe miasto, który miał z miasta zapewnić pomoc podchorążym, demoralizował szczególnie młodych aka-

demików, dość odważnych, by się rzucić pierwszym zapędem i w największe niebezpieczeństwo, lecz przy zimnej refleksyi, do czego tyle czasu mieli, zaczynających już mierzyć otchłań bez gruntu, co się przed nimi otwierała. Ta przewłoka była bolesna. Nabelak i Goszczyński idą powtórnie do szkoły podchorążych. Napróżno — i tym razem żadnej jeszcze znikąd wiadomości. Dopiero wracając spotykają Wysockiego, przybywającego z miasta w towarzystwie Szlegla, Dobrowolskiego, Paszkiewicza i Rottermunda. Wysocki z dwoma pierwszymi pobiegł zaraz do szkoły; Paszkiewicz i Rottermund woleli połączyć się z wyprawą na cesarzewicza. Od tej chwili inny duch wstąpił we wszystkich. Wyniesiono karabiny podchorążych Rosyan, którzy udawali, że nie dostrzegają tego, co się około nich działo. Gdy się szkoła uzbrajała, Nabelak i Goszczyński nabijali broń i obliczali swe siły: było wszystkich ośmnastu z Paszkiewiczem i Rottermundem, tudzież dwoma podchorążymi, Trzaskowskim i Kobylańskim, którzy oddział prowadzić mogli, jako dobrze znający Belweder we środku. Rozdzielili się na dwie równe części. Jedna część, pod komendą Trzaskowskiego, udała się w górę drogą ku rogatkom mokotowskim, żeby wpaść do Belwederu od frontu przez główną bramę. Teżsi, silniejsi postawą składali ten oddział, bo odwagę moralną mieli wszyscy jednaka. Druga część, pod dowództwem Kobylańskiego, ruszyła do ogrodu belwederskiego, aby działać z tyłu pałacu.

Oddział od frontu, dochodząc do bramy, powdwoił kroku i nagle z przerażającym okrzykiem

wleciał na dziedziniec. Kilka osób, tam będących, uciekło natychmiast i przymykało za sobą drzwi środkowe. Jeden z oddziału uderzył w te drzwi kolbą i przy pomocy innych wysadzili je z zawias.

Pośluczono szyby w dolnych oknach. Już natarczywie szedł ogień od koszar z ręcznej broni, co domowników księcia do reszty przeraziło, a napadającym dodało ducha. Wtłoczyli się do głównego korpusu oknem i drzwiami. Głuche naokoło milczenie! Żadnego oporu, żadnego ruchu w całym pałacu.

Wpadają na górę, odmykają, a raczej wylamują jedne drzwi po drugich, z jednego do drugiego przechodzą pokoju — nigdzie żywej duszy. Czynią niezmierny hałas, wszystko wywracają w siedzibie, lecz jego samego nie znajdują. W przysionku sali audyencyonalnej ¹⁾ wysoki mężczyzna stoi za drzwiami na pół otwartymi; zdawał się chcieć uniknąć niechybnej zguby. Poznany i pchnięty kilku bagnietami pada na posadzkę, lecz nie umiera, bo go tylko niewprawne jeszcze ręce dotknęły. Był to wiceprezydent Lubowidzki, którego zła gwiazda na chwilę przed tym napadem sprowadziła do Belwederu, z pewną już wiadomością o mającej nastąpić rewolucji. Powstanie zastało cesarzewicza śpiącego. Za pierwszym na dole okrzykiem, kamerdyner Kochanowski budzi go, przecierającego jeszcze oczy porzywa gwałtem z łóżka i wpycha do gabinetu, skąd tajemne schody prowadziły do lewego pawilonu księżnej Łowi-

¹⁾ Sala, gdzie dają się posłuchania.

ckiej ¹⁾; uczynił to w samą porę, gdyż zaraz potem wpadło kilku spiskowych do gabinetu. U księżnej miała miejsce malarska scena. Ledwo nie u stóp Polki, której tron poświęcił, szukał Konstanty ratunku przed Polakami. Cały dwór niewieści był tam już zebrany: gdy cesarzewicz wbiegł do pokoju księżny w nieładzie nocnego odzienia, kazała ona poklekać kobietom wokoło niego, i na głos odmawiać pacierze, pewna, że wśród zastępu silnego modlitwą i płcią, żadna go zemsta z rąk polskich nie dosięgnie. W takiej postawie został w tem gronie przez kilka minut, nieprzytomny, błady i słowa wyrzec nie mogąc. W godzinę jeszcze potem drżał, jak liść, a wsiadającemu na konia musiano nogę zakładać. Oddział powstańców, splądrowawszy całe górne i dolne pomieszkowanie prócz pawilonu księżnej Łowickiej, jak wleciał, tak wyleciał z pałacu pędem wichru, lecz pierwwej na dziedzińcu jedną jeszcze ofiarą swe odwiedziny uczynił pamiętniejszemi. »Najnikczemniejszy z nikczemnych«, jak go Wielki Książę nazywał, nieodstępny towarzysz, koniuszy, pierwszy faktor cesarzewicza, generał Gendre ²⁾, śpieszący do pobliskich stajen, wpadł wtedy w ręce spiskowych. Krzyczał ze wszystkich sił swoich, lecz to nic nie pomogło; otrzymał bagnietem w piersi raz głęboki, śmiertelny. Cała wyprawa kilkunastu minut nie trwała. Młodzież, naznaczywszy krwią podwoje

¹⁾ Żona ks. Konstantego, Polka, z domu Grudzińska.

²⁾ Czytaj: Żandr.

cesarzewicza, obróciła się z Belwederu w prawo i przez ogród botaniczny zmierzała szybkim krokiem do mostu Sobieskiego. Tu nastąpiło połączenie całego oddziału z podchorążymi, gdyż i druga część, nie mając nic do czynienia w ogrodzie, cofała się ku tej stronie, położywszy trupem jednego z warty ogrodowej, który biegł do pałacu z wiadomością o przybyciu niespodziewanych gości. Tylko co Nabelak i jego towarzysze zdążyli ująć paręset kroków od pałacu, gdy silny tętent koni na drodze z Łazienek do rogatek mokotowskich przekonał ich, jak szczęśliwie, jak cudownym prawie sposobem wielkiego uniknęli niebezpieczeństwa; wtenczas właśnie jedna część z rozbitych przez podchorążych kirasyerów przybyła galopem pod Belweder, otaczając pałac z przodu i z boku od ogrodu botanicznego. Jeszcze tedy kilka minut dłużej, a nikt nie byłby żywy wyszedł z oddziału, który wpadł do frontu.

M. Mochnacki.

24. Śmierć pułkownika (1831).

W głuchej puszczy przed chatą leśnika,
Rota strzelców stanęła zielona;
A u wrót stoi straż pułkownika,
Tam w izdebce pułkownik ich kona,

Z wiosek zbiegły się tłumy wieśniacze.
Wódz to wielkiej był mocy i sławy;
Kiedy po nim lud prosty tak płacze
I o zdrowie tak pyta ciekawy.

Kazał konia pułkownik kulbaczyć,
Konia w każdej sławnego potrzebie;
Chce go jeszcze przed śmiercią obaczyć,
Kazał przywieść do izby — do siebie.
Kazał przynieść swój mundur strzelecki,
Swoją kordelas i pas i ładunki;
Stary żołnierz — on chce, jak Czarniecki,
Umierając, swe żegnać rynsztunki.
A gdy konia już z izby wywiedli,
Potem do niej wszedł ksiądz z Panem Bogiem;
I żołnierze od żalu pobledli,
A lud modlił się, klęcząc przed progiem.
Nawet starzy Kościuszki żołnierze
Tyle krwi swej i cudzej wylali,
Lży ni jednej — a teraz płakali,
I mówili wraz z księżmi pacierze.

Z rannym świtem dzwoniono w kaplicy;
Już przed chatą nie było żołnierza,
Bo już Moskal był w tej okolicy.
Przyszedł lud widzieć zwłoki rycerza.
Na pastuszym tapczanie on leży —
W ręku krzyż, w głowach siodło i burka
A u boku kordelas, dwururka.

Lecz ten wódz, choć w żołnierskiej odzieży,
Jakie piękne dziewicze ma lica?

Jaką pierś. — Ach, to była dziewica!
To Litwinka dziewica-bohater,
Wódz powstańców — Emilija Plater!¹⁾

A. Mickiewicz.

25. O zgodzie domowej.

Przywodzić was ma do zgody ten łańcuch pokoju, którym was Chrystus Jezus do jedności związał, o którym mówi Apostoł: »Z pilnością zachowajcie jedność ducha we związku pokoju. Jedność ciała i duch jeden, jakoście wezwani w jednej nadziei powołania waszego. Jeden Pan, jeden Bóg i ociec wszystkich, który jest nad wszystko i przez wszystko i we wszystkich was«. Jakoby rzekł: »Trudno się macie rozrywać i wadzić, boście związani i spojeni, jako członki w jednym ciele, które się między sobą targać nie mogą, które jedna dusza ożywia i rządzi, od której odstępować, a jej nie słuchać—jest śmierć. Trudno się wadzić macie, boście związani służbą jednego Pana, który w domu swoim tego nierządu nie dopuści, aby czeladka Jego w pokoju mieszkać nie miała. Tru-

¹⁾ Hrabianka Emilia Platerówna, wódz jednego z oddziałów powstańczych na Litwie w r. 1831, zmarła w pochodzie z trudów i niewygód wojennych.

dno się wadzić macie, boście spojeni jedną wiarą i nauką o zbawieniu swoim, która żadnych rozdziałów nie cierpi. Trudno się tym wadzić, którzy z jednego żywota matki wyszli«.

O, jakto mocne do zgody łańcuchy i związki! Jakobyśmy pana domu nie mieli, który nas sądzi, karze, naucza, a spokojny dom swój mieć chce. Gdyż to jest samego gospodarza sromota i nierozum i niesprawność, gdy się domownicy jego z sobą gryzą. Jest pan jeden doma, jest sędzia jeden; ma swoje urzędniki i poruczniki widome, którzy porównać wszystko i ugasić niesnaski między swemi mogą.

Siedzim u jednego stołu, używając z jednych mis i jednych drogiech potraw Pana swego, to jest, jednej niebieskiej nauki i sakramentów zbawionych: jakoż się przy tym spokojnym stole waśnieć jeden na drugiego mamy? izali złe i niezgodne przypuści Pan do czci tak wielkiej i szanowania godnego stołu swego? izali głodem umrzeć nie musim, gdy od tych świętych potraw dla naszej niestworności odepchnieni będziemy? Jeśli szaty miłości i zgody braterskiej nie mamy, izali nas nie wypędzą z rozkosznego godownika i z pod Pana naszego? Izali nie usłyszym słów onych: »Jakoś tu wszedł, szaty godowej, to jest zgody i jedności braterskiej, nie mając?« Izali nas katom srogim na związanie nóg i ręki i na wrzucenie w ciemności wieczne nie podadzą?

Jako możemy mieć odpuszczenie grzechów naszych, gdy braciej naszej nie odpuszczamy, a waśni i nienawiści z nimi nie oddalamy, a z brater-

skiej miłości się wyzuwamy? O, wielkież to do zgody i jedności potargnienie! »Żadnej się łaski u mnie — mówi Chrystus — nie spodziewaj, żadnego grzechu odpuszczenia mieć nie będziesz; wszystkie cię grzechy twoje potępią, jeśli się z bratem nie zgodzisz«. O Panie mój! i nogi mu umyję i całuję i zdrowie moje zań dam, bylebym od łaski Twojej nie odpadał.

O, jako ciasny łańcuch, który mnie do zgody wiąże i w niej trzyma! »Nie kłaniaj mi się — mówi Chrystus — ani mi się na oczy ukazuj, ani mi ofiaruj daru żadnego, jeśli się z bratem nie zgodzisz. Na modlitwę twoją uszy zatkam; na ofiarę twoją, jako Kaimową, nie wejrzę, jeśliś bratu twemu nieżyczliwy«. O Panie mój! jeśli ty oko twe i twarz twoją ode mnie odwrócisz, cóż po mnie? zginąłem, jeśli mi sobie służyć nie każesz! Jeśli ofiarą i posługą i upominki mymi i modlitwą moją wzgardzisz, cóż po mnie? Gdzież pójdę, gdy mnie od siebie odpędzisz? Izali najdę za morzem i na końcu świata miejsce, w którymbych mógł ujść mocy i ręki Twojej? Dlatego zaraz zgody i przyjaźni brata mego szukać i znaleźć ją muszę.

Izali to nie srogie słowo Pana naszego, którem nas do zgody ciągnie i prawie zniewala? »Uczniami się moimi nie zowiecie, za sługi moje was nie znam, i nikt was za moje poddane i za lud mój niechaj nic nikt nie pisze, jeśli niezgoda jest między wami, jeśli się nie miłujecie. Po tem poznają niewierni i nieprzyjaciele moi, Turcy i poganie, żem ja was się zaprzął; i niech serce i śmiałość ira was biore, jako na te, które Pana do obrony

swojej nie mają. I rzeknę im: bijcie je i mordujcie i wyganiajcie i do niewoli swojej bierzcie; bo to nie moi, Pana nie mają, owce są błędne bez pasterza, ja wiedzieć o nich nie chcę«. O Panie mój! któż się tego nie przełęknie, a do zgody się braterskiej i miłości nie wróci.

»Jednego chleba pożywamy—mówi Apostoł—abyśmy wszyscy jednym chlebem zostawali«. I Kościół się modli: »Wlej nam ducha miłości, Panie, a z twej dobroci tym daj zgodę, któreś Sakramentem Wielkanocnym nakarmił«. Z pożywienia Chrystusowego wszyscy się jednym jego ciałem zostajem: jakoż się zgadzać nie mamy? izali ręka żyć może, gdy się od ciała oderwie? traci ducha ożywającego, śmierć sobie i wieczną zgubę przywodzi, gdy się z innymi członki wadzi i onych odbiega. Tymi łańcuchy i związkami Chrystus, Bóg i Pan nasz, jeśliśmy chrześcijanie, jeśliśmy z jego chrztu jednego urodzeni, jeśliśmy jedną męką jego i krwią jego odkupieni, jeśli w Chrystusa wierzymy, jeśli go za Pana i głowę naszą znamy, jako wierna czeladka jego, jeśli do dziedzictwa jego wspólnie należymy, jeśli skarbów w jego domu i dostatków zażywamy, jeśli pod jego obroną i cieniem odpoczywać chcemy: targać tych łańcuchów tak mocnych nie możemy, zgadzało się i w jedności żyć i o sobie radzić musimy. Są drugie łańcuchy do spojenia pokoju i zgody waszej z strony miłej ojczyzny, matki waszej, którymi nas spina i wiąże, abyście się nie targali, a zgodę i jedność miłowali.

Macie jednego pana i króla, jedno prawa i wolności, jedno sejmy koronne, jedną spólną

matkę, ojczyznę miłą, jedno ciało, z rozmaitych narodów i języków skupione i spojone i dawno zrosłe: jakoż się wodzić, dzielić tem i nie zgadzać możecie?»

I dlaczegoż jednego pana i króla macie? Jedno dla jedności i zgody: aby on, jako jedna głowa, wszyscy pod obronę swoją skupiwszy, w zgodzie was i jedności zachował.

»Król — mówi Pismo — siedząc na stolicy sądów swoich, rozprasza wszystko złe samem wejściem swoim«. Gdy pańska dostojność i poważność mocna jest, wszystkie niezgody wasze uciekać i psować się muszą; gdy jeden każe, jeden sądzi, jeden rozumem swoim i mądrością wszystkich rozumienia miarkuje.

Macie wspólne prawa i wolności: jakoż się dzielić jemi możecie? Zgodnym jest nadane. Bracia są — jako psalm mówi — nie mający rozdzielonego dziedzictwa: nikt pojedynkiem mieć ich nie mógł, jedno wszyscy zaraz. Toć się zgadzać muszą.

A wspólna ojczyzna i matka miła jako was do zgody wiąże i zniewala? izali też się podzielić ją możecie? izali to nie jest jej śmierć, gdy się ją dzielić i rozrywać poczniecie? Obalenie tak wielkiego królestwa, zguba wszystkich praw i wolności waszych, upadek wszystkich dóbr waszych, braciej waszej i narodu waszego, żon i dzieci waszych, jako was do zgody nie przywodzi?

Ks. P. Skarga
kaznodzieja XVI w.

26. Na mogile powstańczej.

Stopy Justyny pograżyły się w mialkiej, suchej, gorącej topieli. Wzrok jej ze zdziwieniem przesuwiał się po tej pustyni, której nigdy nie widziała, na którą nigdy też prawie nie patrzyło żadne ludzkie oko, bo żadna praca, żaden plon i żadna, dokądkolwiek prowadząca, droga nie przywodziła tu ludzkich kroków i zamiarów. Ale gdy spojrzała na towarzysza, jeszcze większe uczuła zdziwienie.

Jan zdjął czapkę i zamyślonemi oczyma wodził po nagich szczytach, pagórkach. Miał postawę człowieka, który stanął w progu kościoła i wpatruje się w wielki ołtarz. Możliwe, że nigdzie tyle, ile w tem miejscu, nie czuł się człowiekiem, i nigdzie tyle nie doznawał ludzkich, wyższych, od codziennego życia dalekich myśli.

— Dawno tu nie byłem — zaczął też takim głosem, jakim człowiek w progu świątyni przemawia. Może pięć, może sześć lat nie byłem. Stryj woli na Mogilę tamtą stroną chodzić, bo raz, jak przez te piaski szedł, twarzą wprost na ziemię upadł i z godzinę od płaczu ryczał...

— Czegoż tak płakał? — ze wzruszeniem, z którego przyczyn jeszcze sobie jasno sprawy nie zdawała, spytała Justyna.

— Bo, długo chorym będąc, z chaty prawie nie wychodził i pierwszy raz wtedy po swoim

wskrzeszeniu to miejsce zobaczył, przez które niegdyś z wielką kompanią jechał...

Zrozumiała — i więcej nie pytała o nic.

Jan, ciągle na wzgórza patrząc, mówił dalej:

— Dla mojej pamięci to jest bardzo ważne, bo ja tu, z tego pagórka, ostatni raz ojca widziałem...

Wskazujący palec ku jednemu z pagórków wyciągnął.

— Widzi pani, tam, ten trzeci od boru pagórek?... Dniem i nocą, latem i zimą pustką on stoi, i żadne nawet ziółko uczepić się go nie chce. A jednakże był niegdyś taki wieczór, że od góry do dołu zdeptały go ludzkie i końskie nogi, i łez nie mało na niego spadło.

— Pan to wszystko dobrze pamiętasz?

— A jakże! Pani i wiary dać nie może, jak pamiętam. Siedem lat pod ten czas skończyłem, ósmy mi szedł; to może i nie dziwno, że pamiętam.

Uszli już byli kilkadziesiąt kroków naprzód. Jan znowu twarzą zwrócił się ku pagórkowi i stanął.

— Stąd Niemna nie widać — zaczął — ale my wtedy z tego pagórka dwie godziny, albo może i trzy, patrzyli na rzekę, którą przyływały czółna i łodzie, z jednej strony i z drugiej ludzi przywołując. Od brzegu do brzegu zaś szedł i powracał na łodziach promek nieduży... Wszyscy przez te piaski przeszli, przejechali, i już ich widać nie było. Wieczór zrobił się majowy. Jak dziś, pamiętam, księżyc dobrze już przesunął się był do środka

nieba i tkwił nad samymi piaskami. Cichość panowała na rzece, na brzegach tylko, w borze słowik śpiewał... Wreszcie ojciec pocałował matkę, coś jej poszeptał, a potem mnie z ziemi na rękach podniósł i całować zaczął. Wprzód nigdy mnie tak nie całował, bo człowiekiem był więcej pochmurnym, niżeli wesołym, i częściej w milczącym zamysleniu pogrążał się, niż okazywał to, co miał w sobie; nie tak, jak stryj Anzelm, który wesoły był i gadatliwy i cały na wierzchu. Podobno też za tę pochmurność i za to utapianie się w myślach tak nadmiar mego ojca polubił pan Andrzej. Ale wtenczas ojciec, dziecko swe żegnający, w zamkniętości swej nie wytrzymał i cisnął mnie do siebie tak mocno, aż bolało, i mało nie tysiąc razy mnie pocałował. W tej samej minucie pan Andrzej żegnał się ze swoją żoną i ze synkiem swoim. Stała też tam panna Marta, która w tę porę młodą jeszcze była i, kiedy stryja żegnała, troszkę wprzód święcony medalik na szyję mu powiesiła; stało i więcej różnych ludzi ze dworu i z okolicy, może wszystkich osób ze dwadzieścia. Nikt tam bardzo głośno nie mówił, ale wszyscy razem rozmawiali, i zrobił się z tego taki gwar, jak kiedy wiele rójów razem brzęczy. Do tego dwa konie, osiodłane i pod pagórkiem tym stojące, z niecierpliwości parskwały, kopytami piasek grzebiąc. Kiedy mnie ojciec całować przestał i z rąk na ziemię wypuścił, tego momentu już nie pamiętam; to tylko pamiętam, że zobaczyłem go jeszcze, jak obok pana Andrzeja przez te piaski jechał. Widać, bardzo płakałem i przez łzy zobaczyć go nie mogłem, bo

dopiero wtedy zobaczyłem, kiedy już znajdował się na połowie drogi, pomiędzy pagórkami a borem. Księżyc wprost nad piaskami świecił, a w jego światłości ojciec i pan Andrzej jeden przy drugim na koniach równej piękności jechali. Jechali oni ani bardzo prędko, ani bardzo powoli; konie pod nimi podnosiły się równo, równo, jak przy muzyce... Nie obejrzawszy się ani razu, piaski na ukos tedy przejechali i tam... widzi pani to miejsce? z oczu naszych znikli... Słowik w borze śpiewał...

Wyciągniętem ramieniem wskazywał punkt boru, ku któremu właśnie zbliżali się powoli. W miarę zbliżania się do lasu piasek twardniał pod ich stopami; szli teraz po szeroko rozpościerających się różowych girlandach wrzosów. Milczeli oboje.

— I więcej nigdy już pan ojca swego nie widziałeś?

— Raz już tylko, po tem ostatniem rozstaniu, o nim usłyszałem. Pewno dobrze po świętym Janie, a może i około świętej Anny, bo zboże już na polu prawie dojrzało, i gdzieniegdzie je żąć zaczęli, staliśmy w okolicy, nad samym brzegiem, gdzie... pani... wie? na naszym podwórku lipy rosną. Niedużo nas było, może osób kilka, bo inni ludzie na podwórkach zgromadzili się i, tak samo kupkami stojąc, wszyscy ku stronie piasków obrócen, stuków i grzmotów słuchali, co tam toczyły się i turkotały, to dłużej, to krócej, co prędko, to pomaleńku, jakby z całego nieba pioruny zebrały się i w to miejsce biły. Słowik już wtedy nie śpiewał: za to gdzieniegdzie podejmowały się z nad boru chmury

wszelakiego ptactwa, jak zwaryowane, z przerażliwymi krzykami, latały nad borem, nad rzeką, na drugi brzeg uciekając, albo też lecąc jak najdalej, zdaje się, na oslep... Nad piaskami zaś ciągle grzmiało a grzmiało, i dopiero przed samym wieczorem grzmoty zaczęły pomału ustawać, aż i zupełnie ustały, a po całym borze podniosły się wielkie ludzkie krzyki i zgielki. Ja wtedy tak przeląknęłam się, że całego mnie trząść zaczęło, i mocno uczepiłam się matki, która fartuch przy oczach trzymała i przed sąsiadkami, co do niej z szeptaniem przybiegły, pocichu lamentowała. Potem jednakowoż i krzyki zamilkły... Noc nastała... Widać, że niebo chmury zaległy, bo zrobiło się bardzo ciemno. Ale pomimo nocy ludzie wciąż kupkami na swoich podwórkach stali, albo siedzieli, ku piaskom patrząc, a na miejsce tych ptasich wrzasków, które rozlegały się we dnie, po całej okolicy w ciemności nocnej rozeszły się szepty ludzkie, szumienie wiatru nasładowujące, i w tej cichości posłyszeliśmy jednakże na przeciwnym brzegu rzeki wielkie plusnięcie wody, a potem już ciche, ale ciągle pluskanie, pluskanie. Ktościs do wody skoczył, płynął, rzekę przepłynął, i z pod lip naszych widać było cień jakiś, wstępujący pod górę, to prędko, to pomału, aż ostatni raz skoczył i wprost przed nami stanął. Matka przeżegnała się, krzyknęła: »Anzelmi« i zakręciła się na miejscu, jak nieprzytomna. Ale stary Jakób, który jeszcze wtenczas niezupełnie był waryatem, wziął stryja za rękę, do chaty go zawiódł i ogień rozniecił. Kupka też ludzi wcisnęła się do chaty. Mnie znowu trząść zaczęło, kiedy na stryja spoj-

rzalem. Jezu drogi, jak on wyglądał! Twarz miał czarną, jak u Murzyna, i tylko oczami wilczemi błyszczącą, odzież calutka w dziurach, ręka jedna opuszczona i bezwładna, a z włosów i odzienia woda mu potokami ciekła. Dyszał tak, że słowa przemówić nie mógł i tylko kiedy niekiedy stękał, jakby w nim coś pękało. Ludzie koło niego szepotali, pytali, nawet go za ręce i za odzież targali; on nie! Raz tylko na mnie spojrzał, i lzy potokiem sciekły mu po uczernionej twarzy. Za kołnierz od koszuli mnie schwycił i tak nagle do siebie przysunął, że aż krzyknąłem ze strachu. A potem zaczął do mnie mówić... Z początku niewyraźnie mówił, i zrozumieć nie mogłem; ale potem, nie wiem, czemu, zrozumiałem, że on mi każe do dworu korczyńskiego lecieć, do pana Benedykta, który teraz w domu siedzi, i powiedzieć jemu... »O, Jezu drogi... powiedz ty jemu, że pan Andrzej tu!..« i na czoło sobie pokazał... »A twój ojciec tu!..« i na piersi sobie pokazał. A potem jeszcze dolożył: »Obydwoch niemal« i spytał się mnie: »Zrozumiałeś?« Zrozumiałem... Zrozumiałem tak dobrze, że do dziś dnia...

Do dziś to wspomnienie rwało mu się w piersi, która przecież innym razem tak rozgłośnie pieśni na pola rzucała.

— Złość mnie wtenczas ogarnęła taka, że o strachu zapomniałem. Do dworu drogę znałem dobrze, ojciec mnie tam z sobą brał, i panna Marta często po mnie przysyłała: niedługa droga. Do dworu tedy leciałem w ciemności i od płaczu zataczałem się, ale leciałem, aż do sieni wpadłem, gdzie lokaj stał

i z początku puścić mnie dalej nie chciał; ale, dziecko całe we łzach zobaczywszy, puścił. Ja przez salę stołową i drugi jakiś pokój do gabinetu pana Benedykta wleciałem i, wprost przed jego nogami padłszy, głośno zawylem. On stał pomiędzy kominem, na którym ogień się palił, i biurkiem, którego wszystkie szuflady były powysuwane. Więcej ja jego cień na ścianie, niż jego samego, zobaczyłem, i zdało się, że na tym cieniu wszystkie włosy, jakby rozrzucony snop zboża, najeżone stały. Nachylił się, poznał mnie i na nogi postawił. »A co?« — zapytał. Ja jeszcze tchu od płaczu nie mając, tyle tylko: »Stryj powiedzieć każeł, że pan Andrzej tu!..« i na czoło sobie pokazałem; »a mój ojciec tu!..« i na piersi sobie pokazałem. I dolożyłem od siebie jeszcze: »Obydwoch niemal« Tylko zaś te dwa słowa wymówiłam, jak rozejdzie się po pokoju jakiś krzyk okropny, ni to ludzki, ni to zwierzęcy: i wtenczas dopiero zobaczyłem, że w kąteczku pokoju pani Andrzejowa, jak martwa kłoda, zwała się z kanapy, czy też z krzesła, na ziemię... zwała się i leżała z twarzą do sufitu obróconą, a taką białą, jak kreda, z oczyma zamkniętymi. Pan Benedykt tylko obydwojma rękami za głowę złapał się, tasiemkę od dzwonka tak mocno targnął, że mu w rękach została, i, jak tylko do pokoju panna Marta wbiegła, panią Andrzejową jej pokazał, a sam pędem z domu wypadł i prosto do okolicy biegł. Ja też za nim biegłem, ale dopędzić go nie mogłem, bo już i zmęczony byłem... więc, kiedy do chaty swej wszedłem, pan Benedykt i stryj z sobą rozmawiali, a tego, co mó-

wili, nie słyszałem. Jednom tylko posłyszał, że pan Benedykt zapytał się: »a Dominik?« Stryj zaś znak taki około nóg i rąk zrobił, jakby je czemś wiązał, i stał ciągle, plecami do ściany przyparty, z jedną ręką bezwładną, a drugą sobie po uczernionej twarzy, jakby w nieprzytomności, wodząc. Nogi się pod nim trzęsły, i woda z włosów jeszcze po kropelce ściekała. Pan Benedykt nie krzyknął, nie zapłakał, tylko do okna poszedł i, w nocne ciemności patrząc kilka razy, takim głosem, jak człowiek, w momencie konania będący, imienia Boskiego wezwał...

— Straszna historia! — szepnęła Justyna.

Jan, jakby jej obecność sobie w tej chwili przypominając, nagle zwrócił się ku niej i długo patrzył na kilka łez, które, jedna za drugą, cicho i powoli, z pod rzęs jej spuszczonej stoczyły się na policzki. Przed siebie potem spojrzał i żywym ruchem ramienia jej dotknął.

— Niech pani stanie i popatrzy!

Stała — i w tej chwili dopiero spostrzegła, że znajduje się w głębi boru. W tej chwili po raz pierwszy do jej uszu dostał się gwar ptactwa ogromny, który od początku lasu rósł, wzbierał, a tu wybuchnął niepodobnym do rozplątania chaosem dźwięków. Zarazem ogarnęły ją mocne wonie smoły, jałowcu, cząbrów, zmieszane z wilgotnym, cmentarzem przywodzącym na pamięć zapachem, który wydaje z siebie wiecznym cieniem osłonięta, biała pleśnią kwitnąca ziemia.

— Niech pani przed siebie patrzy — powtórzył Jan.

W głębi, pod ciemną kolumną kilku splecionych z sobą jodeł, słupem padającego od nich cienia ukryty, wznosił się niewysoki pagórek, mający kształt podługowaty i łagodne stoki, niby wał, niby kurhan, widocznie rękami ludzkimi usypany i, jak cała ta polana, niską, w nierówne kępy pogorbioną trawą obrosły.

Jan w milczeniu pagórek Justynie ukazał; ona też, milcząc, skinęła głową i wiedziała, że to zbiorowa mogiła.

— Ilu? — spytała z cicha.

— Czterdziestu — odpowiedział i kroku przyspieszył.

Suche, czarne szyszki pod stopami ich zatrzeszczały, kiciasty ogon uciekającej wiewiórki zaszeleścił w jodłach, kos gwizdał donośnie, trochę dalej szczygły zanosiły się od śpiewu, jeszcze dalej gruchały gołębie i tętniały we wszystkich stronach rytmiczne stukania żółn i dzięciołów. Skądeś, z wielkim szelestem skrzydeł i przeraźliwym ćwierkaniem, wzniosła się chmura drobnych, leśnych wróbli; krasnoskrzydła sójka błysnęła błękitem i na gałęzi sosny usiadła; w powietrzu, jak w kadzielnicy olbrzymiej, głuszonej zapachem pleśni, kipiały wonie jałowcu, smoły i cząbru.

E. Orzeszkowa.

27. O oświacie narodowej.

Jednością narodowości i języka jest literatura i wogóle oświata narodowa. Naród narodowość swoją wypisał i wypowiedział w pismach i dziełach i wypowiada ją obecnym stanem oświaty swojej. Środkiem do jednego i drugiego jest język. Wszystkie obrazy życia narodowego, w najrozmaitszej barwie obyczajów i zwyczajów, złożone są w piśmiennictwie narodowym; i wszystek język, taki, jakim był i jakim się ukształcał w kolei czasu, złożony w dziełach pisarzy ojczystych.

Dla tej jedności, której nie miały ani obyczaje narodowe, ani język, rozmaicie w rozmaitych okolicach naginany, ojczyzna dobiera się w piśmiennictwie i oświecie narodu najwyższej, a tem samem jedynej duchowości. Oświata jest rzeczywistym duchem ojczyzny, który ożywia za życia jego ciało, aż do ostatnich jego kończyn, i który po śmierci, gdy już ciało nawet w zgniliznę i w skład innych ciał przejdzie, unosi się nad jej grobem i przeprowadza ją do nieśmiertelności.

Jako więc w człowieku pojedynczym całą jego godność i całą jego zasługę oświecenie stanowi, które pracą nabrał, a może geniuszem swoim poparł, tak więcej jeszcze godność narodu stanowić będzie ta jego duchowa cząstka, która w jego oświecie złożona. Te narody nie tylko najwięcej mają szacunku u obcych, które innym w oświecie przewodzą, ale i u siebie godziwą, bo na rzetel-

nych zasługach opartą dumę narodową wywołują i tem uczuciem silną ojczyzny swojej rozwijają potęgę.

I my, Polacy, możemy spojrzeć z dumą na czasy Kazimierza Wielkiego, kiedy ten król chłopków kładł fundamenty akademii krakowskiej; jedną ręką podnosił mury i bogactwa Polski, a drugą kreślił jej prawa w Wiślicy; — na czasy Jagiellonów, w których oświata polska podbiła rozległe ziemice Litwy; — na czasy Zygmunatów, owe złote wieki literatury naszej, w których oświata Polski napeliła sławą całą Europę. Wszakże ta duma znika, wstydem rumienia się oblicza nasze i oczy spuszczaamy na ziemię, gdy spojrzymy na późniejsze wieki. Gdzież to stanęliśmy w oświecie! Jakże nas tu prześcigły inne narody i jak daleko pozostawiły za sobą! Na obszernych, urodzajnych równinach 20-milionowego ludu rozpostarta, jak całun, niewola, z całem towarzystwem barbarzyństwa ciemnoty, a wśród nich gwarzy, hula kilkakroćstotysięcy obywateli w bezrządnej i rozpasanej wolności, której żadna myśl wyższa nie miarkuje, ani powściąga żadne pojęcie wyższego celu i postępu nie rozświeca i nie kupi. Byt materyalny, dobre mienie, choćby nędzą ludu uciśnionego okupione, najzupełniejszy egoizm, bo dobro kraju wyłączający, to hasło ogólne, pod którem każdy pojedynczy, młody czy stary, rzucając w kąt nauki, oświatę, dobro publiczne i poświęcenie, dąży do mety, nie pytając, jakie drogi do tego obiera.

Szanowne imiona kilkunastu, a choćby kilkudziesięciu, nie rzucają blasku na ten obraz, zbyt

czarnemi farbami nałożony. Odpokutowaliśmy za to ciężko... Postrzeż się więc, narodzie, i ratuj nieśmiertelnego ducha twojego! A gdy przekonywasz się, że ten duch w oświecie złożony, całemi siłami, z całą usilnością rzuć się do oświaty. Pamiętaj, że światło wszelkie ciemności zwycięża i rozprasza. Jeden wąty płomyk lampy obszerne, ciemne więzienie sklepienia rozświeca, a luna zapalonego budynku na mil kilka w cieniach nocy widna. Podobnie w świecie moralnym jeden błysk rozumu chmury przesądów rozświecila, a pochodnia oświaty rozświeci ci przeszłość i przyszłość. Gdybyś z oświaty nie więcej nie zyskał, jeno cześć i poszanowanie współczesnych i potomnych, zyskałbyś już nieskończenie wiele, bo nieśmiertelność dziejową. Ale gdy pójdziesz drogą oświaty, gdy umiłujesz tę najszlachetniejszą cząstkę istoty twojej, to nie tylko dopiero poza grobem czeka cię nagroda. »Czyń, co możesz, a będzie, co może« jest wielkiem przysłowiem, gdy je w sfery ducha przeniesiesz. Duch jest potęgą nad wszystkie potęgi świata, przełamującą wszystko, co nie jest z ducha prawdy i ducha światła, ale z ducha fałszu i ducha ciemności, by też tysiącem tysięcy pocisków najeżonej. Jeżeli więc co chcesz zdobyć, zdobywaj duchem twoim. Tam, tam jedynie siła i moc nieprzeparta.

Tu więc, młodzi każdego narodu, uczuj, co to jest ojczyzna; uczuj, co jest jej duchem, jej potęgą, jej szlachetną cząstką, jej boskością, abyś, gorejąc miłością ojczyzny, wiedziała, gdzie wylać strumienie uczuć młodzieńczych, co ująć w silne twej młodości ramiona. Oświatę ujmij! Naukę uj-

mij! Przyłóż się usta do tego niezmierzonego morza umiejętności i pij, pij z niego tak spragnioną duszą, jakbyś się miała na całą wieczność napić. Bo pamiętaj, młodzi, że, gdy urośniesz w ducha, i ojczyzna w niego urośnie; żeś ty jej ozdobą, jej zaszczytem, jej szczęściem, jej wszystkim; że z ciebie podpora, z ciebie sława i potęga narodu; żeś ty, młodzi, słońcem, a światło tego słońca dnia któregoś ma kraj twój oświecić. Gdy ty się oświecać nie będziesz i promieniami geriusza kraju nie rozświecisz, zagaśnie kiedyś dzień nad nim, i noc ciemności rozpostrze się nad tym ludem i nad tą ziemią, którą ojczyzną swoją nazywasz, i o której prawisz, że ją kochasz.

A więc, kochając rozsądnie ojczyznę, świeć przemysłem, nauką, mądrością narodowi twemu. Pracą zaś niezłamaną i wytrwałą pracą, do tego się sposób. Woli, poświęcenia, rezygnacyi tu potrzeba, bo tu idealności rzeczywistość twoją poświęcasz.

Oto poświęcenie twoje, młodzi uzdolniona, abyś, czyniąc rozbrat z rozkoszami ciała, rozmiłowała się w oświecie z miłości dla tej oświaty i z miłości dla ojczyzny. Są i tam rozkosze, wyższe i trwalsze, które czuje serce prawe i umysł ukształcony. Zdolności przyrodzone, bystrość i łatwość pojęcia, rozum jasny, wyobraźnię żywą przyznają nam, Polakom, wszyscy cudzoziemcy. Tem gorzej dla nas, że zagrzebujemy te talenty, które winniśmy Bogu i ojczyźnie. Po nieszczęśliwych i smutnych kolejach, które naród nasz przeszedł, ten jeden szeroki pozostał nam gościniec oświaty

narodowej. Wybiegajmy po nim do zawodu! Śliczny to zawód, poświecający nam sławą, woniący kadzidłem ofiarnem narodów. Jakież to słodkie zwycięstwo! A cóż, gdy młódź podała sobie dłonie, zagrzewała się nawzajem do celowania w każdą gałęź nauk; gdyby naraz stanęły całe jej zastępy, uzbrojone nauką, osłonięte pancerzem w każdym zawodzie gruntownych wiadomości, przeciw którym żadna mialkość nie podola, i gdyby rzuciły w świat geniuszu pociski!

Mowa tu wszakże tylko o tak nazwanej inteligencji narodu. Stanowią ją ci wszyscy, co, troskliwsze i rozleglejsze odebrawszy po szkołach wyższych i instytucjach wychowanie, stoją na czele narodu, jako uczeni, urzędnicy, nauczyciele, duchowni, przemysłowcy, zgoła, którzy mu przewodzą w skutek wyższej swojej oświaty. Poza tą klasą leżą masy ludu, niby ogromne pokłady ziemi, z ponad których tamci, jako wzgórza, się wznoszą. Znamieniem jest każdej oświaty, że ciemności nie cierpi. Zła więc, sztuczna i złudliwa ta oświata, co się ponad cimą nieoświeconego ludu unosi i tej mgły grubej nie przebija. Dopóki w kraju niewola, dopóty nikt na granicznej jego tablicy nie położy napisu: »oświecony«. Barbarzyństwo, despotyzmy i niewola — to trójca szatańska, nieprzyjaciółka odwieczna trójcy niebieskiej: oświaty, prawa i wolności. Stąd niewola z oświatą pogodzić się nie da. Pierwszym krokiem do oświaty jest rozbitcie kajdan niewoli ludu. Lecz, krom niewoli socyalnej, jest jeszcze niewola moralna, gdy lud ten, pozornie wolny, zostawiony jest bez oświecenia. Jest to, jak-

gdybyś kogo z ciemnego więzienia wypuścił, ale mu nigdy światła dziennego oglądać nie dał. Nie czuje więc zmiany losu swego. Nareszcie lepiej mu było w więzieniu, gdzie mu jeść i pić starczano, niżeli w tem omacku, gdzie sobie sam pożywienia ma szukać.

Szkołki wiejskie i dobrzy nauczyciele wiejscy są najżywotniejszą potrzebą ludu, i nie kocha kraju ani się przejął duchem ojczyzny ten, co, będąc dzieńdziem włości, o oświecenie ludu swego się nie troszczy.

Święty obowiązek starania się o oświatę ludu ojczyzna na tych, co ją milują, wkłada. Jeżeli naród liczy 20 milionów, przeszło $\frac{19}{20}$ przypada na samych włościan i proletaryuszów. W tej masie więc 19 razy więcej musi być zasobu duchowego, niżeli w $\frac{1}{20}$ oświeconych, co się o wychowanie dzieci swoich starają. Nie giną więc te mnogie zasoby ducha, te talenty, zdolności i geniusze, które natura porównie między ludzi, bez względu na stan, rozdziela? Nie marnieją bez żadnego pożytku dla narodu, dlatego że zaniedbane i najmniejsze wychowanie nie dało im pory pojawienia i rozwinięcia się? Nie czyni się więc krzywda narodowi i ludzkości, że z 20 części duchowych narodowych potęg jedna zaledwie wydobyta, a 19 części zostaje bez pożytku, od pokolenia do pokolenia, przez długie wieki, przywalone wielkimi warstwami przesądu, ciemnoty, nędzy i ucisku?

Z całej oświaty narodu wyłania się literatura narodowa, złożona w poezyi i prozie, nie będąca czysto naukowej treści. Umiejętność wogóle jest

kosmopolityczną¹⁾ i narodowych pierwiastków w sobie nie mieści. Za to, co jest odbiciem się myśli narodowej i uczucia narodowego, narodowe też stanowi piśmiennictwo. W niem to, jak w zwierciadle, przegląda się naród, w niem zostawił rzetelny wizerunek całego żywota swojego. Jak człowiek w piśmie wylewa własnego ducha swego, i tem bardziej je nim piętauje, im duch tem jest potężniejszy, taki naród odlał w dziełach pisanych wszystkie swoje myśli i uczucia. Historia literatury jest biografią²⁾ narodu. Tu on nam się przedstawia cały i żywy, tak, jak był, jak żył. Chcesz więc poznać i pokochać naród twój, rozpatrz się w jego literaturze narodowej; poznaj długi szereg jego pisarzy i ich dzieł i dopiero na ich tle odlej sobie rzetelny wizerunek ducha. Kto tego ducha odgadł i pojął, kto myślą wyrósł na myślach pisarzy narodowych wszystkich poprzednich wieków, a sercem wyrósł na narodowości, czerpanej w obyczajach i uczuciach minionych i żyjących; — ten ma prawo powiedzieć: jestem kością z kości przodków moich i jestem duchem z ducha narodu mego. Kto zaś tego powiedzieć nie może, cóż wyrzeknie? Oto jestem duchem z obcego ducha, a kością z kości przodków moich, przydatną, by obcy rzucał nią, jak się rzucają kostki na losy.

K. Libelt.

¹⁾ T. j. międzynarodową.

²⁾ Biografia — życiorys.

28. „Cicho!.. sza!.. nie wolno!..“

Dobrze, miło, przytulnie bywało w »razurze« pana Franciszka na Pivnej...

Już tej razury niema. Ubyło w Warszawie w ostatnich latach wiele miejsc dobrych i miłych. Wyrosły na ich miejscu nowe — równie może dobre i miłe... dla innych.

Razura pana Franciszka nie wyglądała na razurę. Gdyby nie blachy mosiężne nad drzwiami, niktby nie domyślił się, że tu gołą, strzygą, krew puszczają, wyrrywają zęby, przystawiają bańki i pijawki. Pomyślałby raczej, że to ptaszarnia, gabinet zoologiczny lub muzeum osobliwości.

Przed dużem, szerokiem, »weneckiem« oknem od ulicy nigdy nie brakowało gapiów. Przyglądali się słojom z pijawkami i żabkami zielonemi, małym żółwiom, pełzającym po mchu zwilżonym, jaszczurkom, zamkniętym w oszklonych pudełkach, białym myszom, owadom osobliwym... Cieszyła ich wiewiórka, obracająca wiatraczek; bawił tekturowy kapucyn, chowający się przed słotą do malej, również tekturowej budki.

W lecie drzwi stały zawsze otworem.

Nikt z idących od strony Rynku, Zapiecka, Gołębiej nie minął razury, żeby nie wstąpić, choćby na chwilę, choćby dla powiedzenia gospodarzowi »Dzień dobry, panie Franciszku!... »Jak się masz, Franek!...« »Dobrze dziś sąsiad wygląda...« »Jakże tam wasze zdrowie?...

Pan Franciszek, nie przestając ostrzyć brzytwy, rozrabiać mydła lub wygalać czyjegos podbródka, odpowiadał wesoło:

— Dobry dzień panu radcy!...

— Daj pyska, chłopie!...

— Aha! dobrze wyglądam... lufcikiem!...

— Moje zdrowie: dziś nad rowem, jutro w rowie!...

Witaniom towarzyszyły ogłuszające wrzaski ptastwa...

Wnętrze wielkiej, niskiej izby, o sklepionym, szerokołukowym stropie, było zawieszone klatkami.

Kanarki, szczygły, kosy, trznadłe przekrzykiwały się wzajem. Jęczała też przy samej ziemi para gołębi osobliwego kształtu i upierzenia, nieustannie komuś sprzedawana, zamieniana i zastępowana inną.

Ale pierwsze miejsce w tej ptaszarni zajmował — szpak. Był to stary, duży, częściowo już wypierzony ptak, »pamiętający ostatnie powstanie«...

Pan Franciszek mawiał o nim:

— To mój kamrat. Razemeśmy się chowali, razem wojowali, razem cieszyli — razem teraz biedujemy...

Dziwne imię nosił stary szpak. Nazywał się »Rząd«.

Ludzie obcy, usłyszawszy tę nazwę, kręcili głowami, krzywili usta, czmychali...

— Co za rząd?... jaki rząd?... czyj rząd?...

Pan Franciszek odprowadzał ich na stronę — do samego ucha mówił cicho, lecz dobitnie:

— »Na-ro-do-wy!«

Porozumiewali się oczyma — uśmiechali do pana Franciszka i jego ptaka.

Szpak był zawsze ponury, nastroszony — razem: smutny i zły. Tylko swemu panu pozwalał zbliżać się do klatki; innych dziobał, skrzeczał na nich, jak baba gderliwa.

Śmiertelnie bał się mundurów. Zaledwie wszedł do razury jaki pan mundurowy, z błyszczącymi guzami, »Rząd« zeskakiwał natychmiast z prętka, wciskał się w najciaśniejszy kącik, dziób chował pod skrzydło, nastraszał pióra i drżał. Odzyskiwał rzeźkość dopiero po wyjściu strojnego pana.

Niegdyś podobno ten szpak był bardzo gadatliwy.

— Dziób mu się nie zamykał od rana do wieczora! — upewniał pan Franciszek.

»Rząd« otrzymywał od swego pana nieustanne pochwały.

Inne szpaki — opowiadał felczer — nie rozumieją, co gadają, ale mój rozumie. Rozumie nie tylko, co sam gada, ale i co do niego mówią. Niech febry dostanę, jeśli kłamię!

W piwiarni »Pod Gwiazdą« przyjaciel pana Franciszka, zakrystyan od Augustyanów, usłyszał raz od niego następujące zwierzenie.

— Kiedy mię wówczas... wiesz kiedy!... pochwycili i wywieźli — wyprosiłem sobie, żeby mi dali do kompanii mego »Rzęda«... Sumienie tknęło ich »starszego« — pozwolił. No, i pojechał ze mną mój »Szpakowski« na kubitce — daleko, hej! Mrozy były siarczyste; nudy siarczystsze jeszcze... Ani gęby do kogo otworzyć!... Więc myślę sobie: uda się.

nie uda... spróbuję. Toć szpaki gadają—więc chyba i do nich można... Spróbowałem, no — i udało się! Z początku szło trochę ciężko. — »Szpaczyński« ślepki wytrzeszczał, łebkiem kręcił, nie pojmował... Ale gdym mu wytłómaczył raz i drugi, o co idzie — zrozumiał. Odtąd już mi się tak nie cknęło — miałem przed kim serce otworzyć, wypowiadać się, wywnętrzyć... »Szpaś« słuchał mnie z uwagą, przytakiwał, dziwił się — czasem skrzeknął wesoło, jakby się roześmiał, czasem wrzasnął i pióra nastroszył, jakby chciał powiedzieć: »A niechże ich kule biją!...« Powoli, powoli nauczył się odpowiadać... Odpowiadał krótko, ale zawsze składnie, z sensem... No, i miałem odtąd uciechę i pociechę... Po całych długich wieczorach, nie, tylko rum z czajem, albo i bez czaju — ze szpasiem rozmowa... Za oknem śnieg, wiatr, wilki wyją, dzikie koty miauczą i parskają — dokoła step, pustkowia, biała, okiem nieprzejrzana wydma — a my sobie, dwie sieroty, w ciepłej izbie, przed kominem, gadamy a gadamy... Gadaliśmy tak o wszystkim: o Warszawie, o ojczyźnie, o powstańcach, o więźniach. Gadaliśmy, jak przyjaciel z przyjacielem — ot jak ja z tobą w tej chwili... Może mi nie wierzysz? co?... Niech febrę dostanę!...

Zakrystyan raz po raz nos wycierał i milczał. Było to już po piątym czy szóstym kufelku — przytem nie wypadło przecie sąsiada na febrę narażać...

Cokolwiekby, czasy, gdy »Rząd« bywał rozmowny, bezpowrotnie minęły. Już on teraz ani słuchał, co do niego mówią, ani tem bardziej od-

powiadał. Z gaduły stał się mrukiem. Po całych dniach siadywał na prątku, w zupełnej nieruchomości, osowiały i zły. Czynił wrażenie wypchanego...

Co prawda, i w panu Franciszku wiele się odmieniło. Ożeniwszy się z wdówką pienięzną, otworzywszy własny »zakład«, stawszy się małżonkiem, ojcem rodziny i »pryncypałem« — musiał z konieczności spoważnieć, uspokoić się, wystatecznić. Wyłysiał przytem i potłuścił — co zawsze skutecznie poskramia młodzieńcze porywy.

»Rząd«, wychowany w gorączkowej atmosferze powstania, odznaczał się wielką swobodą i niepowściągliwością języka. Bez uwagi na nic i na nikogo, wygadywał, naprzykład: »Na Starem Mieście, przy wodotrysku, ktoś tam, dostał... po czemś tam«, albo: »Hej, kto Polak, na bagnety!...« albo: »Boże daj, Boże daj, by nam wrócił Trzeci Maj!...« i inne, tym podobne niecenzuralności o Kościuszcze, Kilińskim, Sowińskim, Langiewicz i wielu innych,

A tu »interes« świetnie się rozwija — na Piwną schodzą się coraz gęściej poważni, tłusci panowie, których sama zewnętrznosc okazuje, że — figury ważne: z akcyzy, z cyrkułu, z ratusza... Niechże przy którym z tych gości szpak rozpapie się po swojemu!...

Pan Franciszek zbyt kochał towarzysza swych młodzieńczych przygód, żeby mu łebka nadkreścić — nieraz jednak w myśli niedobrze mu życzył. Ile razy też »Rząd« odezwał się z czemś niewłaściwym, on mu natychmiast zarzucał chustkę na klatkę, dobitnie powtarzając:

— Cicho!... sza!... nie wolno!...

Ptak milknął i, dopóki klatki nie odsłonięto, siedział, jak trusia. Tracił też stopniowo humor i głos, odzywał się coraz rzadziej — wreszcie prawie zupełnie odzywać się przestał.

Ale raz w majową niedzielę, gdy słońce, od murów augustyańskich odstrzelone, do razury ukossem wpadło, napieniając ją pyłem złotym, iskierkami wirujących milionami, wiosną, weselem, nadzieją — stała się rzecz niesłychana...

Ptak wskoczył rzeźko na najwyższy prątek, skrzydłami zatrzepotał i na cały głos wykrzyknął:

— »Jeszcze Polska nie!... nie!... nie!...«

W razurze byli sami swoi: klatki zakrywać nie potrzebowano. Zakrystyan, rzeźnik z przeciwnika, profesor-emeryt, młody malarz, stary aktor zwrócili się do ptaka z błyszczącymi radością i zapamiętaniem oczyma.

Czekano, dech wstrzymując, na ciąg dalszy.

Ale ptak nie chciał kończyć. Nastroszył się nagle, osowiał...

— Krrrrr!.. — fałszywie zaskrzeczał i urwał.

Przez kilka chwil kręcił łebkiem czarnym w prawo i w lewo, podejrzliwe spojrzenia na wszystkich rzucał — wreszcie zawołał dobitnie, głosem strofującym i złym:

— »Cicho!.. sza!.. nie wolno!...«

Zeskoczył z prętka, w kąt się wcisnął — już go tego dnia nie słyszano.

Pan Franciszek śmiał się i płakał; inni śmiali się i mądrość ptaka podziwiali. On sam i na śmiech, i na łzy, i na podziw był zupełnie obojętny.

Minęło kilka dni, minął tydzień jeden i drugi; wiosna coraz częściej i coraz złościej wewnątrz razury rozsloneczniała — szpak wszakże ze swego odrętwienia nie wychodził.

Próbowano go rozruszać, dni lepszych wspomnienia w nim obudzić. Ten i ów z przyjaciół pana Franciszka podchodził niekiedy do klatki — nad samym uchem sennego ptaka wykrzykiwał:

— Jeszcze Polska nie zginęła!...

Budził się »Rząd«, łebkiem w prawo i lewo kręcił, rozmyślał się, namyslał — wreszcie rzucał w odpowiedzi:

— Cicho!.. sza!.. nie wolno!..

I znów zasypiał.

Powtarzały się te próby kilkakrotnie, zawsze z tym samym wynikiem.

Ale potem już i to działać przestało. Można było przy ptaku wywoływać najgorętsze hasła, najnamiętniejsze okrzyki — on nawet powiek zmrużonych nie odemknął.

Czałem tylko, gdy Franciszek, mając chwilę wolną, stanął przy klatce i dłużej do swego przyjaciela przemawiał, budziło się w »Rządzie« trochę życia.

Pan Franciszek mówił:

— Pamiętasz, szpasiu, jakem to ja ciebie w te mrozy piekielne po całych dniach przy sobie trzymał i własną piersią ogrzewał, broniąc od zmarnięcia?

...A jak to ciebie ktoś za czarownika ogłosił, i ludzie, w futra zaszyci, przyszli, żeby pałkami

»czorta« z ciebie wypędzić, a ja musiałem kilku postrzelić, bo inaczej życie byłbyś postradał?...

...A jak to Nadieżda Pantielejewna ciebie wycałowywała, prosząc o namawianie mnie, żebym się z nią ożenił?...

... A jak to raz, bez mojej wiedzy, do puszczy pofrunąłeś, i ja już po tobie rozpacziałem, a tyś potem wrócił, wiodąc za sobą wielką chmurę ptastwa, które mi cały domek obsiadło i do izby za tobą wlatywało?...

...Pamiętasz?...

...Obudź-że się więc, mój szpasiu, i zagadaj do swego pana i przyjaciela, jak to umiesz, jak dawniej gadałeś: po naszymu!

Ptāk szyję wyciągał i mądrymi ślepkami wpatrywał się w pana Franciszka, jakby wszystko rozumiał. Nagle otrząsnął się, dziób szeroko otworzył... Ale z dzioba wybiegły tylko słowa skrzekliwie:

— »Nie wolno!.. nie wolno!..«

Ślepki przymknął — zasnął.

Odtąd już tylko drzemał a drzemał, nic prawie nie jedząc i nie pijąc.

Jednego dnia, o samem świtaniu, panu Franciszkowi, śpijącemu w razurze, wydało się, że go ktoś woła. Usiadł na pościeli, oczy przetrął, słuch wytężył...

Z dużej klatki, zajmowanej przez »Rząd«, dobywało się głośnie, przeraźliwe, nieprzerwane skrzeczenie. Można było myśleć, że ptak wzywa pomocy.

Za chwilę pan Franciszek stał już przy klatce.

Szpak był, jak pijany: z prątką na prątek przeskakiwał, zataczał się, drżał... Mimo to pana swego poznał, a poznawszy, natychmiast skrzeczeć przestał. Przez szparę między szczebelkami główkę wytknął, pochwycił dziobkiem jego palec i lekko szczypał...

Dawno już pan Franciszek nie otrzymywał od swego przyjaciela tej pieszczoty.

Napełniło go to otuchą.

— Ej, szpasiu! — wesoło zawołał. — Jeszcze, jeszcze Polska nie zginęła!...

Szpak puścił jego rękę, wszystkie pióra najeżył, podniósł się wysoko na łapkach i stał tak przez chwilę w zupełnej nieruchomości.

Nagle krzyknął głosem przerażenia pełnym:

— Nie wolno!..«

I na spód klatki runął — nieżywy.

...Tego dnia razura była do południa zamknięta. Pan Franciszek, nikogo do siebie nie puszczając, oplakiwał swojego przyjaciela i swoją młodość — górną...

Wiktor Gomulicki.

29. Anegdota petersburska Telimeny.

Znam ja dobrze Rosyję. Państwo nie wierzyli, Gdy im nieraz mówiłam, jak tam z wielu względów Godna pochwały czujność i srogość urzędów.

Byłam ja w Petersburgu, nie raz, nie dwa razy!
Mile wspomnienia! wdzięczne przeszłości obrazy!
Co za miasto! Nikt z panów nie był w Petersburku?
Chcecie może plan widzieć? Mam plan miasta
[w biurku...

Latem świat petersburski zwykł mieszkać na daczach,
To jest w pałacach wiejskich (dacza wioskę znaczy).
Mieszkałam w pałacyku, tuż nad Newą rzeką,
Niezbyt blisko od miasta i niezbyt daleko,
Na niewielkim, umyślnie sypanym pagórku.
Ach, co to był za domek! Plan mam dotąd w biurku.
Otóż, na nie nieszczęście, najął dom w sąsiedztwie
Jakiś mały czynownik, siedzący na śledztwie;
Trzymał kilkoro chartów: co to za męczarnie,
Gdy blisko mieszka mały czynownik i psiarnie!
Ileż z książką wyszłam sobie do ogrodu
Użyć księżycy blasku, wieczornego chłodu,
Zaraz i pies przyleciał i kręcił ogonem
I strzygł uszami, właśnie jakby był szalonym.
Nieraz się należałam. Serce mi wróżyło
Z tych psów jakieś nieszczęście: tak się też zdarzyło,
Bo, gdym szła do ogrodu pewnego poranka,
Chart u nóg mych zadławił mojego kochanka
Bonończyka! Ach, była to rozkoszna psina!
Miałam ją w podarunku od księcia Sukina
Na pamiątkę; rozumna, żywa, jak wiewiórka,
Mam jej portrecik... tylko nie chcę iść do biurka...
Widząc ją zadławioną, z wielkiej alteracji
Dostałam mdłości, spazmów, serca palpitacji.
Możeby gorzej jeszcze z moim zdrowiem było;
Szczęściem, nadjechał właśnie z wizytą Kiriło
Gawrylicz Kozodusin, wielki łowczy Dworu.

Pyta się o przyczynę tak złego humoru.
Każe wnet urzędnika przyciągnąć za uszy;
Staje pobladły, drżący i prawie bez duszy.
— Jak śmiesz, krzyknął Kiriło piorunowym głosem,
Szczyć wiosną łanią kotną tuż pod carskim nosem? —
Ostłupiały czynownik darmo się zaklinał,
Że polowania dotąd jeszcze nie zaczynał,
Że z wielkiego łowczego wielkim pozwoleniem,
Zwierz uszczuty zda mu się być psem, nie jeleniem.
— Jaki? krzyknął Kiriło, ty śmiałyś, hultaju,
Znać się lepiej na łowach i zwierząt rodzaju,
Niżli ja, Kozodusin, carski jegermajster! —
Niechajże nas rozsądzi zaraz policmajster! —
Wolają policmajstra, każą spisać śledztwo.
— Ja, rzecze Kozodusin, wydaję świadectwo,
Że to łania; on plecie, że to pies domowy:
Rozsądź nas, kto zna lepiej zwierzynę i łowy! —
Policmajster powinność służby swej rozumiał,
Bardzo się nad zuchwałstwem czynownika zdumiał
I, odwiódłszy na stronę, po bratersku radził,
By przyznał się do winy i tem grzech swój zgładził.
Łowczy udobruchany przyrzekł, że się wstawi
Do cesarza i wyrok nieco ułaskawi.
Skończyło się, że charty poszły na powrozy,
A czynownik na cztery tygodnie do kozy.
Zabawiła nas cały wieczór ta pustota.
Zrobiła się nazajutrz z tego anegdota,
Że w sądy o mym piesku wielki łowczy wdał się,
I nawet wiem z pewnością, że sam cesarz śmiał się.

A. Mickiewicz.

30. Wigilia na Sybirze.

Porankiewicz chrząknął raz jeden i drugi, chrząknął wreszcie i trzeci i, przytrzymując jedną ręką drzwi, drugą zaś wyrażając nam wszystkim atencję głęboką, wyrzekł uroczyście:

— Kolacya gotowa, proszę do stołu!

Widok, który nam się po wejściu okazał, był tak niespodziany, że, wszedłszy, stanęliśmy, jak wryci. Przy ścianie wewnętrznej pokoju stał stół niemały, przykryciem białem, jak należy, nakryty, przykryciem, przez którego dziury wyglądało siano, na stole leżące. Stół był oświetlony dwiema świecami, w lichtarze blaszane dobrze pogięte wetkniętemi; na jednym końcu stołu umieszczona została wielka miska z przyjemnie i wonnie dymiącą kupą ładnie podrumienionych »oład«¹⁾, na drugim końcu znajdowała się miska z »pępkami«, octem i pieprzem przyprawionymi, około miski leżał chleb i stał gąsiorek, naczyniem drobniejszem a różnorodnem otoczony.

Na samym zaś środku stołu, na jedynym, niegdyś białym, a dziś żółkłym i poszczerbionym talerzu leżały okruszyny z przyslanego mi opłatka.

Ani przykrycia białego, ani siana, ani opłatek nikt się nie spodziewał; więc też wrażenie, wywołane tylu niespodzianymi przyborami, było potężne.

¹⁾ Oładie coś w rodzaju naszych racuszków, tylko z prażonego masła.

Porankiewicz, wysoce zadowolony z efektu¹⁾, wysunął się teraz naprzód i, zbliżywszy do stołu, wziął ostrożnie talerz z opłatkiem i, prostując się, aż mu w krzyżach zatrzeszczało, chrząknął, usta otworzył i, gdy wszyscy z najwyższą ciekawością oczekiwali całej oracyi, wyrzekł drżącym głosem słów czworo:

— Panowie! Oplatek wprost z Warszawy...

I Złotousty nie przemówiłby silniej.

Już bowiem niecierpliwi zbliżali się do stołu, już ponętny zapach »oład«¹⁾ górować zaczynał nad powagą chwili niedawnej, ale gdy słów tych czworo rozległo się w pokoju, cisza zapanowała grobowa, jakoś mimowoli wyciągnęli się wszyscy w szereg jeden, i tylko głów pięcioro zwróciło się ku talerzowi.

Porankiewicz wyprostował się znowu.

— Hm, hm! Panowie! Świętość taka...

— Poświęcony? — radosnym podziwem przerwał lekliwie Bartłomiej.

— Spodziewam się! innegoby nie przysłali — z głębokiem przeświadczeniem odparł Porankiewicz. — Ale — ciągnął dalej — hm, to jest chciałem powiedzieć, gdy jest świętość taka, więc się podzielimy?

— Podzielimy! a juści podzielimy! — ust pięcioro wyrzekło, jakby jedne usta.

Porankiewicz zrobił nowe usiłowanie, aby stanąć prościej.

— Gdy zaś, to jest, chciałem powiedzieć, nie

¹⁾ efekt — wrażenie.

ubliżając kochanemu panu Babińskiemu — i skłonił się mu uniżenie — wszyscyśmy w tych oto pałacach niby gospodarze, więc spodziewam się, to jest myślę, najlepiej będzie, jeżeli pan, jako gość, nas wszystkich obejdzie...

I ponsowy cały, spocony, jak po pracy największej, oddał mi talerz z ukłonem.

Wziąłem talerz i zbliżyłem się do Babińskiego.

I teraz dopiero, gdy mi samemu mówić wypadło, zrozumiałem, jakiego wysiłku potrzebował mój poprzednik dla swych oracyi króciutkich; ręce moje trzęsły się, usta zamknęły zupełnie. Babiński zbłądł, aż zbiełał, a gdy podszedł do niego bliżej, surowa twarz jego zjawiła się przede mną, nieruchoma, jak z marmuru wykuta, i, gdyby nie to, że powieki zalatały mu zawzięcie, myślałbym, że to trup, nie zaś żywy człowiek, stoi przede mną. Zbierał długo okruszyny, ale te wypadały mu ustawicznie, i wątpię, czy wziął choćby jedną...

Z innymi było też samo.

Porankiewicz, jako człowiek miększego serca, pierwszy zaszlochał, jak dziecko, i, choć Bartłomiej, stojący za nim, krzepił go szturchaniem i ujmował prośbami rzewnymi: »Cichoj, bracie, cichoj, bo ryknę, jak baran!« nic to jednak nie pomagało. Więc też, kiedym podszedł do Bartłomieja, siły już go opadły: nisko schylił swą głowę osiwiałą i, wyciągając rękę po opłatek, zaczął głośno, powoli:

— W imię Ojca... i Syna... i Świentygo... i Świentygo — powtórzył ciszej... i... ryknął głosem wielkim...

A. Szymański.

31. W kopalni syberyjskiej.

W tej chwili Tatar przeciągnął się, ziewnął i, jakby teraz dopiero zbudzony, przecierać zaczął skośne ślepie.

Bakiewicz wcisnął mu w rękę swój kapciuch z tytuniem. Tatar zabelkotał, głowę przechylił i, znów zmrużywszy ślepie, chrapnął, jakby na komendę.

Poniesliśmy kartki na pryczę Chodykiewicza. Zachowały jeszcze ciepło tej młodej piersi, która je do Nerczyńska z rodzinnego kraju przyniosła. Klejone były po kilka, kilkanaście, różnem pismem bardzo ściśle i bardzo wyraźnie pisane; na każdej stała liczba, aleśmy w pierwszej chwili całości nie składali z tego. Poszukałem pierwszej.

Stał na niej napis:

PAN TADEUSZ

czyli

OSTATNI ZAJAZD NA LITWIE.

Historya szlachecka.

Odwróciłem kartkę jedną, drugą i puściłem po nich oczy.

Mieniło się to, jak obraz, grało, jak muzyka...

— Janie! — rzekłem, wstrząsając ręką Chodykiewicza. — Janie! Mickiewicza mamy! Pieśni jego! Mickiewicza! słyszysz?

Nie odrzekł. Nie spojrział nawet. Zmęczone jego żrenice uparcie tkwiły w mdłym płomyku lampy.

Tymczasem Bakiewicz zaświecił latarką, stojącą u nóg Tatara, i przyniósł ją bliżej. Dowiat, Urbanowicz, stary Giedrojć, Franciszek Kotowski, Sawicki, Muchaczewski ścisnęli się kupką.

Podniósł się z pryczy i Tytus Bobrowski, który pod Szawłami z kontuzyi był ogłuchł, i, nastawiwszy lewe ucho, rękę nad niem w trąbkę zwinął.

Chłopi Działyńskiego także podeszli bliżej. Reszta zachowała się obojętnie.

Grabowicz świstał przez zęby, Kleczkowski, nachmurzony, bił głownie ożogiem, warcząc zgryźliwie:

— Pieśni... piosenki... mżonki... nadzieje... zaguba...

— Nad trupem śpiewają! — przemówił ktoś z kąta.

Wtem wicher zaniósł się ogromnym jękiem, zawył, zahuczał i poniósł popiołem z komina.

— *Requiescat in pace!*¹⁾ — zaintonował zjadliwie Grabowicz.

— Czytać tam! Czytać! — nagłono w naszej gromadce. Ale mnie ręce latały tak, że papier szeleścił, jak na mocnym wietrze. Tyle lat, tyle lat oczy moje nie widziały żadnej polskiej książki!... Przerzuciałem kartki, kładąc po nich wzrokiem. Pilno mi było wszystko naraz objąć, posiąść, ogarnąć.

— Głośno! Głośno czytać! — zawołał stary Gedrojć.

¹⁾ Niech spoczywa w spokoju (łac.).

— Głośniej! — krzyczał za nim Tytus Bobrowski, nastawiając ucho.

Zaczęłem tedy... Boże, mi odpuść, jakie to było czytanie! Głos mi się łamał, rwał, usta się trzęsły, w piersiach wzbierało łkanie.

Czytałem przecież.

— Litwo! Ojczyzno moja! Ty jesteś, jak zdrowie. Ile cię trzeba cenić, ten tylko się dowie, kto cię stracił...

Nie dokończyłem jeszcze pierwszego wiersza, kiedy Chodykiewicz poruszył się, targnął niespokojnie. To słowo »Ojczyzna«, zasłyszane nagle z ust cudzych, szarpnęło mózg jego, pogrążył w mrokach melancholii. Oderwał spojrzenie od płomyka lampki i błędził niem po nas, po izbie.

Czytałem dalej:

— Panno święta, co Jasnej bronisz Częstochowy i w Ostrej świecisz Bramie! Ty, co gród zamkowy nowogrodzki ochraniasz z jego wiernym ludem...

Zrobił się ruch. Miszura, Kurek i Sawicki zaczęli się żegnać, wdychając głośno. Grabowicz przestał świstać. Bułdyskuł się podniósł i ogarniał na sobie rozrzuconą odzież...

Kiedy wreszcie przyszło do wiersza:

— Tak nas powrócisz cudem na Ojczyzny łono...

Chodykiewicz nagle na pryczy siadł i rzekł z niezwykłą siłą:

— Gdzie?... Gdzie?... Na jakie łono?... Kto mówi: Ojczyzna? Niema już ojczyzny!

— Cicho tam! — zawołał stary Gedrojć, stukając drewnianą nogą, którą, okutą w kajdany,

zamiast urwanej z działu pod Majdankiem, do Nerczyńska przyniósł.

— Cicho tam! Nie czas teraz na takie horoskopy ¹⁾, mospanie!

Ale Bakiewicz skoczył, jak ryś, do Chodykiewicza, trzęsąc przed nim rękoma, pełnemi zapisanych kartek, w które się był na uboczn, jak nurek, pograżył.

— Kto mówi: Ojczyzna? — wrzasnął mu w samo ucho. — Ja mówię! Ja mówię! Usta mam zapechane ołowiem, głos zdławiony ciemnicą, ale mówię, wołam, krzyczę: Ojczyzna! Ojczyzna! Ojczyzna! I bodaj mi język przyschnął do podniebienia, jak się kłął Jeremiasz, jeśli kiedy wołać i mówić przestanę! Dość tego szaleństwa! Tej strupieszności! Tego samobójstwa! Precz! Precz z tem wszystkim, co zabija duszę, co podli ciało! Słyszysz mnie, Chodykiewicz?... Precz z tem, co zabija ducha.

Chwycił go za ramię i trząsł nim z wielką siłą. Chodykiewicz patrzył mu w twarz szeroko otwartemi oczyma...

— Mówisz: ojczyzny niema. A to co, jeśli nie ojczyzna? — wołał Bakiewicz, bijąc wierzchem prawej ręki po zebranych w lewą kartkach. — Co, jeśli nie głos jej, nie duch, nie postać cała?

I, schyliwszy się, przez moje ramię czytać zaczął:

...Tymczasem przenoś moją duszę utęsknioną do tych pagórków leśnych, do tych łąk zielonych, szeroko nad błękitnym Niemnem rozciągnionych,

¹⁾ Przepowiednie.

do tych pól, malowanych zbożem rozmaitem, wylaczanych przeniłą, posrebrzanych żytem, gdzie bursztynowy świerczop ¹⁾, gryka, jak śnieg, biała, gdzie panińskim rumieńcem dzięcielina ²⁾ pała, a wszystko przepasane, jakby wstęgą, miedzą zieloną, na niej z rzadka ciche grusze siedzą.

— Jezu! — zakrzyknął nagle Miszura. — Jezu miłosierny! A toć to rychtyk! jak u nas w Gajnem albo i w Zawodziu!

Wypuścił wiertkę ³⁾ z ręki i, wytrzeszczyszy oczy, silnie mrugać niemi zaczął, wpatrzony w Bakiewicza, jak w tęczę.

Ale Giedrojc znów stukał swą drewnianą nogą.

— Czytać! Czytać tam, mospanowie!

A za nim Tytus Bobrowski, jak echo:

— Głośniej! Głośniej!

Buldyskuł przystąpił bliżej, zawstydylenie miał w oczach i w schylonem czole.

Tymczasem Bakiewicz przewracał kartki, czytając, jak mu która pod oko podpadła:

...Słynie szeroko w Litwie Dobrzyński zaścianek, męstwem swoich szlachciców, pięknnością szlachcianek. Niegdyś możny i ludny, bo, gdy król Jan Trzeci obwołał pospolite ruszenie przez wici, chorąży województwa z samego Dobrzyńska przywiódł mu sześćset zbrojnych szlachty. Dziś rodzina, zmniejszona, zubożała. Dawniej w pańskich dworach lub w wojsku, na zajazdach, w sejmikowych sporach zwykli byli Dobrzyńscy żyć o ła-

¹⁾ Świerczop — roślina łopucha czyli ognicha (gatunek rzodkwi. ²⁾ Konieczyna. ³⁾ Narzędzie do wiercenia skał w kopalni.

twym chlebie. Teraz zmuszeni sami pracować na siebie, jako zaciężne chłopstwo! Tylko, że siermięgi nie noszą, lecz kapoty białe, w czarne pęgi. A w niedzielę kontusze...

Tu usłyszałem głośnie sapanie. To Wysocki, wprost mnie na pryczy siedzący, dmuchał w zjeżone rude wąsy. Olbrzymi szlachcic pochylił kark potężny, ręce, w kułak zaciśnięte, na kolanach trzymał, pot kroplisty wystąpił mu na czoło. Sapanie jego zagłuszało niemal Bakiewicza, małe oczki mrugały coraz szybciej, aż, gdy rzecz przyszła o Macieju, o domostwie jego, o herbach szlacheckich, które dawno już nade drzwiami zasklepiły jaskółki, ryknął Wysocki wielkim głosem, jako żubr raniony, i, zakrywszy twarz rękoma, rozplęnął się w rześnistym płaczu.

Dowiat na to raz i drugi syknął, ramionami rzucił, że to urazy dawnej za owo biczowanie zbyć nie mógł z serca; gdy jednak Wysocki szlochać nie przestawał, ale własnym roztkliwionym głosem, w coraz żałośniejszy dyszkant wpadać zaczął, zmieknął raptem starzec i, oburącz olbrzymią głowę szlachcica do wyschłych piersi przytuliwszy:

— Pax! Pax!¹⁾ — powtarzał z cicha, kołysząc się z nią razem, jak nianka z dziecieniem. I przyciskał zwiedle, blade wargi do szorstkiej sierści rudego olbrzymia, jaką mu nożyce aresttanckie pozostawiły na ogromnej głowie, i przejrzystą, delikatną ręką ocierał mu łzy bujne z wielkiej, mięsistej twarzy.

Zrobiło się zamieszanie.

¹⁾ Spokoju! spokoju! (łac.).

Jedni cykali niecierpliwie, inni zaczęli sami kartki rozchwytywać i czytać zosobna. Gdy wtem Giedroń silniej, niż poprzednio, zastukał swą drewnianą kulą.

— A ciszej tam, mospanowie! Na takie forum niema zgody! Czytać, to czytać, a słuchać, to słuchać. A ciszej tam, mówię!

— Głośnie! Głośnie! — dodawał od siebie Bobrowski.

Bakiewicz odchrząknął i, sięgnąwszy po nową kartkę, tak zaczął:

O roku ów! Kto ciebie widział w naszym kraju?
Ciebie lud dotąd zowie rokiem urodzaju.
A żołnierz rokiem wojny! Dotąd lubią starzy
O tobie bając; dotąd pieśń o tobie marzy!
Zdawna byłeś niebieskim oznajmiony cudem
I poprzedzony głuchą wieścią między ludem...
Ogarnęło Litwinów serca z wiosny słońcem
Jakieś dziwne przeczucie, jak przed świata końcem,
Jakieś oczekiwanie tęskne i radosne...

Czytał, a w miarę, jak czytał, uciszało się w izbie. Zrazu szeleściły kartki, idące z rąk do rąk, a w powietrzu uderzały potężne, echem oddalającej się burzy podobne westchnienia Wysockiego; potem stawało się coraz ciszej, coraz ciszej, aż wreszcie całą izbę zaległo szerokie milczenie.

W milczeniu tem rozbrzmiewał głos Bakiewicza:

O wiosno! kto cię widział wtenczas w naszym kraju
Pamiętna wiosno wojny, wiosno urodzaju...
O wiosno, kto cię widział, jak byłaś kwitnąca,
Obfita we zdarzenia, nadzieją brzemienna...

Ja ciebie dotąd widzę, piękna maro senna!
Urodzony w niewoli, okuty w powiciu,
Ja tylko jedną taką wiosnę miałem w życiu!

Urwał i sięgał po inną kartkę, gdy wtem Kleczkowski, upuściwszy z brzękiem kosztur, którym grzebał w kominie, podparł ręką głowę i zwrócił się ku nam, westchnąwszy głośno. Spojrzałem po izbie: wszyscy skupili się w naszym kąciu.

Grabowicz, bardzo blady, obejmował ramieniem Kalenieckiego, który, jak lunatyk, na nogach się chwiał, ale spojrzenie miał jasne, przytomne; Bułdyskuł, plecami o mur wsparty, ręce splótł na piersiach i przenikliwie w twarz Bakiewiczowi patrzył, goniąc gdzieś myślą po stepach; nawet Holzschejn wyszedł ze swego kąta i, jak urzeczony, za innymi stał i słuchał.

Latarka piszczała i śwędziła nieznośnie, Tatar chrapał na coraz to inne tony, ale nikt tego nie spostrzegł jakoś. Zdawało się, że, gdyby teraz i sam Afanasjew do izby wszedł, niktyby się z miejsca nie ruszył, niktyby go nie zobaczył nawet.

Dopiero kiedy Bakiewicz, kilka nowych kartek przerzuciwszy, na koncert ów wielki trafił i czytać go zaczął, wzruszenie, przepełniające serca, wybuchło, jak nawałnica. Gołone głowy ścisnęły się jedna przy drugiej, stare znękane twarze rozgorzały wielkim płomieniem zbudzonego ducha: oczy świeciły, jak próchno, piersi dyszały głęboko. Łkano i śmiano się razem; urwane słowa, okrzyki, westchnienia napęłniały izbę zmieszonym gwarem.

Bakiewicz też stopniowo głos podnosił, choć

Bobrowski dawno już przestał wołać: »Głośniej, głośniej!«, ale, naprzód podany z wyciągniętą szyją, duszą zdawał się chwytać i pojmywać słowa, których dosłyszeć nie mógł.

Stary Gedrojć nie uciszał tym razem nikogo. Drewniana jego noga leżała przed nim nieruchoma, ręce miał skrzyżowane na piersiach, a po białej, jak opłatek, twarzy, leciały, jak iskry, łzy wielkie, jasne i, jak iskry, gasły w siwych, w dół spuszczonej wąsach.

Trzymałem rękę Chodykiewicza. Biły w niej głębokie pulsa jakiejs ogromnej, szamoczącej się z sobą fali. Dawna jej bezwładność i ciężkość ustępowały, przychodziły drgnienia szybkie, gwałtowne, jakby nagle szarpnięciem wywołane, bolesnemu kurczowi podobne.

Śledziłem je z namiętnem wzruszeniem, nie śmiejąc spojrzeć w twarz jego, w jego oczy. Jakaś przemiana stawała się w tej piersi, jakaś zaślona rozdzierała się na dwoje w przybytku tego rozpaczą zaćmionego ducha.

Tysiąc słów, tysiąc okrzyków cisnęło mi się na usta; bałem się wszakże przerwać wewnętrzną pracę mózgu, dobywającego się z pomroki zwątpienia. Milczałem tedy, a Chodykiewicz, o piers moją ramieniem wsparty, drżał coraz silniej.

Bakiewicz czytał:

...Już rozpierzchle tony
Łączą się i w akordów wiążą legijony
I już w takt postępują zgodzonymi dźwięki,
Tworząc nutę żalostną tej sławnej piosenki
O żołnierzu tułacz, który borem lasem

Idzie, z biedy i z głodu przymierając czasem,
 Nakoniec pada u nóg konika wiernego,
 A konik nogą grzebie mogiłę dla niego.
 Piosenka stara, wojsku polskiemu tak miła,
 Poznali ją żołnierze. Wiara się skupiła
 Wkoło mistrza. Słuchają, wspominają sobie
 Ów czas okropny, kiedy na Ojczyzny grobie
 Zanucili tę piosnkę i poszli w kraj świata.
 Przywodzą na myśl długie swej wędrówki lata
 Po łąkach, morzach, piaskach gorących i mrozie,
 Pośrodku obcych ludów, gdzie często w obozie
 Cieszył ich i rozrzewniał ten śpiew narodowy...

Chodykiewicz drżał coraz silniej. Grube krople potu, jakgdyby w mocowaniu się śmiertelnem, wystąpiły mu na poślódkę czoło. Żrenice rozjaśniały się od dna gdzieś, z głębi; potężny wiew budzącej się duszy zdmuchiwał z nich owe mgły białawe niewiedzy, nieczucia, które je kryły tak długo. Żegar życia zaczynał iść, sprężyny jego poruszyły się, wskazówki drgnęły...

Od tak dawna nie władający myślą własną i własnem wzruszeniem, Chodykiewicz szedł teraz całą swoją duchową istotą za słowem poety, jak dziecko, które idzie za cieniem matczynej postaci.

Po twarzy jego przebiegały nagle rozbłyski i mroki; rozchylone wargi chwytaly i piły dźwięki pieśni, tak jak wyschły ugor chwytą i pije rosę wieczorową. Cała niezmierna czułość tej duszy, utajona tak długo pod grubą powłoką melancholii, występowała teraz z ukrycia z niepokonowaną siłą.

Bakiewicz czytał dalej:

Tak rozmyślając, smutnie pochyłili głowy,
 Ale wnet je podnieśli, bo mistrz tony wznosi,
 Nатеżа, takty zmienia, coś innego głosi
 I znowu spojrzаł z góry, okiem struny zmierzyl,
 Złączył ręce, oburacz w dwa drażki uderzył.
 Uderzenie tak sztuczne, tak było potężne,
 Że struny zadzwoniły, jak trąby mosiężne,
 I z trąb znana piosenka ku niebu wionęła:
 Marsz tryumfalny: »Jeszcze Polska nie zginęła!«

Chodykiewicz zerwał się na nogi:

— Nie zginęła! — krzyknął gromkim głosem. — Nie zginęła! Jest! Żyje! Życ będzie wiecznie! Słyszycie?... Jest ojczyzna! Wierzę w nią! Kocham ją! Chcę żyć i cierpieć dla niej!

Stał teraz prosty, smukły, rozpalony w sobie, z czołem, wysoko nad nami wzniesionem.

W tej chwili głośniejszа zatrzeszczała gasnąca lampka, a ostatni jej, w górę strzelający płomyk oświecił ją jego piękną, tragicznie ogoloną głowę.

Marya Konopnicka.

32. Ospa u Jakutów.

Wszystko, czego Paweł¹⁾ zażądał, Jakuci spełniali skrupulatnie, bez szemrania, ale tylko do pierwszego wypadku. Rzecz dziwna, pierwszą ofiarą

¹⁾ młody wygnaniec, Polak.

była stara Simaksin! Śmierć jej poderwała odrazu wpływ Pawła, zachwiała wiarę w jego dowodzenie, że zaraza nie jest żywą istotą, nadprzyrodzonym widmem, ale pewnego rodzaju małym robaczkiem, we krwi się płodzącym, który udziela się tylko przez zetknięcie, z którym można walczyć, otruć go i zniszczyć.

— Przyszła — szeptali — przed nią nie schowasz się, nie uchronisz... dosięże.

Robili więc małe saneczki, zaprzężone w strugane koniki lub reny, sadzali do nich czerwono ubrane lalki, a przed nimi kładli masło, placuszki, łakocie, nawet pieniądze, stawiali to na rozdrożach w tej nadziei, że ospa skusi się i odjedzie.

Ona tymczasem zaczęła już chodzić od sadyby do sadyby i chwytając ofiary, jak rozumna, wybór robiąca osoba. Ludzie zaś wystraszeni skupiali się coraz bardziej, nie paląc odzieży, nie porzucając pościeli umarłych.

— Po co niszczyć dobytek? Zechce, oszczędzi; a nie zechce, zabije. Co tu winien dobytek!

Daremnie Paweł jeździł, prosił, przekładał, żeby chorych, jak to poprzednio byli uradzili, zwozić do jednego domu, a rzeczy do czasu w składach zamykać — nie słuchali go, a wkrótce było też i po niewczasie. Zaraza, jak pożar, ogarnęła okolicę. Nie było domu, gdzieby trup nie leżał, albo ktoś nie jęczał, i żywi nie troszczyli się o nic więcej, prócz mogił i pogrzebów. Sztuka po sztuce zabijali bydło, niegdyś tak cenione i z taką miłością hodowane, urządzali stypy, jedli, pili i wyczekiwali kolei. Zaraza przychodziła i waliła ich, jak

na rzeź prznaczone zwierzęta. Umierali prędko, bez skargi, bez walki, prędzej może od pewności, że umrzeć potrzeba, niż od samej choroby.

Mężczyźni, zdolni do pracy, chodzili od sadyby do sadyby, robiąc trumny, kopiąc doły, a Paweł przesiadywał na dachu, wypatrując gońca, wysłanego po lekarza. Wśród grobowego milczenia pustyni dolatywał go z ciemności odgłos uderzeń oskardów, kujących w lodowatej ziemi głębokie wspólne grobowce.

Mateusz i Ujbanczyk¹⁾ nie bywali prawie zupełnie w domu. Paweł z początku próbował i pomagać, chodził z nimi, ale mało mieli z niego pożytku. Zresztą wkrótce i w domu znalazła się dla niego robota. Stara Mateuszowa zachorowała, trzeba jej było doglądać, drwa rąbać, ogień podtrzymywać, lód na wodę przetapiać i przy jedzeniu kucharzyć. Niedługo jednak się tem trudził — po kilku dniach nie stało już Jakutki. Pochowali ją wedle zwyczaju na trzeci dzień dopiero; ani syn, ani ojciec nie zgodzili się trupa wcześniej porzucić.

— Nie ustawa!²⁾

Ujbanczyk czytał psalmy nad ciałem, mogiłę wykopali jej oddzielną, nie szczędząc nadwątłych sił swoich. Gdy bryły zamarzłej gliny, z głuchym łoskotem padając, zapełniły dół do szczytu, serce Pawła ścisnęło się bolesnem przecuciem, Mateusz, rozglądając się po pustych kątach, za po-

¹⁾ Jakuci, ojciec i syn.

²⁾ nie wolno.

wrotem do domu, szepnął jednak dość obojętnie:

— Nacierpiała się stara, napracowała! Ot i wypoczynek przyszedł.

Ale gdy w parę dni potem zaczął Ujbanczyk niedomagać, starego dzika ogarnęła rozpacz.

— Czyż Bóg dozwoli, żebym ja śmierć jego własnymi oglądał oczyma?

— Może to jeszcze nie ospa. Może on po prostu przeziębził się, zamorzył... Tyle pracy! — pocieszał go Paweł, nauczysz się wśród tej ogólnej klęski porozumiewać z nieszczęśliwymi.

— Och, gdyby tak!

Choroba tymczasem robiła szybkie postępy, a nazajutrz nie było już wątpliwości. Chłopak leżał w maglinie, na ciele pojawiły się złowrogie pryszczki, a w kilka godzin potem twarz, piersi, i brzuch przedstawiały jedną tylko sączącą się ranę. Chory nie mówił, nie otwierał oczu, tylko od czasu do czasu ruszał ustami na znak, że pragnie. Paweł nie odstępował go ani na chwilę, Mateusz zdaleka przypatrywał im się z podelbą i robił, co w domu było potrzeba. Nareszcie przyszła nieunikniona ostatnia chwila.

— Ujbanczyk! Ujbanczyk! — szeptał Paweł drżącym głosem, widząc, jak choremu rysy kamienieja, oddech staje się krótszym. Powieki konającego drgnęły, z czoła spłynęła na twarz fala półblasku, półcienia, przebiegła wzdłuż ciała i w cichym zamarła dreszczu.

Nie było już chłopaka!

Długo siedział Paweł nad tym stygającym tru-

pem; głowę wsparłszy na łokciach, nie czuł, że ogień dogasał, że w izbie coraz ciemniej i chłodniej. Z zadumy zbudził go dopiero jakiś dźwięk niezwykle. Obrócił się żywo i ujrzał starego czarownika w jego czarnoksiężkiej odzieży, z dużym tamburynem w ręku. Gotował się on widocznie, nie bacząc na stratę swoją, wyśpiewać niebu przed zgonem ostatnie przekleństwo czy skargę. Stał, na trupa popatrzał, dotknął go krzywą palcówką, potem palcówkę podniósł w górę, twarzą zwrócił się na południe, w bębenek silnie uderzył, zaświstał, zaśpiewał i zaczął tańczyć coraz szybciej i szybciej. Paweł patrzył na postać jego, targaną jakąś niepokonaną wewnętrzną siłą, słuchał śpiewu, podobnego raz do jęku i wycia, to znowu do hymnu podniosłego, i z wolna tracił poczucie miejsca, czasu, kołowaciał powoli, zaśypiał... Nagle wszystko ucichło. Starzec stał na środku izby, ręką przyciskał serce, a twarz miał boleśnie skurczoną, jak niegdyś, gdy wróżył.

Nim Paweł zdążył podskoczyć do niego, runął na ziemię, jak piorunem rażony, a bęben, wypadłszy z rąk jego, potoczył się i padł, warcząc, opodal.

Paweł chwycił starca za rękę, — była bezwładną; przyłożył ucho do ust, — zdawało mu się, że nie dyszy; rozniecił więc pośpiesznie ogień i znów się nad starym pochylił. Martwe, zagaste żrenice wpatrywały się weń surowo; serce nie biło, a z ust sączył się wązki strumień krwi, już krzepnącej. Podniósł się więc, odszukał pośpiesznie

czapkę, rękawice, wdział »parkę«¹⁾ Ujbanczyka, twarz szalem otulił i ruszył w step szukać pomocy i przytulku.

W. Sieroszewski,

33. W chacie trędowatych na Syberyi.

Mała dziewczynka Byterchaj po śmierci wszystkich trędowatych sama została w samotnej chacie. Strach już jej nie opuszczał. Miała pod ręką zapasy żywności, ale bała się drzwi otworzyć. Żyła myszami, głogiem, korzonkami, jakie mogła zbierać w pobliżu. Chudła, bladła, coraz bardziej traciła siły, większość dnia, wolnego od łapania zwierząt, zbierania jagód, spędzała, siedząc w jurcie²⁾, choć zaduch rozkładającego się ciała starej Kutujachsyt zatruewał powietrze. Wreszcie los zesłał jej oswobodziciela. Dostrzegła go pewnego wieczoru, gdy wracała z wiaderkiem wody. Był to zwierz buri, czarny i duży, jak Łysucha. Dziewczynka aż drgnęła z radości, gdyż z początku wydało jej się, że to istotnie Łysucha, że nic nie było, że zaraz wyjdą i Anka i Grzegorz. Lecz gość miał kosmatą, trójkątną mordę, ogromne pazury, a nie miał rogów i ogona. Dostrzegłszy ją, zatrzymał się i przysiadł, a potem zaczął tylną nogą skrobać sobie za uchem. Byterchaj wpadła pośpiesznie do jurty, drzwi za sobą zatrasnęła i ciekawie patrzyła przez

¹⁾ futro.

²⁾ jurta — chata.

okienko, co dalej będzie. Zwierz na trzask drzwi strwożył się, podniósł na tylne łapy i obejrzał dokoła. Było cicho, ciemnowo, tylko jezioro, czerwone od luny wieczornej, pluskało woddali, więc uspokoił się, podszedł do zgliszcza, trącił pyskiem zsiniałą głowę Mergeń i zaczął szarpać ciało. Całą noc prawie hałasował, ruszał i przetaczał bale.

Nad ranem Byterchaj już nie widziała trupów, lecz białe kości i szczątki krwawe, rozrzucone wśród węgli... Niedźwiedź opodał spał, wetknąwszy mordę między łapy... Dwa dni uczłował przed drzwiami jurty. Ostatniej nocy miał nawet przeszkodę, walczył z jakimiś zwierzętami i ryczał gniewnie. Lecz nie odszedł. Nad ranem znowu dziewczynka spostrzegła go na zwykłym miejscu, śpiącego na słońcu... Pragnienie i głód męczyły ją, lecz wyjść nie śmiała... Usiadła w kącie, umierająca prawie, i marzyła o tych lasach zielonych, o tych ziemiach nad wielkim jeziorem, gdzie mieszkają szczęśliwi ludzie, gdzie swobodnie biegają dzieci i cieleta... Ocułił ją szmer w oknie. Ogromna kosmata mordą i zbrojna w pazury łapa wsunęła się prawie jednocześnie, lecz otwór był za mały... Zwierz łypnął ślepiami i cofnął się... Nie dał jednak za wygraną... Słyszała, jak chodził dokoła jurty i kłapał po trawach. Wreszcie skoczył niezgrabnie na dach, który zatrzęszczał pod jego ciężarem... Drapanie, szmer zlatującej ziemi, wreszcie ruch dyli pułapu wskazywały, że kopie... Po jakimś czasie okrągłaki rozsunęły się i zwały z wielkim hałasem, i w jasnym otworze ukazała się głowa z krwawymi ślepiami. Zwierz zajrzał i spu-

ścił się tyłem do wnętrza. Tu stanął, otrząsnął się z kurzu i wyciągnął nos, zawęszył i poszedł wprost do łoża Kutujachsyt... ale po drodze spojrzenie jego spotkało się z błyszczącymi, jak karbunkul, oczami Byterchaj...

Zerwał się na tylne łapy, zachęcał i, dysząc coraz wścieklej, plwając i kłapiąc zębami, szedł ku niej najeżony, straszny... Dziewczynka nie ruszała się, nie krzyczała i nawet nie wydała jęku, gdy chude jej ciało przycisnął łapą do ławy...

Śniegi zasypały zmarzłe jeziora, rzadkie lasy i ubogą ziemię. Potężny mróz skuł wszystko na twardy kryształ. Gmina, dowiedziawszy się od myśliwców, że nie widać dymów z jurty trędowatych, posłała umyślnego, aby się przekonać, czy istotnie Bóg zdjął z niej przekleństwo. Jakut długo krzyczał bez skutku, wreszcie dzidą drzwi podważył... Dostrzegł wyłamany dach i domyślił się. — »Niedźwiedź!« — mruknął. Z tem wrócił do księcia... Wtedy zebranie uchwaliło posłać pieniądze do miasteczka na zakupienie żałobnej mszy, a jurte spalić. Nowy posłaniec, przeżegnawszy się, pobożnie podłożył wiązkę zapalonego chróstu pod zrab starego, przesiąkłego jadłem budynku... Stanął opodal i czekał, aż chmury dymu, wyrwawszy się na zewnątrz, upewniły go, że ogień dobrze się zajął, wtedy wrócił do swoich. Na miejscu pozostały tylko dwa place popiołu i trochę kości. Cała ta okolica została na długo pustą i nie odwiedzaną... Nikt nie śmiał zrywać tu jagód, łapać ryby, ściągąć kryjącej się zwierzyny...

W. Sieroszewski.

34. List z Sybiru.

Mamo! Piszę do ciebie list! Czy go czytać
Będziesz? Nie wiem! czy dojdzie? Nie wiem!

[Chciałbym spytać

Kwiatka, jak to się u nas wróży listków rwaniem.
Ale kwiaty umarły pod śniegu posłaniem,
I o losie tej kartki żaden mi nie powie!
Mamo! jak to okropnie, gdy w słowo po słowie
Kładę serce swe! duszę! ach, całego siebie!
A nie wiem, czy tak chociaż powrócę do Ciebie!
Mamo! jak to już dawno! jak dawno się zdaje,
Gdym cię zegnał! Ta chwila, jak we mgle mi staje
Przed okiem, zapatrzonem tam, ku naszej stronie!
Widzę twoje rozpacznie wyciągnięte dłonie!
Widzę ruch ten, gdy chciałaś, z bólu obłąkana,
Przed potworem dymiącym runąć na kolana!
I ten wieczór i słońce, gasnące szkarłatnie!
I jękiem rwie mi serce »Pamiętaj!« ostatnie!

»Pamiętaj!«. Mamo! Ile w tym jednym wyrazie
Jest męki! gdyby wyrzyc słowo to na glazie
I kazać mu pamiętać, z żalu glazby spēka!
Niema dnia! niema nocy, bym we łzach nie klękał,
Powtarzając: »Pamiętaj!« straszne, jak przekleństwo!
O, matko! jeśliś chciała dać błogosławieństwo,
Bym, żyjąc i konając, nie cierpiał ogromniej,
To było mnie pożegnać, wołając: »Zapomnij!«

Piszę rankiem. Śnieg zawiał okienka mej chaty,
W izbie mroźno i szaro. Jakiś gość skrzydlaty

Przed zimnem do lepianki schronił się — i ćwierka,
Ja piszę, a ptaszyna z pod pułapu zerka
I widzi, jak na papier ciężka łąza mi kapie...
Sople wiszą lodowe u ścian, na okapie,
I stary mój kożuszek srebrzy się od szronu...
Jak głucho! bicie serca słyszę, jak głos dzwonu!...

Co tu robię? jak żyję? Nie wiem, jak nakreślić,
Ze, patrząc — nie chcę widzieć! — myśląc, nie chcę
[myśleć!

Że pomiędzy tem wszystkiem, co mnie tu otacza,
A mną — jest dusza moja, która przeinacza
Rzeczywistość — i sprawia, że, złudzony snami,
Chodzę z niewidomemi, jak ślepiec, oczami
I dzień po dniu przeżywam i chwilkę za chwilką
Tem, co mam wewnątrz siebie! I tak trwam: tem
[tylko!...

Ludzie nie są źli tutaj! jest w nich jakaś szczerza
Litość. Nieraz chłop prosty tak na mnie spoziera,
Jak ja patrzałem niegdyś na pisklę bezdomne!
Nieraz, gdy wyjdę z chaty na śniegi ogromne,
Zakrwawione od zorzy polarnej¹⁾ nieba, —
Na progu pieniądz srebrny albo krążek chleba
Położy jakaś dobra, niewiadoma ręka! —
Jem ten chleb, gdy to piszę — i serce mi pęka!

Znalazłem na dnie kufra twój »Złoty Ołtarzyk«,
Tyś go włożyła, mamol To mój relikwiarzyk²⁾!

¹⁾ północnego.

²⁾ skrzynka na relikwie święte.

Schowałem go na sercu i chodzę z nim wszędzie!
Jak ty przeczułaś, mamol czym mi tutaj będzie
Ta książka: jakby żywą i drogą osobą!
Po polsku z nią jedynie rozmawiam — i z sobą!
I codziennie na te pustki drętwe, nieskończone
Idzie moja modlitwa: »Pod Twoją obronę!«

Mamol Napisz mi wszystko! Czy tak samo z raną
Gra srebrna sygnaturka u świętego Jana?
Czy jednako pod zamkiem pluska Wisły fala?
Czy słońce zawsze najpierw płomienie zapala
Na kolumnie Zygmunta, wprost naszego domu?
Czy pieśń z Fary, jak echo dalekiego gromu,
Bijąc w niebo milczące, brzmi po staroświecku?
Pytam, jak dziecko małe... Odpowiedz, jak
[dziecku!

Ach, mamol jak mi tęskno! A śnię co noc prawie...
Zem w kraju; nasz pokoik widzę, jak na jawie!
Staś klusuje na krześle z pałasikiem w rękę,
Ty, mamol jak to zwykle, szyjesz przy okienku,
A w kącie ja i Zosia gwarzymy oboje. —
Budzę się, ale oczu otworzyć się boję.
I chciałbym usnąć jeszcze, by ujrzeć to samo...
Jaki to żal okropny! jaki to żal, mamol!

Zosia!... Nie mogę o tem... Mamol Powiedz Zosi:
Niechaj zapomni! Powiedz, że ją o to prosi
Umarły! Niech zapomni i niech mi przebaczy,
Zem, prócz niej, kochał kogoś bardziej — choć
[inaczej!

Stasia ucałuj, mamol! Mów z nim często o mnie!
Mów, jak jest! choćbyś miała zasmucić ogromnie
Tę duszyczkę tak jasną, jak jego oczęta!...
Zosia niechaj zapomni! lecz on: niech pamięta!

Mamol! Bądź zdrowa, mamol! Niech Boża opieka
Będzie nad wami! Pozdrów każdego człowieka!
Mur każdy! wszystkich! wszystko!

Pozdrów, jak od brata!

Mamol! Ja piszę do was, jak z tamtego świata,
Bo, jak stamtąd — nie wrócę! Ach, jakie wrę wojny
W mem sercu! Chciałbym zwalczyć! Chciałbym być
[spokojny!

Ale, kiedy pomyślę: Nigdy! nigdy! nigdy!
O, mamol!...

Or—Ot.

35. Rybak normandzki.

Dom rybaka to dalszy ciąg morza. Przez
ścianę szum, w powietrzu sól, za oknem bezmiar
wody modry. Zdaje się, że dość jest drzwi otwo-
rzyć, aby przez nie weszło morze i mieszkało
z nami.

W sieniach pęki lin, sznurów, podrywtek¹⁾, ko-
szyków; w izbie u sufitów okręciki wiszą, nad ko-

¹⁾ rodzaj sieci.

minem muszle i gwiazdźce²⁾, w podwórku wy-
wrócone do góry dnem czółno, połamane kotwice,
wiecierze, zapasowe wiosła...

Wchodzisz i myślisz — dom na ziemi stoi...
A nieprawda!

I on, i byt pokoleń całych, od prapradziadów,
co wzniesli te zręby, aż do gospodarzy naszych,
wszystko to stoi morzem i na morzu. Życie ludz-
kie zarzuciło tu kotwicę tak samo, jak ją nieco
dalej zarzucają barki i łodzie, i, tak jak one, ko-
łysze się z falą i na fali. Jego radości i nadzieje,
jego klęski i żałoby kołyszą się z niem razem. Coś
z płynności żywiołu weszło tu w dusze ludzką.
Każdy przypływ wypełnia je otuchą i wzmacnia;
każdy odpływ zabiera coś z nich i unosi ze sobą.
Oczy tak samo osychają z łez, jak nadbrzeżne
piaski, a żagiel, wzdęty świeżym tchem morza, pę-
dzi nie tylko barękę, ale i krew w żyłach. Palce sta-
rej Normandki, która w rogu podwórka sieć wiąże,
plączą się i mdleją, kiedy piaski nadbrzeżne za-
żółcą się w słońcu; lecz kiedy biegnąca grzbietem
morza fala zahuczy, zasyczy u brzegu, wielka iglica
sieciarki błyskawicznie miga, a węzły sieci aż war-
czą, z taką je mocą dociskają stare, stare palce.

Przypływ i odpływ reguluje tu i zarządza
wszelakie sprawy żywota.

W izbie, na głównej ścianie, wisi kalendarz
księżycowy, pokazujący na rok cały godziny i mi-
nuty przypływu. Innego tu i nie trzeba nawet.

Kiedy załsnia, zabieleją żagle, ku przystani

²⁾ gwiazdy morskie.

wzdęte, a cała flota barek rybackich z połowu powraca, każdy wie, że to niedziela i że to jest święto. Zaraz więc zaczynają dzwony bić rozgłosnie, jasno, wesoło, a mały — duży do kościoła idzie.

Idzie albo do nowego kościoła, albo do starego. Nowy stoi na wzgórzu i nazywa się kościołem »Zwycięstwa«, a to najniepotrzebniej w świecie. Zbudowany został na pamiątkę wyzwolenia z okrutnego strachu, jaki opanował osadę na wieść, że Niemcy idą.

Jakoż Niemcy istotnie szli, następujący na karki Francuzów ciężką i twardą, bo zwycięską, nogą. Już poprzeszono na spód barek dobytek — co cenniejszy, w węzełkach i skrzynkach, już pan Mer¹⁾ opasał się trójkolorową wstęgą, by godnie kapitulować, a pani Merowa, przybrana w jedwabną suknię, już trzymała chusteczkę u oczu, które według programu zapłakanemi być miały, kiedy nagle Niemcy w Honfleur stanęli i nie poszli dalej tym traktem, zaskoczeni w swych tryumfach zawieszeniem broni. Odjęła tedy pani Merowa chusteczkę od oczu, suknia jedwabna poszła na kolek, a pan Mer, jak stał, opasany wstęgą, tak w pełni swej urzędowości uczynił votum, że nad osadą, na najwidoczniejszym miejscu, stanie kościół pod wezwaniem »Matki Boskiej Zwycięskiej«. I stanął. Wszakże starzy rybacy i stare rybaczkі tłumniej i ochotniej się cisną do dawnego, drewnianego koś-

¹⁾ tytuł samorządowego naczelnika miasta we Francyi.

ciola, w którego absydzie¹⁾, w sztywnej, złożonej szacie i staromodnym normandzkim kornecie²⁾ na głowie, stoi od wieków z litościwą, poczerniałą twarzą obraz Panny Maryi.

Panna Marya zna wszystkie dolegliwości, wszystkie niepokoje i smutki swojej rybackiej osady. Wie, gdzie w domostwie choroba, gdzie grzech, gdzie waśń, gdzie bieda. Wie, które ręce nadmiar już zmęczone, które oczy wypłakane, zgasłe. Wie, ile dzieci pod dachem się chowa i jakim na nie wołają imieniem. Wie, kiedy wróci młody marynarz, ochotnik, za którym patrzy ku Szkocyi dziewczyna.

Panna Marya wie i to nawet, gdzie na dnie morza leży jedyny syn wdowy...

Ona zna wszystkich tych, za których »Dzwon utopionych« co wieczór glucho bije, i tych, których imiona kołyszą się za wiatrem, wypisane na skrzypiących deskach, za cmentarnym murem, gdzie »krzyż zaginionych« stoi.

Więc kiedy się tak w tym dawnym ubogim kościółku lud dokoła Niej ściśnie, każdy ma Ją o coś prosić, pytać, każdy ma Jej coś do powiedzenia. A Ona z pod swego staroświeckiego kornetu patrzy, trochę smutna, trochę surowa, i słucha, słucha...

Więc jedni mówią do Niej półgłosem, żarliwym szeptem, a inni spojrzeniem szeroko otwartych, osłupiałych źrenic.

¹⁾ absyda — sklepienie.

²⁾ kornet — ubranie głowy u kobiet.

Ale raz, po mszy, stary jeden rybak wyszedł z tłumu, przeżegnał się i zaczął wlażyć na ołtarz.

Chwyci go zakrystyan za kubrak:

— Gdzie? Po co?

A ów:

— Nic, nie! Ja tylko chcę coś powiedzieć Pannie Maryi.

Tak zakrystyan z pasyą:

— Schodź mi zaraz, stary głupcze! Nie wolno!

A rybak:

— Co to nie wolno! Ja mam Jej coś ważnego powiedzieć, coś pilnego! Ja muszę Jej coś powiedzieć!

A tuż w tłumie biorący stronę rybaka pomruk: »Oo!... Ooo!...

Oparło się o księdza. Wyszedł ksiądz:

— Bój się, Boga, człowieku, co wyrabiasz? Przecież ci na ołtarz wlażyć nie dam!

A ów:

— Kiedy ja zaraz, Ojcie wielebny, zlezę! Tylko coś powiem Najświętszej i zlezę!

Więc znów ksiądz:

— Zwaryowałeś, czy co? Zastanów-że się, człowieku, że to jest wyobrażenie tylko, figura, która, choćbyś nie wiem co gadał, to cię nie usłuszy!

Tak rybak z oburzeniem:

— Co? Najświętsza mnie nie usłuszy?... Mnie?... Najświętsza?... Mój Jegomość!...

I machnął wymownie ręką.

A w tłumie całkiem już groźne:

— Ooo!... Ooo!...

Widzi ksiądz, że nie z tej beczki trzeba, tak rzecze:

— No, więc dobrze! Mnie powiedz, dobry człowieku, co masz do powiedzenia, a ja Jej powtórzę.

A rybak:

— A nie! Nie mogę! To jest rzecz ważna! To ja Jej muszę sam...

Co było robić?

Ksiądz **kazał** przystawić do ołtarza drabinkę, rybak się na nią wygramolił, przyłożył zwiędłe usta do ucha Najświętszej Panny i długą chwilę szeptał, trzęsąc głową siwą.

Zaczem westchnął z głębia, ucałował brzeg sztywnej pozłocistej szaty, grzmotnął się w piersi, przeżegnał się i zlaźł z drabinki, z rozjaśnioną błogiem światłem twarzą.

M. Konopnicka.

36. W Ziemi Świętej.

W Jeruzalem stanąłem d. 13 stycznia o godzinie 9 w nocy. Bramy miasta zamknięte, cisza grobowa: **kończyc**, szczekanie psów, odpowiadające na nasz **stuk** do bramy, niepewność, czy firmany¹⁾ nasze otrzymają nam wejście, czy trzeba będzie na polu nocować, jakieś wspomnienia krzyżackie, —

¹⁾ firman — rozkaz piśmienny, list polecający.

wszystko to pamiętnym mi uczyniło wjazd do Jerozolim. Nakoniec po 2 godzinach otwierają się bramy, zajeżdżam do klasztoru. Spitznagel¹⁾, słysząc głos cudzoziemców, schodzi na dół, biorę go na ramiona, obracam ku sobie, mówię mu: »Oleś!« Nie poznaje mnie. Pytam go po kilka razy: — »Jako? czy mnie nie znasz?«... — odpowiada mi po trzykroć: »Niech pan daruje, ale prawdziwie nie przypominam sobie«... Nakoniec musiałem ze ściśnieniem serce wymówić moje imię i nazwisko... Jeżeli mi była przykrą ta chwila, to jeszcze przykrejsze jego pożegnanie nazajutrz, bo go ani na pół dnia zatrzymać nie mogłem... Przyszedł do mnie i, wzięwszy za rękę, powiedział: »Do zobaczenia«, oddawszy mu uściśnienie, z dosyć gorzkim uśmiechem odpowiedziałem, że, jeżeli odjeżdża, to już zapewne nie do zobaczenia się żegnać trzeba... Cały ten dzień było mi smutno.

Z dnia 14 na 15 miałem przepędzić noc u grobu Chrystusa... Na wspomnienie tej nocy tak miałem rozigrane nerwy, że łzy rzuciły mi się z oczu. Noc, u grobu Chrystusa przepędzona, została mi mocne wrażenie na zawsze. O godzinie 7 wieczór zamknięto kościół, zostałem sam i rzuciłem się z wielkim płaczem na kamień grobu. Nade mną płonęło 43 lamp. Miałem biblię, którą czytałem do 11 w nocy. O pół do dwunastej weszła do grobu młoda kobieta i mężczyzna, jak sądziłem, małżonkowie, którzy mieszkali w klasztorze i zrobili votum odmawiać co dnia pacierz na grobie.

¹⁾ przyjaciel Słowackiego z lat młodych.

Jakoż oboje pomodlili się krótko, pocałowali kamień, a potem, przyszedłszy do mnie, oboje pocałowali mnie w rękę. Tak byłem zmieszany, że nie wiedziałem, jak się znaleźć. Wyszli, zostałem sam. O północy dzwon drewniany obudził w kościele księży greckich. Różne wiary, każda mająca swoją większą lub mniejszą zagrodę w tym gmachu, budzić się zaczęły na głos tego dzwonu. Grecka bogata kaplica oświeciła się lampami, na górze ormiański kościółek zapalił także świece i zaczął swoje śpiewy. Kopt, mający małą drewnianą klatkę, przyczepioną do katafalku, pokrywającego grób święty, także (jak widziałem przez szczeliny), zaczął w swojej altance dmuchać na żar i gotować samotne kadzidło. Katolicy także w dalekiej kaplicy zaczęli śpiewać jutrznię, słowem, o północy ludzie obudzili się, jak ptaszki w gzemsach nowej budowy budzą się, świergocąc o wschodzie słońca... Grecy na grobie odprawili mszę, potem Ormianie; o drugiej w nocy ksiądz, rodak, wyszedł ze mszą na intencję mojej kuzynki¹⁾, a ja, klęcząc na tem miejscu, gdzie anioł biały powiedział Magdalenie: »Niema go tu, zmartwychwstał!«, słuchałem całej mszy z głębokiem uczuciem. O trzeciej w nocy, znużony, poszedłem do klasztoru i spałem snem dziecka, które się zmęczy łzami.

Jeździłem do morza Martwego, do Betleem, gdzie także na żłobku Chrystusa słuchałem odprawionej mszy. Wszystkie te okolice Jerozolimy napelniają serce jakąś prostotą i świętością. Miło być

¹⁾ t. j. Polski.

w prostej grocie, gdzie anieli zwiastowali pastierzom narodzenie się Pana. Miło widzieć wioseczkę Jerycho, niegdyś zrujnowaną głosem trąby wodza Boskiego. Ale, żeby opisać **wszystkie** te szczegółowe wypadki i wszystkie wrażenia, jakich się doznało, depcąc ziemię Palestyńską, trzebaby na to dzieła...

A ziemia tu jak piękna! Jakiemi ranunkułami ognistego koloru, błękitnej barwy i białej okryta, jakie narcyzy, jakie irysy, jak podobna do pięknego kobierca... Góry tylko, na których stoi Jerozolima, dzikie, nieplodne, nadają temu miastu straszliwą fizyonomię. Okropną jest dolina Józefata... Byłem w Nazarecie, w Napluzie, nareszcie przyjechałem do martwej Tyberyady. W mieście ledwo trochę żywych ludzi, a wszyscy kogoś płaczą... Jezioro, gdzie Chrystus wsiadał do łodzi, nauczając lud, błękitne i spokojne, otoczone górami; na jednej z tych stał się cud rozmnożenia ryb i chlebów. W mieście, nie znalazłszy między ruinami miejsca na łóżko, nocowałem na murawie pod gołym niebem, a kiedym się obudził i odkrył głowę, widziałem księżyc, późno wschodzący nad jeziorem Genezaretańskim.

J. Słowacki.

37. Posłuchanie u sułtana Zanzibaru.

Dnia 20 lutego konsul zaprosił mnie na uroczyste posłuchanie u sułtana.

O dziewiątej zrana przyszedłem, wraz z towarzyszem moim, do konsulatu, gdzie znalazłem i samego sir Evan Smitha i jego sekretarzy, przybranych w paradne mundury. Dwóch kapitanów z »Marathonu« i »Redbreasta« przyłączyło się do nas, i w chwilę później ruszyliśmy parami, poprzędzani przez sześciu sług konsularnych, przybranych czerwono. Po drodze gromady czarnych gapiły się na świetne mundury angielskie. Na placu zastaliśmy tłumy, lecz mogliśmy postępować swobodnie szerokim szpalerem, utworzonym przez zbrojnych murzynów, stojących we dwa szeregi z każdej strony. Idący za mną konsul objaśnił mnie, że to jest wojsko nieregularne sułtana — i rzeczywiście nic podobnego nieregularnego nie widziałem w życiu. Stało tam około tysiąca drapichróstów, małych i wielkich, młodych i starych, krzywych i prostych, ubranych i półnagich; żadnych hełmów, kapeluszy i czapek; jedni mieli łby wygolone, drudzy strzechy czarnych wełnistych lub spalonych na czerwono od wapna włosów. Jedni dźwigali zardzewiałe karabiny skałkowe, drudzy szable, trzeci łuki i tarcze, inni maczugi, inni znów długie strzelby arabskie, niektórzy stare pistolety bez kurków. Gdzieniegdzie błyszczą białe perkale, tam znów widać tkaniny jasno czerwone, purpurowe i znów

białe, dalej żółte, błękitne, pasiaste, wszystko nie tylko jasne od słońca, niemal gorejące. Twarze — jakby z ciemnych metali powykuwane, głowy nieruchome, podniesione do góry, jak na żołnierzy przystało — tylko w miarę, jak się posuwamy, oczy zwracają się, zezując, ku nam lub za nami.

Idziemy dalej. A oto już wojsko regularne, uzbrojone w karabiny z bagnetami, których ostrza płoną w słonecznym blasku, jak świece. Ci przybrani w ciemne mundury, ale boso, wyglądają po prostu, jak kominiarze. Ogluszająca muzyka zaczyna grać hymn narodowy angielski; konsul odkrywa głowę, regularni prezentują broń — i wchodzimy do palacu.

W sieni mnóstwo wojowników arabskich, zbrojnych w bogatą, wysadzaną broń, i kilkunastu oficerów indyjskich z włosami, spadającymi aż na kołnierze czerwonych mundurów. Wstupujemy na białe lakierowane schody. Na wierzchu ich dostrzegam człowieka lat średnich, o żółtawej, nieco popstrzonej ospą cerze, przybranego w niebieski zawój z piórem, niebieski pas i czarny żupan, z pod którego wygląda biała koszula — to sam jegomość — Said-Ali, sultan Zanzibaru z przyległościami.

Na twarzy jego widać czysto wschodni uśmiech, zarazem łagodny, smutny i nieco fałszywy. Powitawszy każdego serdecznem uściśnieniem ręki, wprowadza on nas do obszernej, prostokątnej sali, w której stoją, poustawiane pod ścianami, najpospolitsze europejskie fotele. Na jednym z nich, wyższym od innych i wyłożonym, zasiada sultan, po prawicy jego konsul, za konsulem my dwaj, jako goście,

za nami kapitanowie okrętów i sekretarze konsulat, resztę zaś miejsc zajmują Arabowie, krewni sultana, których szereg rozpoczyna z lewej strony domniemany następca tronu.

Tłomacz, o twarzy czarnej i szelmowskiej, ułatwia rozmowę — i, wysłuchawszy z niskim ukłonem pytania sultana, powtarza je, równie pochylony, temu z gości, do którego było skierowane.

— Jego wysokość pyta waszej miłości, jak się panu Zanzibar podoba?

— Powiedz Jego wysokości, że Zanzibar podoba mi się bardzo.

— Jego wysokość cieszy się mocno, że Zanzibar podoba się panu bardzo.

Następują ukłony — i kolej przychodzi na następnego.

Natomiast przypatrywać się można do woli i jest czemu. Spostrzegłem np., że sultan ma za pasem przepyszny, zakrzywiony nóż indyjski, na palcach brylanty, wielkości laskowych orzechów, ale boso. Pod stopami miał tylko rodzaj drewnianych podeszew, przytwierdzonych skórzanymi paskami do nogi. Strój jego nie różnił się niczem od stroju następcy tronu, krewnych lub notablów. Wszyscy mieli niebieskie zawoje, czarne żupany na białych koszulach, i za pasem takie same, lubo może mniej bogate, krzywe indyjskie noże.

Said-Ali ma od trzydziestu pięciu do czterdziestu pięciu lat wieku, twarz bardzo inteligentną, brodę rzadką i krótką, niefarbowaną; przypuszczam, że musiał być urodzony z Hinduski, jest bardzo podobny do Indyanina. Oczywiście ma niezrównanej

piękności, w nich zaś uderzający, mimo uśmiechniętej twarzy, wyraz smutku. W Zanzibarze wiadomą jest rzeczą, że stosunki jego z konsulem angielskim są jak najlepsze i nawet na osobistej obustronnej przyjaźni oparte, ale przypuszczam, że, mimo tych stosunków, sułtanowi może i ciąży protektorat. Musi on pamiętać, że poprzednik jego, Said-Borgasz, był jeszcze niezawisłym władcą — on zaś, w gruncie rzeczy, jest tylko podwładnym konsula. O Anglii mówią, że ma ona żelazną rękę, przybraną w aksamitną rękawiczkę. Ta ręka nie obdзира nigdy z zewnętrznego blasku, gładzi, sypie dary, ale swoją drogą w porcie zanzibarskim stoją na odległość strzału dwa pancerniki: straszny »Marathon« i »Redbreast«, gotowe w danym razie poprzeć grzeczne słówko konsula ogniem i żelazem.

Pod koniec posłuchania wniesiono kawę w ślicznych indyjskich filiżankach i sorbety. Przez ten czas przypatrywałem się dostojnikom arabskim. Siedzieli oni wzdłuż dwóch ścian, nieruchomi, jak posągi. Byli to po większej części ludzie starzy. Zwyczaj farbowania zarostu twarzy jest tu widocznie powszechny, większość ich miała długie, spadające aż na piersi brody wszystkich odcieni, począwszy od cynobru aż do purpury. Widziałem twarze wprost przepyszne, przypominające patryarchów, proroków, arcykapłanów, lub z powagi — senatorów rzymskich. Kto chce studyować malowniczy Wschód, niech raczej przyjeżdża tu, niż do Egiptu.

Na nieszczęście, dekoracya niezupełnie odpowiada osobom. Sala ma wprawdzie charakter

wschodni, ściany jej pomalowane są w wielkie lazurkowe tablice, na których widać wypisane złotemi literami zdania z Koranu¹⁾, ale jest mnóstwo szczerbów, psujących ten charakter. O fotelach, krytych czerwonym utrechtem, już wspomniałem. Prócz nich, znajduje się tu co najmniej ze sześćdziesiąt zegarów, poustawianych w niszach, między owemi lazurkowemi tablicami. Poprostu trudno się wstrzymać od śmiechu, gdy w chwilach, w których rozmowa milknie, na wszystkie strony rozlega się: »tik-tak! tik-tak!« — zupełnie, jak w sklepie zegarmistrza. Tłómaczono nam tę nadzwyczajną ilość zegarów tem, że każdy nowomianowany do Zanzibaru konsul wpada na pomysł przywiezienia sułtanowi w podarunku zegaru, mniemając przytem, że tak doskonały pomysł jemu pierwszemu wpadł do głowy.

Że zaś konsulowie zmieniają się z powodu klimatu często, więc liczba zegarów zwiększa się z każdym rokiem i wkrótce przewyższy zapewne ilość mieszkańców wyspy.

Po skończonem posłuchaniu wyszliśmy równie ceremonialnie z gmachu, ja jednak zostałem czas jakiś, mimo niesłychanego upału, na placu, by raz jeszcze spojrzeć na »nieregularnych«, którzy, złamawszy szeregi, wracali w malowniczych grupach do domów — i na patryarchalnych dostojników, zstępujących z pałacowych schodów. Co właśnie jest przyjemnego w takich widowiskach, to to, że wydają się one jakimś baletem lub operą, a są

¹⁾ Księga święta u Mahometan.

rzeczywistością. Człowiek przypomina sobie, że coś podobnego widział, ale tamto było złudzeniem, to jest życiem realnem — więc mówi sobie: jednak takie rzeczy istnieją, jednak świat rzeczywiście nie jest wszędzie taki szary, bezbarwny i sztywny, jak w naszej Europie. I ta fantazja w rzeczywistości, ta jej malowniczość daje prawdziwe, estetyczne zadowolenie.

H. Sienkiewicz.

38. Na okręcie emigranckim.

Więc kiedym stanął na owym pokładzie,
Na pewnych nogach i szeroko w kroku,
Tom się pocieszył, że już na zawadzie
Nie będzie teraz nic, nawet łza w oku.
Okręt był wielki, szeroki w nasadzie,
A choć wiatr tęgi zadymał mu z boku,
Ledwo się w sobie kolebał bez mała
Na linie, co się napięła i drżała.

A w imię Ojca i Syna i Ducha!
Zrobiłem święty krzyż: płynąc, to płynąć!
Człowiek nie plewa, wiatr go nie wydmucha,
Katolik przecie, Bóg nie da mu zginać.
I zaraz we mnie wstąpiła otucha,
A że mnie jeden z fajeczką chciał minąć,
Więc ognia wziąłem i czapkę-m nacisnął
Na lewe ucho; wtem sygnał zaświsnął.

Od skrawka ziemi, niknącej w oddali,
Oczu nie mogli odjąć — i tak stali.

A już te luny ugasły na wodzie,
Z zachodnich ogniów, kolorów i słońca:
Niebo się miało ku cichej pogodzie,
Otechnione parą od końca do końca.
Lekkuchna modrość szła po niem na wschodzie,
Aż nagle gwiazda wyblysła z niej drżąca
I liczko swoje złociste a blade
Prosto na naszą zwróciła gromadę.

I patrz, jak dziwne są moce i siły
W onych to światłach litośnych na ziemię!
Wszystkie się głowy podniosły i wzbily,
Jakoby tknięte ognistym tchem w ciemię:
Wszystkie się oczy rosami zaszkliły,
A choć nikt znaku nie dał, lud, jak brzemię,
Z jękiem padł głośnym na oba kolana;
— »O gwiazdo morza! O karmiąca Pana!«

M. Konopnicka.

39. Maryanna w drodze do Brazylii.

W dzień wyjazdu zebrała się Maryanna tak,
jak się zwykle wybierała na wielkie doroczne od-

pusty. Wzięła na siebie nową kamlotową suknię, na to wałowaną jubkę, na to dużą derową chustkę paradną i zaczesła siwiejące włosy na wysoki grzebień, przykryła je czarną kordonkową siatką, na siatkę włożyła aksamitny kapelusz, który ją zaszczytnie wyróżniał już od lat piętnastu z pośród gawiedzi wioskowej każdą niedzielę na sumie; włożyła bawełniane mitynki, jedną rękę okręciła kokosową koronką i wzięła w nią książkę do nabożeństwa, w drugiej rozwiesiła chustkę białą do nosa i stanęła gotowa do drogi za morze.

Pożegnawszy państwo, dzieci, służbę pokojową, wychodziła już za próg, kiedy zobaczyła ulubioną kokoszę ze świeżo wylężonym drobiazgiem. Wróciła tedy raz jeszcze, sypnęła jej suto pośladu, Marynie obiecała, że ją za łeb wydrze, jeśli kania choć jedno z małych kacząt chwyci, zajrzała do maciory, porachowała prosięta, uchyliła drzwi od karmnika, gdzie pochrząkiwał podpasany na kiełbasy wieprzak, nawymyślała Zuźce, że nie wygarnia z koryta wczorajszego jadła, i, szeleszcząc wykrochmalonemi spódnicami, do krów, do obory poszła.

Dotąd trzymała się mężnie; ale kiedy Krasula zarzyczała, a Kwiatucha obejrzała się na nią, opuściła nagle Maryannę moc ducha, a małe jej bure oczki silnie mrugać zaczęły. Teraz dopiero poznała, co to jest rzucać przyjaciół. Byłaby się nawet rozplakała może, ale zajeżdżający w tej chwili przed oficynę Wicek zawadził o sernicę, na której ociekał świeżo ogrzany twaróg i omal nie wyrzucił całego kramu.

To ją natychmiast otrzeźwilo. Jak stała, tak, nie dbając na swoją toaletę, skoczyła, Wicka zmyślała, prasę z twarogiem naprostowała, psa, który milczkiem do serwatki podchodził, kopnęła, a tymczasem dziewczki, rade, że gospodyni w »tyłolśny świat« rusza i choć ze dwie niedziel pomstować o byle co nie będzie, śpiesznie zaczęły węzelki jej wynosić, a w rękę ją całować, a fartuchy do oczu przykładąć, jako że niby taka je żałość spiera. Maryanna też się jakoś udobruchała, Zuźkę i Marynę pocałowała w głowę, pogłaskała kota, pogłaskała Rozboja i, głośno się przeżegnawszy, wpadła w grochowiny, zasłane kilimkiem.

Zaraz też przecież od krzyża wracać chciała, bo jej się zdawało, że gęsi Maćkowe między dworskie wpadły i że je odzierają na ściernisku: ale się Wicek uparł, koniom po bacie dał, i ruszyli naprzód. Kiedy Maryanna stanęła w Warszawie, okazało się, że jakoś trudno z nią będzie. Nie tylko ani słowa po niemiecku nie umie, ale się jeszcze gniewa, kiedy ją o to pytamy.

— Ja? Jaby'm zaś po szwabsku miała, z przeproszeniem, szwargotać? Tfu, z przeproszeniem! Czy to ja nie katoliczka? Czy do spowiedzi nie chodzę, czy co?

A tu w Hamburgu, gdzie właśnie szła jej droga, nie znaleźmy żadnego Polaka. Nie było rady, chyba Maryannę opisać i agentowi znanego domu handlowego listem ją polecić, żeby nie przepadła gdzie w mieście i we właściwym czasie na okręt dostać się mogła.

Opisać? hm!... Ale jakże ją tu opisać? To, że

była niska, krępa, że miała bure, małe oczki, nos kaczkowaty i pocziwą twarz czerwoną, a świecąca, zdawało się nam niedostatecznym jakoś. Agent musi być o przybyciu Maryanny uprzedzonym i zaczekać na nią, poznać i zabrać ją z sobą. Trzeba ją tedy koniecznie czemś wyróżnić. Radzimy o tem, kiedy Maryanna spostrzegła wielkiego papierowego motyla na lampie.

— To, proszę ja państwa mojego! — wykrzykuje — nie dobreby było?

Pomysł jej wydaje nam się zrazu tak komycznym, że wszyscy wybuchamy śmiechem. Ale Maryanna bierze to zupełnie seryo i gotowa jest paradować w motyla do Hamburga.

Odczepiamy go tedy od lampy i przypinamy Maryannie, która spogląda z zupełnem zadowoleniem na tę swoją ozdobę. Wielki, czerwony motyl w złote centki tworzy istotnie jedyną w swoim rodzaju broszkę. Maryanna rozmawia z nami jeszcze chwilę, ale od czasu do czasu patrzy ukradkiem w lustro; pewnem jest prawie, iż żałuje, że jej nie widzi w tym stroju ekonomowa i organiścina. Odprowadzona wreszcie przez bandę chłopaków, którzy myślą, że to »sztuki«, siada szczęśliwie do wagonu i jedzie.

Jedzie bez żadnej niepewności, bez żadnego strachu, w tej równowadze umysłu utrzymuje Maryannę ów czerwony motyl. Okazuje się on skutecznym wszakże pod jednym tylko względem: agent domu handlowego istotnie czeka na Maryannę, poznaje ją po tym nieomylnym znaku, który wygląda zdala, jak sygnał pożarny, i zabiera

ją pod swoją opiekę. Ale trzeba nieszczęścia, że okręt tylko co odpłynął i że dwa tygodnie czekać trzeba na wyruszenie drugiego.

Kiedyśmy otrzymali tę wieść niepomyslną, ogarnął nas żywy niepokój. Co ona tam robić będzie w Hamburgu przez te dwa tygodnie, kiedy nie umie nawet Boga pochwalić w tym języku? Oszuka kto, ograbi, a już że się niewygody nacierpi, to pewna. Ale odpowiedź przychodzi jak najbardziej uspokajająca. Maryanna się zupełnie obcem miastem nie czuje zakłopotaną; co jej potrzeba, to pokaże na migi, a kiedy jej kto zrozumieć nie chce, czy nie może, natychmiast palcem stuka w swojego motyla, którego ciągle na piersiach nosi.

W porcie — pisze agent — wszyscy ją znają. Są tacy, którzy usługują jej nawet pilnie, myśląc, że ten wielki, czerwony motyl to znak jakiegoś stowarzyszenia, na które ona się powołuje z całą powagą. Nareszcie odbieramy wiadomość, że nasza Maryanna szczęśliwie morze przepłynęła i jest w Rio.

M. Konopnicka.

40. Osadnicy polscy w Stanach Zjednoczonych.

Przybywszy na miejsce, osadnicy rozczarowali się bardzo. Spodziewali się zastać na grun-

tach, przeznaczonych na osadę, pola i las, a znaleźli tylko las, który dopiero trzeba było karczować. Czarne dęby, drzewa czerwone, bawelniane i jasne platany stały obok siebie jedną masą. Puszcza to była nie na śmiech, podszyta krzakami z dołu, powikłana lianami, które, przeskakując nakształt lin i sznurów z drzewa na drzewo, tworzyły jakby zwieszające się mosty, jakby zasłony, jakby bisiory jakie, kwieciami okryte, a tak gęste, stłoczone i zbite, że oko nie pobiegło w dal, jako w naszych lasach; kto się zapuścił głębiej, ten nieba nad sobą nie dojrzał i w mroku błędzić musiał i zbłądzić mógł i zaprzepaścić się na zawsze. Jeden i drugi Mazur spoglądał to na siekiere, to na owe dęby, mające po kilkanaście łokci obwodu, i niejednemu markotno się zrobiło. Błogo mieć drzewo na chałupę i opał, ale wyciąć las jednemu człowiekowi na 160 morgach, pniaki z ziemi wydrapać, wykroty zrównać i dopiero imać się pługa, to praca na całe lata.

Ale nie było nic innego do roboty, więc zaraz drugiego dnia po przybyciu do taboru jaki taki się przeżegnał, w ręce splunął, chwycił toporczyisko, stęknął, machnął, uderzył, i od tej pory słychać było codzień huk siekier w tym arkanza-skim lesie, a czasem i pieśni, rozlegające się echem:

»Przyszedł Jasieńko,
Przyszedł ze dworu:
Miła Kasieńko,
Pódźwa do boru,
Do boru, do ciemnego...«

Tabor stał wedle strumienia na dość obszernej polance, której brzegiem miały stać w kwadrat chałupy, na środku zaś z czasem kościół i szkoła. Ale do tego było jeszcze daleko; tymczasem zaś stały wozy, na których przybyły rodziny osadnicze. Wozy te ustawiono w trójkąt, by w razie napadu można w nich się bronić, jak w forticy. Za wozami na pozostałej części polanki chodzili muły, konie, woły, krowy i owce, nad którymi czuwała straż, złożona z młodych parobków. Ludzie sypiali na wozach lub też za ich obrębem naokoło ognisk.

W dzień kobiety i dzieci zostawały w taborze, obecność zaś mężczyzn można było poznać tylko po huku siekier, którym rozbrzmiewał cały las. Nocami wyły w gąszczach dzikie zwierzęta, mianowicie jaguary, arkanzaskie wilki i kujoty. Straszne szare niedźwiedzie, które blasku ognia mniej się boją, podchodziły czasem dość blisko do wozów, skutkiem czego często wśród ciemności rozlegały się wystrzały z karabinów i wołania: »Bywaj bić bestyę!« Ludzie, którzy przybyli z dzikich stron teksaskich, byli po największej części wprawnymi myśliwcami, i ci dostarczali z łatwością sobie i swym rodzinom zwierzyny, a mianowicie antylop, jeleni i bawołów; była to pora wiosennych wędrówek tych zwierząt na północ. Reszta osadników żywiła się zapasami, zakupionymi w mieście, a składającymi się z kukurydzonej mąki i solonego mięsa. Prócz tego bito owce, których pewną ilość zakupiła każda rodzina.

Wieczorami, gdy wedle wozów rozpalono wielki ogień, młodzież po wieczerzy, zamiast iść spać, puszczała się w taniec. Jakiś grajek przywiozł z sobą skrzypce, na których wygrywał ober-tasa od ucha, a gdy głos skrzypiec ginął nadto wśród leśnego szumu i pod otwartem niebem, inni pomagali grajkowi, na sposób amerykański, brzękając w blaszane miski.

Najpierwszą rzeczą było postawić chałupy, jakoż wkrótce na zielonem podścielisku polanki stanęły zręby domów; cała zaś jej powierzchnia pokryła się wiórami — heblowinami, kawałkami kory i tym podobnem śmieciem drzewnem. Czerwone drzewo łatwo dawało się obrabiać, ale trzeba było po nie chodzić daleko. Niektórzy pourządzali sobie tymczasowe namioty z płócien, pozdzieranych z wozów. Inni, zwłaszcza nieżonaci, którym mniej pilno było wracać do dachu nad głową, a więcej sprzykrzył się karczunek, zaczęli orać w miejscach, gdzie puszcza nie była podszyta, i gdzie dęby i hikory, t. j. żelazne drzewa, były rzadsze. Wówczas to, jak bór arkanzaski borem, pierwszy raz rozległy się w nim nawoływania:

»Heć, kso, byś!«

Wogóle jednak taki nawał roboty spadał na osadników, że niewiadomo było, do czego rąk przyłożyć: czy naprzód stawiać domy, czy karczować, czy chodzić za zwierzyną. Zaraz z początku pokazało się, że pełnomocnik kolonistów kupił ziemię od kolei na wiarę i nigdy w niej poprzednio nie był; inaczej nie byłby nabywał głuchej puszc-

czy, zwłaszcza, iż równie łatwo było kupić kawałki stepu, częściowo tylko lasem pokryte. Tak on, jak i pełnomocnik kolei, przybyli wprawdzie na miejsce, by działki rozmierzyć i wskazać każdemu, co do niego należy, ale zobaczywszy, jak rzeczy stoją, pokręcili się dwa dni, następnie wyklócili się i, wyjechawszy niby po narzędzia miernicze do miasta, nie pokazali się już w osadzie.

Wkrótce wyszło na jaw, że jedni osadnicy zapłacili więcej, inni mniej, a co gorsza: nikt nie wiedział, gdzie jego działka leży, jak odmierzyć to, co na niego wypada. Osadnicy zostali bez żadnego przewodnictwa, bez żadnej władzy, któraby mogła sprawy ich porządkować i spory godzić. Nie wiedziano dobrze, jak pracować. Niemcy wzięliby się zapewne całą gromadą do wycięcia lasu, i, oczyściwszy całą przestrzeń, postawiwszy wspólnymi siłami domy, dopieroby zaczęli przy każdym domu odmierzać grunta. Ale każdy Mazur chciał odrazu swoim się zająć, swój dom stawiać i na swojej działce las ciąć. Każdy przytem chciał brać miejsce przy środkowej polance, gdzie puszcza była najrzadsza, a woda najbliższa. Stąd powstały spory, które wzrosły zaraz, gdy pewnego dnia zjawił się jakby z nieba spadły wóz niejakiego pana Grünmańskiego. Ten pan Grünmański, w Cincinatti na przykład, gdzie mieszkają Niemcy, może nazywał się krócej: Grünmann, ale w Borowinie dodał sobie »ski« dlatego, żeby handel lepiej szedł. Wóz jego miał wysoki dach płócienny, na którym z każdego boku czerniał napis wielkimi literami:

»Saloon«¹⁾, a pod spodem mniejszemi: »Brandy, whisky, dżin«²⁾.

Jakim sposobem wóz ten przejechał w całości niebezpieczną pustynię między Claresville a Borowiną, jakim sposobem nie rozbili go stepowi awanturnicy, dlaczego Indianie, którzy wałęsają się małymi oddziałami, nie zdjęli skalpu³⁾ z głowy pana Grünmańskiego, to była jego tajemnica, dość, że przybył i tego samego dnia zaraz zaczął robić dobre interesy. Ale też tego samego dnia osadnicy zaczęli się kłócić. Do tysiącznych sporów o działki, o narzędzia, o owce, o miejsca przy ogniskach przybyły nader błahе powody. Oto w osadnikach obudził się jakiś zaściankowo-amerykański patryotyzm. Ci, co pochodzili ze Stanów północnych, poczęli wychwalać dawne swe siedziby kosztem osad i osadników ze stron południowych i odwrotnie. Wówczas to można było usłyszeć ową północno-amerykańską polszczyznę, czerowaną angielskimi niemi wszędzie, gdzie ją odłączenie od macierzystego kraju i przebywanie wśród obcych przedziurawiło.

¹⁾ szynk (ang.).

²⁾ różne rodzaje wódek.

³⁾ zdarta czupryna, znak zwycięstwa nad wrogiem u Indian amerykańskich.

H. Sienkiewicz.

41. Koloniści z nad Rio Itapawa w Brazylii.

Przypatrzmy się losom tych emigrantów, których z Desterro wysłano na parowcu do Itajahy-assu. I to miasteczko ma także koszary dla emigrantów, jeżeli koszarami nazwać można ten stary, drewniany budynek, położony wśród bagnisk i sępów. Jest to raczej rodzaj stajni obszernej, w której urzędnicy kolonizacyjni pomieszczają nieraz około trzystu ludzi, zdrożonych, znękanych przygodami, zaledwie zdrowych, aby tam na wólpierze gniliym barłogu z liści wypoczęli i przygotowali się do cięższych jeszcze zapasów. Niektórzy nie mogą znieść atmosfery tego gniazda chorób, wynoszą się na świeże powietrze, stawiają sobie budy z gałęzi i tak oczekują dalszego przeznaczenia.

Otóż dwustu emigrantów polskich znajdowało się w tem położeniu przez cały tydzień czasu. Kto umarł, to umarł, szczęśliwy, że raz zakończył tułaczy żywot. Reszta doczekała się pewnego dnia wizyty pana szefa¹⁾ kolonizacyi, nikłego człowieczka, z maleńkimi jaszczurczemi oczyma, który tu przybył ze swoją świtą i z plikami papierów pod pachą. Odczytał on listę powierzonych sobie ludzi, obojętnie wykreślił z niej tych, co umarli, a pozostałych wyprawił na mały parowiec, który ich miał powieźć ku rzece Itajahy-assu do Blumenau. I znowu pod rachunkiem zdano ich komendantowi statku.

¹⁾ naczelnika.

Ale parowiec nie mógł pomieścić tylu ludzi, więc przyczepiono do niego na linie wielką łódź, napełniono ją ludźmi, jak śledziami, i puszczono się w drogę. Słońce nielitościwie paliło głowy tych, którzy płynęli na owej odkrytej łodzi; przechylali się zatem, czerpali dłońmi wodę z rzeki i polewali rozpalone czaszki. Kto nie zna słońca Brazylii, ten nie ma wyobrażenia, co za męczarnie sprawiać mogą jego promienie, jeśli się przed nimi nie można schronić. Wielu siadało na brzegu łodzi, opuszczając nogi w wodę, ażeby się przynajmniej w ten sposób cokolwiek ochłodzić.

Bądź co bądź, po przebyciu jednego piekła w koszarach Itajahy, drugiego na słonecznym spieku, przed którym nawet wytrzymały Murzyn zasłania się parasolem, cała gromada przybyła do koszar w Blumenau, już pod sam wieczór. Pomieszczenie, które tutaj znaleźli emigranci, było rajem w porównaniu z koszarami Itajahy. Komendant statku zdał swój towar urzędnikom kolonizacyi i odpłynął.

Znowu stacya odpoczynkowa, trwająca przez kilka dni, a potem znowu jazda dalsza, już teraz lądem i na kolonie. Ale jakże tu można wypocząć w takim tłoku, gwarze ludzi! Tam niemowle wrzeszczy, jakby życie z siebie wypłakać chciało; opodal matka rozpacza straszliwie, bo oto ostatnie dziecko już za chwilę straci; dalej jeszcze jakaś rozczochrana baba z wściekłością wpadła na męża za to, że ją do emigracyi nakłonił; gdzieindziej dwóch chłopów zawzięcie się swarzy, bo jeden od drugiego pożyczył pieniędzy i oddać mu nie może, a wierzyciel jest oto w potrzebie; jeszcze gdzie-

indziej przyjaciel przyjacielowi opowiada jakieś zdarzenie, a że chce być słyszany, więc usiłuje wszystkich przekrzyknąć. Ci, którzy tu właśnie tylko co przybyli, zabierali znajomości z tymi, co przybyli dawniej; stąd pełno wykrzykników, skarg, utyskiwań na doznane zawody.

Jednakże i to wreszcie przeszło, a emigrantów wysłano na kolonie do tak zwanych *Terras devolutas* (ziem nie zajętych), leżących między górami Serra de Jaragua i ich odnogami, w których biorą początek bardzo liczne rzeki, będące dopływami Itajahy-assu. Tutaj u źródeł Rio Itapava wyznaczono terytorjum na kolonie polskie.

Zdumieli się teraz emigranci, kiedy im ukazano ową obiecaną ziemię, do której śpieszyli z takim zapalem na złamanie karku. Bory nieprzebyte i góry — wszystko poza światem!

Urzędnik kolonizacyi w towarzystwie miejscowego dozorey i tłumacza zaprowadził ich do szopy bez ścian i rzekł:

— Oto są baraki, które wam rząd przeznacza na tymczasowe mieszkanie, zanim sobie pobudujecie chaty! Spodziewam się, moi ludzie, że teraz jesteście zupełnie szczęśliwi, przysługują wam wszystkie prawa wolnych obywateli Stanów Zjednoczonych rzeczypospolitej Brazylii.

Kiedy chłopci posłyszeli tę przemowę z ust swojego tłumacza, rozległ się wśród gromady niedarzy szmer niezadowolenia, a tu i owdzie wyrwały się przekleństwa, lub groźby.

Ale oto urzędnik kolonizacyjny już im z przed oczu zniknął, a dozorca z rewolwerem i kindża-

Tem za pasem ostro pópatrzył na tłum obdartusów, poczem spokojnie odszedł do swoich baraków na górze (zaprawdę o wiele, wiele wygodniejszych od tych na dole), ażeby tam z wyżyn czuwać nad porządkiem świeżych obywateli.

Teraz już dzień po dniu przynosił nową nę-dzę, a przyszłość ukazywała za cały ratunek — rozpacz.

Jak tu pracować o głodzie i w braku wszy-stkiego?

Nawet na owe narzędzia pracy, z czego się rząd brazylijski przez urzędników tak przechwalał, trzeba było czekać przeszło dwa tygodnie czasu. Ale tu wszystko dokuczało: przyroda, ludzie, własny głód, żal i tęsknota za krajem, na zawsze już straconym.

A. Dygasiński.



SPIS RZECZY.

	Str.
1. Koniec zdrajcy Masława (XI w.) <i>J. I. Kraszewskiego</i>	3
2. Z bitwy pod Grunwaldem (1410) <i>H. Sienkiewicza</i>	13
*3. Pani Twardowska <i>A. Mickiewicza</i>	17
4. Zagłoba zdobywa sztandar <i>H. Sienkiewicza</i>	23
*5. Bój ze Szwedami w Nowym Sączu w r. 1665 <i>M. Ro-manowskiego</i>	26
6. Śluby królewskie <i>H. Sienkiewicza</i>	35
7. Kopia husarska <i>K. Szajnochy</i>	40
*8. Trzeci maj (1791) <i>J. Sawy</i>	44
9. Uchwalenie Ustawy 3-go maja 1791 r. <i>J. U. Niem-cewicz</i>	46
10. Przypowieść o żołnierzach <i>A. Mickiewicza</i>	52
*11. O Kilińskim (1794) <i>W. Pola</i>	54
12. U generała Igielsztroma <i>J. Kilińskiego</i>	56
13. Przypowieść o niewieście w letargu <i>A. Mickiewicza</i>	61
*14. Raclawice <i>T. Lenartowicza</i>	62
15. Przysięga Kościuszki (1794) <i>T. Korzona</i>	67
16. Ukrzyżowani <i>J. Słowackiego</i>	72
*17. Pola raszyńskie	75
*18. Rok 1812 <i>A. Mickiewicza</i>	76
19. Śmierć księcia Józefa <u>Poniatowskiego pod Lipskiem</u> (1813) <i>A. Askenazyego</i>	79
20. Pogrzeb Józefa Poniatowskiego (1815) <i>J. U. Niemce-wicza</i>	84

* oznaczają utwory wierszem.

	Str.
21. Napoleon i żydki swarzędzkie <i>A. Wilkońskiego</i> . . .	86
*22. Koncert nad koncertami <i>A. Mickiewicza</i>	88
23. Noc 29 listopada 1830 r. <i>M. Mochnackiego</i>	93
*24. Śmierć pułkownika <i>A. Mickiewicza</i>	100
25. O zgodzie domowej <i>Ks. P. Skargi</i>	102
26. Na mogile powstańczej <i>E. Orzeszkowej</i>	107
27. O oświacie narodowej <i>K. Libelta</i>	116
28. »Cicho!... sza!... nie wolno!...« <i>W. Gomułickiego</i> . .	123
*29. Anegdota petersburska <i>Telimeny A. Mickiewicza</i> .	131
30. Wigilia na Sybirze <i>A. Szymańskiego</i>	134
31. W kopalni syberyjskiej <i>M. Konopnickiej</i>	137
32. Ospa u Jakutów <i>W. Sieroszewskiego</i>	147
33. W chacie trędowatych na Syberyi <i>W. Sieroszew- skiego</i>	152
*34. List z Sybiru <i>Or-Ota</i>	155
35. Rybak normandzki <i>M. Konopnickiej</i>	158
36. W Ziemi Świętej <i>J. Stowackiego</i>	163
37. Posłuchanie u sultana Zanzibaru <i>H. Sienkiewicza</i> .	167
*38. Na okręcie emigranckim <i>M. Konopnickiej</i>	172
39. Maryanna w drodze do Brazylii <i>M. Konopnickiej</i> .	177
40. Osadnicy polscy w Stanach Zjednoczonych <i>H. Sien- kiewicza</i>	181
41. Koloniści z nad Rio Itapava w Brazylii <i>A. Dyg- sińskiego</i>	187